

NICK HORNBY

BYŁ SOBIE CHŁOPIEC

(Tłumaczył : Jerzy Łoziński)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Rozeszliście się?

- Żartujesz?

Ludzie bardzo często przypuszczają, że Marcus żartuje, kiedy nawet mu to nie w głowie. Nie rozumie, dlaczego tak się dzieje. Wydawało mu się, że pytanie, czy mama rozstała się z Rogerem, jest zupełnie rozsądne: mieli wielką kłótnię, potem cicho rozmawiali w kuchni, po chwili wrócili bardzo poważni, a Roger poszedł do niego, uścisnął mu dłoń, życzył powodzenia w nowej szkole i wyszedł.

- A dlaczego miałbym żartować?

- No dobrze, a jak ci się wydaje?

- Wydaje mi się, że się rozeszliście, ale chciałem wiedzieć na pewno.

- Tak, rozstaliśmy się.

- Więc poszedł sobie?

- Tak, Marcus, poszedł sobie.

Chyba nigdy się do tego nie przyzwyczai. Lubił Rogera, parę razy we trójkę wypuścili się na miasto, a teraz ma go już więcej nie zobaczyć. Nie, żeby bardzo tego żałował, ale jak się nad tym zastanowić, to jednak dziwne. Razem stali w jednej toalecie, kiedy strasznie zachciało im się sikać podczas jazdy samochodem. Można by sądzić, że jeśli z kimś się razem lało, to jakoś to pozostanie.

- A co z jego pizzą?

Kłótnia zaczęła się zaraz po tym, jak zamówili trzy pizze, których jeszcze nie dowieziono.

- Jak będziemy głodni, to się podzielimy.

- Ale są bardzo duże. A poza tym czy on czasem nie zamówił z salami? Marcus i matka są wegetarianami, podczas gdy Roger nie.

- To wyrzucimy.

- Można po prostu zdjąć salami, bo tak dużo to go wcale nie dają. Głównie ser i pomidory.

- Marcus, posłuchaj, nie mam teraz głowy do pizzy.

- Jasne. A dlaczego się rozeszliście?

- Och... Z różnych powodów. Sama nie wiem, jak to wytłumaczyć.

Nie był zdziwiony, że nie potrafiła wytłumaczyć. Słyszał z grubsza całą kłótnię i nie zrozumiał nic, zupełnie jakby wyleciał jakiś fragment. Kiedy Marcus sprzeczał się z matką, łatwo było wychwycić najważniejsze kwestie: za dużo, za drogo, za późno, za wcześnie, szkodzi na zęby, inny kanał, praca domowa, owoce. Kiedy jednak mama sprzeczała się ze swoimi facetami, można było słuchać godzinami i ciągle nie wiedzieć, o co chodzi. Zupełnie jakby ktoś kazał im się pokłócić, a oni nie mogli wymyślić powodu, jak choćby to, że trzeba jeść owoce czy odrobić lekcje.

- Miał inną dziewczynę?

- Chyba nie.

- A ty masz innego faceta?

- A kogo niby? - roześmiała się. - Tego, co przyjmuje zamówienia na pizzę? Nie, Marcus, nie mam innego przyjaciela. To nie tak. A w każdym razie kiedy jesteś trzydziestoosmioletnią pracującą matką. To czas jest problemem. A właściwie wszystko. Dlaczego pytasz? Naprawdę cię to interesuje?

- Nie wiem.

I rzeczywiście nie wiedział. Wiedział, że mama jest smutna płakała teraz częściej niż przed przenosinami do Londynu - ale nie miał pojęcia, czy to się jakoś wiąże z facetami. Miał nadzieję, że tak, bo wtedy przynajmniej wszystko byłoby jasne. Pozna kogoś i znowu będzie szczęśliwa. Czemu nie? Była piękna, miła, czasami zabawna, a dokoła kręci się chyba wielu takich jak Roger. Ale jeśli nie faceci, to już nie wiedział co, chyba że coś bardzo złego.

- Nie lubisz, jak mam znajomych?

- Byle tylko nie Andrew.

- Tak, wiem, że go nie lubiłeś. Ale tak w ogóle to nie masz nic przeciwko?

- Pewnie, że nie.

- Naprawdę ekstra dajesz sobie z tym wszystkim radę. Takie dwa różne życia.

Wiedział, co ma na myśli. Pierwsze życie skończyło się cztery lata temu, kiedy on miał osiem, a mama i tata się rozeszli. Było normalne i nudne: szkoła, wakacje, prace domowe, w weekendy wizyty u dziadków. Drugie było bardziej bałaganiarskie, o wiele więcej występowało w nim ludzi i miejsc: faceci mamy i dziewczyny ojca, mieszkania i domy, Cambridge i Londyn. Trudno uwierzyć, że tak wiele rzeczy może się zmienić tylko dlatego, że dwie osoby ze sobą zrywają, ale on się tym nie przejmował. Czasami nawet był zdania, że woli to drugie życie. Więcej się działo, a to nie jest złe.

Jeśli jednak nie liczyć Rogera, to w Londynie wydarzyło się niewiele. Byli tutaj raptem kilka tygodni - przeprowadzili się pierwszego dnia wakacji - ale jak na razie, kompletne nudy. Poszli z mamą na dwa filmy: Kevin sam w domu 2, który nie był tak dobry jak Kevin sam w domu, i na Kochanie, powiększyłem dzieciaki, który był gorszy od Kochanie, zmniejszyłem dzieciaki. Mama powiedziała, że dzisiaj filmy zrobiły się strasznie komercyjne i że jak ona była w jego wieku, to... coś tam, nie mógł sobie przypomnieć co. Poszli jeszcze obejrzeć szkołę, która okazała się wielka i okropna, a także pospacerowali po okolicy, Holloway, gdzie były ładne miejsca i brzydkie miejsca, dużo też rozmawiali o Londynie, o zmianach, jakie ich tu czekają, i że na pewno wyjdą im na dobre. A tak naprawdę siedzieli tylko, jakby dopiero czekali, aż się zacznie to londyńskie życie.

Przyjechały pizze i zjedli je wprost z pudełek.

- Są lepsze od tych w Cambridge, prawda? - zauważył wesoło Marcus. Nieprawda, dostarczała je ta sama firma co w Cambridge, tyle że tam nie musiały jechać z tak daleka, nie były więc tak miękkie. Po prostu myślał, że powinien powiedzieć coś optymistycznego. - Obejrzymy telewizję?

- Jeśli chcesz.

Za oparciem sofy znalazł pilota i przeleciał po programach. Nie chciał oglądać żadnych oper mydlanych, bo tam zawsze były jakieś problemy, a bał się, że mydlane problemy przypomną mamie o jej własnych kłopotach. Obejrżeli więc program przyrodniczy o takiej rybie, która żyje głęboko w jaskini i nic nie widzi - ryba, która niczego nie dostrzega. To chyba nie powinno mamie niczego przypominać.

ROZDZIAŁ DRUGI

Czy Will Freeman był cool? No więc tak: w ciągu ostatnich trzech miesięcy przespał się z kobietą, której nie znał zbyt dobrze (pięć punktów). Wydał ponad trzysta funtów na kurtkę (pięć punktów). Wydał ponad dwadzieścia pięć funtów na fryzjera (pięć punktów). (Swoją drogą, jak można było w 1993 wydać na fryzjera mniej?) Miał więcej niż pięć płyt hip-hopowych (pięć punktów). Brał ecstazy (pięć punktów), ale w klubie, a nie tylko w domu w ramach doświadczenia socjologicznego (dodatkowe pięć punktów). W najbliższych wyborach zamierzał głosować na labourzystów (pięć punktów). Zarabiał ponad czterdzieści tysięcy funtów rocznie (pięć punktów) i nie musiał się przy tym bardzo wysilać (pięć punktów, do czego doliczył pięć ekstra, gdyż w ogóle nie musiał się wysilać). Jadał w restauracji, gdzie serwowano polentę i tarty parmezan (pięć punktów). Nigdy nie używał aromatyzowanych prezerwatyw (pięć punktów), sprzedał płyty Bruce'a Springsteena (pięć punktów), zapuścił koziąbródkę (pięć punktów) i znowu ją zgolił (pięć punktów). Gorzej było z tym, że nigdy nie spał z dziewczyną z okładki czasopisma (minus dwa) i nadal uważał, mówiąc szczerze (a jeśli Will miał w ogóle jakieś przekonania etyczne, to jedno z nich głosiło, że nie należy w quizach udzielać fałszywych odpowiedzi o sobie), że szybki samo chód robi wrażenie na kobietach (minus dwa). Ale nawet po tych odjęciach miał w sumie, zaraz... sześćdziesiąt sześć punktów. To lokalizowało go poniżej zera. Był niczym suchy lód, niczym Zmrożony Bałwan. Umrze na hipotermię.

Will nie wiedział, na ile poważnie traktować podobne quizy, ale z drugiej strony trudno było tego nie doceniać. Kiedy w magazynie dla mężczyzn uzyskujesz taki wynik, jest to osiągnięcie, którego nie należy lekceważyć. Poniżej zera! Nie można być już bardziej cool! Zamknął czasopismo i odłożył je na stos w łazience. Nie trzymał wszystkich, gdyż za dużo ich kupował, ale tego nie wyrzuci tak szybko!

Czasami - nieczęsto, bo rozważania historyczne nieszczególnie go pasjonowały - zastanawiał się, jak ludzie tacy jak on mogli dawać sobie radę przed sześćdziesięciu laty. ("Ludzie tacy jak on" to była specyficzna grupa i w istocie sześćdziesiąt lat temu nie mógł istnieć nikt taki jak on, gdyż sześćdziesiąt lat temu nie mógł istnieć dorosły, którego ojciec w ten sposób by się dorobił. Kiedy więc myślał o ludziach takich jak on, nie chodziło mu o

osoby dokładnie takie same, lecz po prostu o takie, które niczego nie robiły przez cały dzień i zresztą niczego nie chciały robić). Sześćdziesiąt lat temu nie istniało nic z tego, co pozwalało Willowi spędzić dzień: nie było telewizji dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie było wideo, nie było czasopism z lśniącoymi okładkami, nie było quizów i najprawdopodobniej nie było sklepów muzycznych, gdyż takiej muzyki, jakiej Will słuchał, nikt jeszcze nie wymyślił. (Teraz słuchał Nirvany i Snoop Doggy Dogga, a w 1933 trudno by było znaleźć coś takiego.) Pozostawały tylko książki. Książki! Musiałyby z pewnością iść do jakiejś pracy, bo inaczej dostałby świra!

Teraz jednak było dużo łatwiej. Aż za wiele było do zrobienia. Nie trzeba już było mieć własnego życia, wystarczyło spoglądać przez płot na życie innych, ukazywane w gazetach, serialu EastEnders, filmach, bardzo smutnym jazzie czy ostrym rapie. Dwudziestojednoletni Will pewnie ze zdziwieniem, a nawet rozczerwaniem przyjąłby, że w wieku trzydziestu sześciu lat jeszcze nie ułoży sobie życia, ale trzydziestosześcioletni Will nie był jakoś z tego powodu przygnębiony. W ten sposób mniej było bałaganu.

Bałagan! W domu Johna, przyjaciela Willa, był straszny bałagan. John i Christine mieli dwoje dzieci - drugie właśnie urodziło się w zeszłym tygodniu i Willa zaproszono, aby je obejrzał - a ich mieszkanie było - Will nie potrafił tego określić inaczej - jedną wielką katastrofą. Przedmioty z kolorowego plastiku porzucane na podłodze, powymywane z pudełek taśmy wideo wokół telewizora, biała narzuta na sofie wydawała się tak zużyta jak wielki kawał papieru toaletowego, aczkolwiek Will wolał przypuszczać, że plamy są po czekoladzie... Jak ludzie mogą tak żyć?

Kiedy John robił w kuchni herbatę, do pokoju weszła Christine z noworodkiem na rękach.

- To Imogena - oznajmiła.

- Aha - mruknął Will. - Fajnie. - Co miał jeszcze powiedzieć. Wiedział, że jest coś takiego, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć. - Jest... - Nie, uleciało. Skoncentrował się na Christine. - A jak ty się czujesz, Chris?

- No wiesz, trochę wypompowana.

- Cały dzień na nogach?

- Nie, sam poród.

- No tak. - Znowu wrócili do tematu kwilącego dzieciaka. - To musi być ciężka sprawa, jak sądzę. - Celowo zwlekał tydzień, mając nadzieję, że nie będzie trzeba podejmować takich tematów, ale nic mu to nie dało.

Zjawił się John z trzema kubkami herbaty na tacy.

- Barney pojechał dzisiaj do babci - oznajmił, bez powodu, który byłby klarowny dla Willa.

- A jak on? - Barney miał mniej więcej dwa lata, nie interesował więc nikogo z wyjątkiem rodziców, ale z przyczyn, które także były dla Willa niejasne, musiał w tym miejscu jakoś zareagować.

- Dziękuję, świetnie - odrzekł z ożywieniem John. Mówię ci, teraz to prawdziwy czort, a na dodatek nie wie, jak ma traktować Imogenę, ale... jest kochany.

Will miał już okazję widzieć Barneya i dzięki temu wiedział, że wcale nie jest kochany, dlatego też postanowił zignorować to non sequitur.

- A co tam u ciebie, Will?

- Wszystko w porządku, dzięki.

- Nie myślisz o założeniu rodziny? Prędzej zjadłbym brudną pieluchę Barneya, przemknęło mu przez myśl.

- Nie, na razie nie.

- Martwimy się o ciebie - powiedziała Christine.

- Mnie jest dobrze tak, jak jest.

- Można i tak - odrzekła z wyraźną przekorą w głosie.

Tych dwoje zaczynało go przyprawiać o mdłości. Nie dość, że sami postawili dzieci na pierwszym miejscu, to jeszcze namawiali przyjaciół, aby popełnili ten sam błąd. Od

dobrych już kilku lat Will był przekonany, że można przejść przez życie bez unieszczęśliwiania się w taki sposób jak John i Christine (tego, że są nieszczęśliwi, był całkowicie pewien, nawet jeśli osiągnęli stan tak osobliwego ogłupienia, iż nie potrafili tego rozpoznać). Trzeba mieć pieniądze, jasne - dla Willa jedynym zrozumiałym celem posiadania dzieci było to, żeby ktoś o ciebie zadbał, gdy będziesz już bezużyteczny i zgrzybiały - ale on miał pieniądze, mógł więc oszczędzić sobie bałaganu, narzut wyglądających jak papier toaletowy i żalosnych wysiłków, by nakłonić przyjaciół do takiego samego upadku.

John i Christine kiedyś byli całkiem fajni, naprawdę. Kiedy Will chodził jeszcze z Jessicą, we czwórkę kilka razy w tygodniu oddawali się dubbingowi. Rozstał się z Jessicą, kiedy ta chciała swobodę i frywolność zastąpić czymś bardziej stałym. Czasami za nią tęsknił, ale jeszcze bardziej tęskniłby za dubbingiem. (Niekiedy jeszcze umawiali się na lunch w pizzerii; pokazywała mu zdjęcia swoich dzieci i mówiła, że Will marnuje życie i naprawdę nie wie, jak to jest, a on odpowiadał, że jest szczęśliwy, iż nie wie, na co ona, że pewnie by nie potrafił, na co on, że w każdym razie w ogóle nie zamierza próbować, a potem milkli i już tylko patrzyli na siebie). Teraz, kiedy John i Christine ruszyli tą samą drogą w zapomnienie, nie byli mu już do niczego potrzebni. Nie chciał oglądać Imogeny, dowiadywać się, co z Barneyem, ani słuchać o zmęczeniu Christine, a dla nich nic więcej nie istniało. Więcej już się nie skaże na takie upierdliwości.

- A wiesz - odezwał się John - tak się zastanawialiśmy, czy nie zechciałbyś zostać ojcem chrzestnym Imogeny?

I siedzą obydwój z wyczekującymi uśmiechami na twarzach, jak gdyby miał rzucić im się do stóp, wybuchnąć łzami, a potem ścisnąć ich tak gwałtownie, by cała trójka zwała się na dywan. Will śmieje się nerwowo.

- Ojcem chrzestnym? Kościół i te rzeczy? Prezenty urodzinowe? Adopcja, gdybyście oboje zginęli w katastrofie samolotowej?

- Mhm.

- Zgrywacie się.

- Zawsze podejrzewaliśmy, że w tobie siedzi coś głębiej powiada John.

- Ale właśnie że nie. Jestem zupełnie płytki. - Nadal się uśmiechają. Niczego nie pojmują. - Słuchajcie, jestem wzruszony waszą propozycją, ale nie potrafię sobie wyobrazić niczego gorszego. Naprawdę. Ja się po prostu do tego nie nadaję.

Czym prędzej wyszedł.

Parę tygodni później poznał Angie i po raz pierwszy został tymczasowym ojczymem. Może gdyby przełknął dumę, a także pokonał nienawiść do dzieci, rodziny, życia domowego, monogamii i wczesnego kładzenia się spać, oszczędziłby sobie wielu kłopotów.

ROZDZIAŁ TRZECI

W noc po pierwszym dniu w szkole Marcus budził się mniej więcej co pół godziny. Fosforyzujące wskazówki na starym jak dinozaur zegarku wskazywały kolejno 10.41, 11.19, 11.55, 12.35, 12.55, 1.31... Nie mógł uwierzyć, że rano znowu będzie musiał się tam stawić, a potem znowu i znowu, i... no dobra, potem będzie weekend, ale prawie co rano, tak aż do końca życia. Przy każdym przebudzeniu myślał, że musi być jakiś sposób, by obejść to okropne uczucie bokiem, dołem czy nawet przejść brutalnie po nim. Zawsze kiedy coś budziło jego niepokój, okazywało się, że jest jakieś rozwiązanie, a najczęściej polegało ono na tym, że wystarczyło zwierzyć się мамie. Ale tym razem w niczym nie mogła pomóc. Nie zamierzała go przenieść do innej szkoły, a nawet gdyby tak zrobiła, niewiele by to zmieniło. Nadal pozostałby sobą, a główny problem chyba właśnie z tego wynikał.

Po prostu nie nadawał się do szkoły. A w każdym razie do średniej. W tym sęk. Ale jak miał to komukolwiek wytłumaczyć? Można się nie nadawać do różnych rzeczy, i to jest OK (słyszał już przecież, że nie nadaje się na imprezy, gdyż jest zbyt wstydlivy, ani do spodni z obniżonym krokiem, gdyż ma za krótkie nogi), ale jeśli ktoś nie nadawał się do szkoły - problem robił się poważny. Wszyscy chodzili do szkoły. Nie było wyjścia. Słyszał wprawdzie o dzieciach, które uczą się w domu, ale z jego mamą było to niemożliwe, bo ona musiała chodzić do pracy. Chyba że płaciłby jej za uczenie, ale niedawno powiedziała mu, że zarabia trzysta pięćdziesiąt funtów tygodniowo. Trzysta pięćdziesiąt funtów tydzień w tydzień! Skąd miałby wziąć taką forszę? Przecież nie wydrukuje, tyle przynajmniej wiedział. Jedyne dzieci, które nie chodziły do szkoły, to osoby typu Macaulaya Culkina. Było raz coś o nim w sobotnie przedpołudnie, w programie, gdzie mówili, że w jakiejś jakby przyczepie uczy go prywatny nauczyciel. To nie byłoby złe, a nawet jeszcze lepsze, gdyż sam Macaulay Culkin zarabiał trzysta pięćdziesiąt funtów tygodniowo, a może nawet więcej, co znaczyło, że wtedy Marcus mógłby zapłacić мамie za naukę. Jeśli jednak bycie Macaulayem Culkinem oznaczało, że trzeba być dobrym aktorem, no to nic z tego; Marcus się do tego nie nadawał, gdyż nie znośił występować przed tłumem ludzi. To dlatego nienawidził szkoły i to dlatego chciał być kimś w rodzaju Macaulaya Culkina, ale dokładnie z tej samej przyczyny nie zostanie nim nawet za tysiąc lat, a co dopiero mówić o kilku dniach. A zatem musiał iść jutro do szkoły.

Przez całą noc myśli krążyły jak bumerang: to odlatywały daleko aż do Hollywoodu - a wtedy na chwilę był niemal szczęśliwy, tak bardzo odrywał się od szkoły i rzeczywistości a potem wracały, waliły go w głowę i okazywało się, że nadal był w tym miejscu, gdzie się poprzednio znajdował. A jedyna zmiana polegała na tym, że ranek coraz bardziej się zbliżał.

Podczas śniadania był spokojny i zrezygnowany. "Przyzwyczaisz się", powiedziała mama, nakładając mu płatków. Pewnie nienadzwyczajnie wyglądał. Kiwnął głową i uśmiechnął się; co innego mogła powiedzieć? Czasami w głębi duszy myślał, że kiedyś się jednak przyzwyczai, gdyż wiedział już, że nawet trudne sprawy stają się z czasem odrobinę lżejsze. Dzień po odejściu taty pojechał z mamą i jej przyjaciółką Corinne do Glastonbury, gdzie rozstawili sobie namiot i było całkiem fajnie. Tutaj jednak mogło być tylko gorzej. Już pierwszy dzień był okropny, a następne...

W szkole zjawił się wcześniej, po czym poszedł od razu do swojej klasy i usiadł w ławce. Tutaj był w miarę bezpieczny. Tym, którzy mu wczoraj dopiekli, chyba nie spieszy się tak bardzo do szkoły, myślał, wcześniej muszą się napalić, naćpać i kogoś obrabować. W klasie było kilka dziewczyn, ale zignorowały go całkowicie, chyba że chichot, który usłyszał, wyciągając podręcznik, jakoś się z nim wiązał.

Ale z czego tu się śmiać? Z niczego, chyba że ktoś uparcie szukał, z czego by się ponabijać. Niestety, zaczynał podejrzewać, że taka była większość dzieciaków w szkole. Krążyły po korytarzach niczym rekiny, tyle że szukały nie mięsa, lecz złych spodni, złej fryzury, złych butów czy czegokolwiek, co by je dziko podnieciło. A on zwykle miał niedobre buty albo nieodpowiednie spodnie, włosy zaś miał źle uczesane cały czas, nie musiał więc wiele robić, by wzbudzić ekscytację.

Marcus wiedział, że jest cudakiem, a było tak po części dlatego, że taka była jego mama. Ona się po prostu tym nie przejmowała. Ciągle mu powtarzała, że tylko płyty ludzie oceniają innych na podstawie ubrania czy włosów; nie pozwalała mu oglądać bezwartościowych programów w telewizji ani słuchać bezwartościowej muzyki czy też grać w bezwartościowe gry (wszystkie zresztą uważała za bezwartościowe), co znaczyło, że jeśli chciał zrobić cokolwiek z tego, czym koledzy zajmowali się cały czas, musiał z nią dyskutować godzinami. Zwykle przegrywał, a ona na dodatek potrafiła mu udowodnić, jak bardzo mu dobrze z tym, że przegrał. Potrafiła wytłumaczyć, dlaczego słuchanie Joni Mitchell czy Boba Marleya (tak się składało, że byli jej ulubionymi piosenkarzami) jest znacznie

lepsze od słuchania Snoop Doggy Dogga oraz dlaczego czytanie książek jest lepsze od grania w gameboya, którego dostał od ojca, ale żadnego z jej argumentów nie mógł wykorzystać w szkole. Gdyby usiłował przekonać Lee Hartleya - największego, najgłośniejszego i najbardziej dokuczliwego z wczorajszych prześladowców - że nie podoba mu się Snoop Doggy Dogg, bo źle się odnosi do kobiet, z pewnością Lee albo by mu przyłał, albo powiedział coś takiego, czego Marcus wolałby nie słyszeć. W Cambridge nie było tak źle, gdyż tam było mnóstwo dzieci, które nie nadawały się do szkoły, i matek, które je tak wychowały, ale Londyn to zupełnie co innego. Dzieciaki były twardsze, mniej sympatyczne i wyrozumiałe, on zaś uważał, że jeśli jedynym powodem do zmiany szkoły była lepsza praca mamy, to powinna mieć przynajmniej tyle uczciwości, żeby przestać odgrywać te numery pod tytułem: "Porozmawiajmy o tym".

Marcus czuł się całkiem dobrze w domu, słuchając Joni Mitchell i czytając książki, ale w szkole nic mu to nie pomagało. Większość ludzi myślałaby może, że powinno być odwrotnie że czytanie w domu powinno pomagać - ale nie w jego przypadku. On czuł się z tego powodu inny, co było nieprzyjemne i samo z siebie powodowało, że najchętniej uciekłby od wszystkiego i wszystkich: kolegów, nauczycieli, lekcji.

To nie była wina mamy. Czasem stawał się cudakiem z powodu tego, jaki był, a nie z powodu tego, co robiła ona. Na przykład śpiew, jak on miał się odczytać śpiewać? Melodię zawsze miał w głowie ale jeśli się zdenerwował, gdzieś się wyslizgiwała. Z jakiejś przyczyny nie zauważał różnicy pomiędzy tym, co w środku, a tym, co na zewnątrz: dla niego było to identyczne. Bardzo podobnie jest, gdy w ciepły dzień pływasz w ogrzewanym basenie; wychodzisz, ale nawet tego nie zauważasz, bo temperatura w wodzie i poza nią jest taka sama. No i jakoś tak było ze śpiewaniem. Tak czy siak, melodia się wyslizgnęła wczoraj podczas angielskiego; nauczycielka czytała i okazało się, że jeśli chcesz ludzi rozśmieszyć, ale tak naprawdę, na całego, to żadne tam włosy - najlepiej jest zaśpiewać na głos, gdy inni siedzą cicho ze znudzonymi minami.

Dzisiaj wszystko było OK, aż do przerwy. Był spokojny podczas sprawdzania listy, unikał kontaktów na korytarzu, potem dwie matematyki, fajne, bo był w tym dobry, trochę tylko szkoda, że przerabiali rzeczy, które już znał. Podczas przerwy poszedł do pana Brooksa, jednego z nauczycieli matematyki, i zgłosił się do kółka komputerowego. Był bardzo zadowolony, że tak zrobił, gdyż instynkt mu podpowiadał, by zostać w klasie i czytać, ale jednak się przemógł. A przecież trzeba było nawet przejść przez boisko. Ale na angielskim

wszystko się ryło. Korzystali z takiej książki, w której jest po kawałku ze wszystkich lektur, a teraz czytali kawałek z Lotu nad kukułym gniazdem. Marcus znał to, bo oglądał film razem z mamą, więc od razu zobaczył, co się stanie, i to zobaczył tak wyraźnie, że chciał wstać i wyjść z klasy. Naprawdę było jeszcze gorzej, niż myślał. Pani Maguire kazała czytać dziewczynie, która dobrze to robiła, a potem chciała rozkręcić dyskusję.

- Taka książka jest między innymi o takiej sprawie... Skąd wiemy że ktoś jest wariatem albo że nie jest? Bo wiecie, każdy z nas jest odrobinę pomyłony, więc kiedy ktoś tak o nas mówi, jak mu pokazać, że nie jesteśmy?

Cisza. Parę osób westchnęło i przewróciło oczyma. Marcus już wiedział, że w nowej szkole bardzo szybko można się zorientować, jak nauczycielowi idzie z klasą. Pani Maguire była młoda, nerwowa i dopiero próbowała. Różnie jeszcze mogło być.

- No to powiedzmy inaczej. Skąd wiemy, że ktoś jest wariatem?

Zbliża się, pomyślał. Już zaraz. Za chwilę.

- Jak ni stąd, ni zowąd zaczyna śpiewać na lekcji, proszę panią.

Śmiechy. Ale potem właśnie stało się to najgorsze. Wszyscy obrócili się i spoglądali na niego, on jednak patrzył wprost na nauczycielkę, ale ta, unikając jego wzroku, za to z szerokim uśmiechem na twarzy powiedziała:

- Zgoda, to jedna oznaka. Wtedy można pomyśleć, że taki ktoś ma w głowie trochę nie w porządku. No, ale dajmy spokój Marcusowi...

Śmiechy jeszcze głośniejsze. On zaś wiedział, co ona robi i dlaczego, i śmiertelnie jej nienawidził.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Will po raz pierwszy zobaczył Angie - chociaż, jak się okazało, wcale jej nie zobaczył - w Championship Vinyl, małym sklepiku muzycznym przy Holloway Road. Szperał leniwie w płytach, myśląc, że może uda mu się trafić na antologię R&B. To jedna z tych płyt, które kochał za młodu, a która potem gdzieś zaginęła. Usłyszał, że jakiś kobiecy głos dopytuje się o płytę Pinky i Perky dla siostrzenicy. Zza stelaży, między którymi się przesuwał, kiedy odpowiadała chuda, pochmurna sprzedawczyni, nie zobaczył twarzy klientki, a tylko burzę miodowozłotych włosów, a także pochwycił nieco chrapliwy głos, który nie tylko on, ale każdy uznałby za seksowny, co sprawiło, że nadstawił ucha, gdy kobieta wyjaśniała, że siostrzenica nawet nie wie, kto to jest Pinky i Perky.

- Wyobraża sobie pani? Pięć lat i nie znać Pinky i Perky? Czego oni dzisiaj uczą te dzieci?

Żarty nie były mile widziane w Championship Vinyl. Zgodnie z jego przewidywaniami klientka została skarcona surowym spojrzeniem, a niewyraźne mruknięcie sugerowało, że marnuje cenny czas sprzedawczyni.

Dwa dni później znalazł się obok tej samej kobiety w kawiarni na Upper Street. Rozpoznał głos (oboje zamówili cappuccino i croissanta), włosy i dżinsową kurtkę. Oboje też poszli do stolika z gazetami; ona wzięła "Guardiana", jemu więc pozostał "Mail". Uśmiechnął się, ale najwyraźniej go nie pamiętała i na tym pewnie by się wszystko skończyło, gdyby nie była taka piękna.

- Ja lubię Pinky i Perky - powiedział tonem, który miał być miły, przyjacielski i dowcipny, natychmiast jednak zrozumiał, że to straszna pomyłka: to inna kobieta, która zupełnie nie rozumiała, o co mu może chodzić. Najchętniej wyrwałby sobie język i roztarł go na miazgę czubkiem buta.

Popatrzyła na niego, uśmiechnęła się nerwowo, a następnie zerknęła w głąb sali, jakby oceniając, czy w razie czego kelner zdąży dobiec i powalić Willa. Dobrze rozumiał jej reakcję. Gdy ktoś kompletnie nieznajomy zwraca się do was w kawiarni, rozpoczynając

rozmowę od wyznania, że lubi Pinky i Perky, zupełnie zasadnie można przypuszczać, że wszystko skończy się na pozbawieniu was głowy i ukryciu ciała pod podłogą.

- Przepraszam - bąknął. - Pomyliłem panią z kimś innym.

Zaczerwienił się przy tym, co odrobinę ją uspokoiło; jego zażenowanie było świadectwem zdrowych zmysłów. Usiedli z gazetami, ale kobieta od czasu do czasu spoglądała na niego z uśmiechem.

- To może zabrzmiało głupio - odezwała się w końcu - ale trapi mnie pytanie: z kim mnie pan pomylił? Nie potrafiłam wymyślić żadnej historyjki.

Wy tłumaczył, roześmiała się wesoło, a potem zaczęli normalną rozmowę. Mówili o wolnych przedpołudniach (nie przyznał się, że ma wolne także popołudnia), o sklepie z płytami, o Pinky i Perky, a także o innych postaciach z telewizyjnych programów dla dzieci. Nigdy dotąd nie podrywał w taki sposób, ale w okolicach drugiej cappuccino miał już jej telefon i byli umówieni na kolację. Przy następnym spotkaniu opowiedziała mu o dzieciach; w pierwszym odruchu chciał cisnąć serwetkę na podłogę i zwiewać, gdzie pieprz rośnie.

- No i? - spytał, gdyż nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Myślałam, że lepiej, żebyś wiedział, bo dla niektórych to zmienia sprawę.

- Ach, tak?

- To znaczy dla niektórych facetów.

- Domyśliłem się.

- Przepraszam. Trochę niezręcznie to powiedziałam.

- Nie, nie, wszystko w porządku.

- Rozumiesz... Jak to jest randka na poważnie, a dla mnie ta jest właśnie taka, to powinieneś wiedzieć.

- Dzięki. Ale widzisz, byłbym rozczarowany, gdybyś nie miała dzieci. Zaśmiała się.

- Rozczarowany? Dlaczego?

Dobre pytanie. Dlaczego? Powiedział tak, bo wydawało mu się to fajne i zaskakujące, ale nie mógł się do tego przyznać.

- Bo nigdy nie umawiałem się kimś, kto został już mamą, a bardzo chciałem. Myślę, że w tym mógłbym być dobry.

- W czym?

No właśnie, w czym? Pytanie za milion dolarów; jak na nie odpowiedzieć? Może będzie dobry przy dzieciach, których skądinąd nienawidził, podobnie jak ludzi, którzy sprowadzali je na świat. Może zbyt pośpiesznie zrezygnował z Imogeny? Może to był strzał na punkt: wujek Will!

- Czy ja wiem. W zajmowaniu się dziećmi. Robienie bałaganu i te sprawy...

To nie powinno być szczególnie trudne, przecież każdy w końcu był kiedyś dzieckiem. Może dawno już powinien był zająć się dziećmi. A jeśli to przełomowy moment w jego życiu?

Warto podkreślić, że deklaracja, iż lubi dzieci, nie pozostawała bez związku / urodą Angie. Długie włosy, twarz spokojna i szczerą, wielkie niebieskie oczy, śliczne kurze łapki w kącikach oczu: była piękna totalnie, w stylu Julie Christie. I na tym wszystko polegało. Czy chodził kiedyś z dziewczyną wyglądającą jak Julie Christie? Takie dziewczyny nie umawiają się z ludźmi jego pokroju. Pokazują się w towarzystwie gwiazd filmowych, facetów trzęsących polityką czy kierowców Formuły 1. Więc dlaczego teraz? Uznał, że to z powodu dzieci. To one stanowiły skazę, która otwierała przed nim zamkniętą dotąd możliwość. Może dzieci są czynnikiem demokratyzującym piękne kobiety?

- Coś ci powiem - mówiła Angie, chociaż początek kwestii mu umknął. - Jak się jest samotną matką, to łatwo zabrnąć w feminizm. Wiesz, wszyscy faceci to skurwiele, a kobieta bez mężczyzny jest jak... coś bez czegoś drugiego, bez czego świetnie może sobie dać radę, rozumiesz?

- Jasne - powiedział Will, czując, jak rośnie w nim entuzjazm. Jeśli samotne matki istotnie uważają wszystkich mężczyzn za skurwiele - to dobra nasza! Zawsze już będzie

chodził z kobietami podobnymi do Julie Christie. Angie mówiła dalej, on zaś przytakiwał, marszczył brwi, wydymał wargi i obmyślał nową strategię życiową.

Na następnych kilka tygodni stał się Willem Przemiałym Facetem, Willem Wybawcą i bardzo mu się to podobało. Szczególnie że nie wymagało żadnego wysiłku. Nie udało mu się nawiązać bliższego kontaktu z tajemniczo poważną jak na swoje pięć lat Maisy, ta bowiem uważała go za istotę lekkomyślną, ale trzyletniego Joe natychmiast sobie zjednał, w dużej mierze z tej racji, że już przy pierwszym spotkaniu chwycił go za kostki i trzymał głową do ziemi. I to wystarczyło. Całkowicie. Gdybyż związki z istotami w pełni ludzkimi były równie proste.

Poszli do McDonalda. Poszli do Muzeum Nauki i Muzeum Historii Naturalnej. Popłynęli łodzią w dół rzeki. Przy tych nielicznych okazjach (zawsze po pijaku i zawsze na początku znajomości), gdy rozważał możliwość posiadania dzieci, ojcostwo jawiło mu się w kategoriach okazji do robienia zdjęć, i tak właśnie wyglądało ono w tej sytuacji: szedł, trzymając za rękę piękną kobietę, dzieci wesoło baraszkowały przed nimi, wszyscy go tak widzieli, potem jednak, jeśli chciał, mógł sobie spokojnie wrócić do domu.

No i jeszcze seks. Po pierwszej nocy z Angie Will uznał, że seks z samotną matką bije na głowę wszystkie jego dotychczasowe doświadczenia. Jeśli poderwiesz właściwą kobietę, która miała trudne przejścia z ojcem dzieci i ostatecznie została przez niego porzucona, a która od tego czasu nie związała się z nikim (ponieważ dzieci nie pozwalały jej na swobodne życie, a poza tym wielu mężczyzn nie lubi nie swoich dzieci albo chociażby bałaganu, który wiruje wokół nich jak huragan)... jeśli poderwiesz taką, pokocha cię za to. I zniemacka staniesz się przystojniejszym facetem, cenniejszym kochankiem, lepszym człowiekiem.

Na razie wyglądało to na całkiem szczęśliwe rozwiązanie. Wszystkie te tymczasowe pary, w świecie osób nie będących w stałym związku, dla których spędzenie z kimś nocy jest tylko kolejnym numerkiem... ci ludzie nie wiedzą, co tracą. Pewnie, istnieją tacy prawi ludzie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, którzy byliby przerażeni i zniesmaczeni jego rozumowaniem, ale Willowi to nie przeszkadzało. Przynajmniej mniejsza konkurencja.

I na koniec to, co go urzekło w romansie z Angie, to fakt, że nie był podobny do Tego Drugiego. W tym przypadku nie był podobny do Simona, swego poprzednika, który miał problemy z piciem i z pracą, a na dodatek kompletnie nie troszcząc się o stereotypowość

wykroczenia, rznął, jak się okazało, sekretarkę. Will nie potrzebował się wysilać, by nie być podobnym do Simona; co więcej: był w tym wręcz znakomity. Mogłoby się wprawdzie wydawać odrobinę nie fair, że nagradzano go za coś, co przychodziło mu bez najmniejszego wysiłku, tak jednak było - za niebycie Simonem był kochany bardziej, niż kiedykolwiek dotąd kochano go za bycie Willem.

Nawet koniec, kiedy już nadszedł, okazał się tak łatwy, że lepszego nie można sobie było wymarzyć. Koniec romansu zawsze przysparzał Willowi kłopotów: nieodmiennie brakowało mu odwagi, by chwycić byka za rogi, w efekcie więc dochodziło do rozstań boleśnie wydłużonych. Tymczasem z Angie poszło tak prosto, że, mówiąc szczerze, podejrzewał w tym jakiś fortel.

Chodzili ze sobą już sześć tygodni i pojawiły się rzeczy, które zaczynały być niewygodne. Angie była nie dość mobilna, a kłopoty z dziećmi czasami stawały się niemiłą przeszkodą. Tydzień wcześniej dostał bilety na premierę nowego filmu Mike'a Leigh, ona tymczasem spóźniła się pół godziny, gdyż baby - sitter nie dotarła na czas. To go naprawdę wkurzyło, chociaż chyba udało mu się ukryć niezadowolenie i spędzili całkiem fajny wieczór na mieście. Poza tym nigdy nie mogła zostać u niego na noc, musiał więc zwać się do niej, tam jednak było mało płyt kompaktowych, a w ogóle nie było wideo, satelity czy kablówki, zatem w sobotnie wieczory skazany był na oglądanie Casualty i specjalnie kręconego dla TV chłamu o jakimś chorym dzieciaku. A kiedy zaczął się zastanawiać, czy Angie istotnie jest właściwą dla niego dziewczyną, ona właśnie postanowiła zerwać.

Powiedziała mu o tym w hinduskiej restauracji na Holloway Road.

- Will, przykro mi, ale nie jestem pewna, czy to powinno dalej trwać...

Nic nie odpowiedział. Dawniej wszystkie rozmowy, które zaczynały się w ten sposób, oznaczały, że albo partnerka o czymś się dowiedziała, albo on zrobił coś wrednego, głupiego czy groteskowo bezdusznego, ale tym razem nie miał sobie nic do zarzucenia. Milczenie pozwoliło mu błyskawicznie przejrzeć zasób pamięci w poszukiwaniu jakichś szczegółów, o których mógł zapomnieć, ale nie - nic mu nie przychodziło do głowy. Byłby bardzo zawiedziony, gdyby znalazł coś takiego: jakąś przeoczoną zdradę czy przygodne okrucieństwo, skoro bowiem w tym związku jego rola polegała na byciu Przemitym Facetem

i Wybawcą, każda skaza oznaczałaby, że niespolegliwość tak głęboko jest w nim zakorzeniona, iż nie ma nad nią żadnej władzy.

- Nie chodzi o ciebie, jesteś świetny. Chodzi o mnie, a w każdym razie o moją sytuację.

- Uważam, że z twoją sytuacją wszystko jest w porządku. Poczuł taką ulgę, iż niemal odruchowo zareagował w tak wielkoduszny sposób.

- Nie o wszystkim wiesz. To sprawy związane z Simonem.

- Narzuca ci się? Bo jeśli tak, to...

To co? - sam siebie spytał pogardliwie. Co zrobisz? Wrócisz do domu, zrobisz skręta i zaciągniesz się, żeby już o tym nie myśleć? Znajdziesz sobie kogoś mniej problemowego?

- Nie do końca, chociaż ktoś z zewnątrz mógłby tak pomyśleć. Nie jest zachwycony tym, że się z kimś spotyka. Wiem, jak okropnie to brzmi, ale znam go na tyle, by wiedzieć, że nie doszedł jeszcze do ładu po tym, jak się rozstaliśmy. Mówiąc szczerze, nie jestem pewna, czy ja doszłam. Nie jestem w tej chwili gotowa wiązać się z kimś innym.

- Dobrze sobie radziłaś.

- Tragedia polega na tym, że spotkałam kogoś odpowiedniego w nieodpowiednim momencie. Powinnam była zacząć od jakiegoś niezobowiązującego romansu, a nie... nie z kimś, kogo...

Co za ironia losu, pomyślał. Gdyby tylko wiedziała, że to on właśnie był najlepszym obiektem. Jeśli nawet był na świecie facet bardziej nadający się do niezobowiązującego romansu, to za nic nie chciałby go spotkać. "Ja tylko udawałem!", chciał jej powiedzieć. "Tak naprawdę jestem okropny, straszliwie płytki, uwierz mi!" Ale było już za późno.

- Może byłem za bardzo natarczywy? To nie przez to, że chciałem za dużo?

- Nie, Will, wcale nie. Byłeś cudowny. I tak mi przykro, że...

Odrobinę zapłakała i kochał ją za to. Nigdy dotąd nie widział kobiecych łez, za które nie byłby odpowiedzialny, a obecne doświadczenie bardzo mu się podobało.

- Nie musisz za nic przeproszać, naprawdę. Naprawdę, naprawdę, naprawdę.

- Muszę.

- Nie.

Kiedy ostatnio był w takiej sytuacji, że to on mógł wybaczać? Na pewno nie dawniej niż w czasach szkolnych, a i wtedy było to dosyć wątpliwe. Ze wszystkich wieczorów spędzonych z Angie ten ostatni podobał mu się najbardziej.

To było dla Willa doświadczenie przełomowe. Wiedział, że będą teraz inne kobiety podobne do Angie - zaczną, przekonane, że chcą sobie regularnie popieprzyć, a skończą na przeświadczeniu, że spokojne życie jest jednak ważniejsze od dowolnej liczby głośnych orgazmów. Ostatecznie i jemu nie było daleko do takiego poglądu, zarazem jednak wiedział, że ma wiele do zaoferowania. Świetny seks, dużo masowania zbolącej duszyczki, doraźne ojcostwo bez komplikacji i wolne od poczucia winy z powodu rozstania - czegoś więcej mógł chcieć mężczyzna. Samotne matki - piękne, atrakcyjne, wolne kobiety, których tysiące są w Londynie - oto najwspanialsza ze znanych mu dotąd instytucji. Tak rozpoczęła się jego kariera seryjnego Przemilego Faceta.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Któregoś poniedziałkowego poranka mama zaczęła płakać przed śniadaniem i to go przeraziło. Poranny płacz to było coś zupełnie nowego, co stanowiło bardzo niedobłą zapowiedź, gdyż teraz należało przypuszczać, że może się zdarzyć o każdej porze, bez uprzedzenia, nie było już zatem bezpiecznych okresów. Dotąd przynajmniej poranki były OK; wydawało się, iż mama wstaje z nadzieją, że to, co czyniło ją nieszczęśliwą, przez noc gdzieś sobie poszło, odegnane przez sen, jak czasami się zdarza z przeziębieniem czy bólem brzucha. Kiedy kazała mu rano wstawać, głos miała całkiem normalny, bez gniewu, przygnębienia czy złości, taki normalny, maminy, gdy jednak wszedł do kuchni, zobaczył ją w szlafroku, zgarbioną nad talerzem i na pół zjedzonym tostem, z twarzą napuchniętą i smarkiem ciekącym z nosa.

Marcus nigdy się nie odzywał, kiedy mama płakała, nie wiedział bowiem, co powiedzieć. Nie rozumiał, dlaczego to robi, a skoro nie rozumiał, w żaden sposób nie mógł jej pomóc, a skoro nie mógł pomóc, to stał tylko w progu z otwartymi ustami i gapił się na nią.

- Chcesz herbaty? - spytała jak gdyby nigdy nic, ale właściwie domyślił się treści, tak niewyraźny był głos.

- Tak. Poproszę.

Wziął z suszarki czystą miskę i poszedł do spiżarki, aby nałożyć płatków. To go rozweseliło. Zdążył już zapomnieć, że w sobotę pozwoliła mu w supermarkecie wrzucić do wózka opakowanie z różnymi rodzajami, a teraz stanął przed normalnym problemem wyboru. Wiedział, że musi przebrnąć przez te nudne, kukurydziane albo z owocami, bo jeśli nie zacznie ich jeść, to nigdy nie znikną z półki, aż wreszcie zrobią się za stare, a mama, zła na niego, następnym razem kupi wielką torbę czegoś obrzydliwego. Rozumiał to wszystko, a przecież tak jak zawsze wybrał Coco Pops, czego nie zauważyła, co było pewną zaletą sytuacji. Zaletą jednak niewielką, gdyż o wiele bardziej by wolał, żeby była w dobrej formie i odesłała go z powrotem do spiżarki. Bez chwili zastanowienia zrezygnowałby z Coco Pops, gdyby tylko przestała płakać.

Zjadł płatki, wypił herbatę, pozbierał się, pocałował mamę na pożegnanie, tak normalnie, bez żadnej czułości, i wyszedł. Żadne z nich nie odezwało się słowem. Co jeszcze mógł zrobić?

Po drodze do szkoły zastanawiał się, co mogło jej się przydarzyć, co taki ego, o czym dotąd nie wiedział. Pracowała, mieli więc pieniądze, chociaż nie za dużo. Mama była terapeutką muzyczną, co znaczyło, że była jakby nauczycielką kalekich dzieci, przy czym zawsze powtarzała, że pieniądze są wstrętne, obrzydliwe, że forsa to jak zbrodnia. Tak czy owak, starczało im na mieszkanie, jedzenie, wyjazd raz w roku na wakacje, a nawet od czasu do czasu na gry komputerowe. Jeśli więc nie z powodu pieniędzy, to dlaczego płakała? Może ktoś umarł? Wiedział jednak, że nie umarł nikt ważny. Tak płakałaby po babci, dziadku, po wuju Tomie i jego rodzinie, ale wszystkich ich widział w zeszły weekend na czwartych urodzinach Elli, jego siostry stryjecznej. Może coś w związku z facetami? Wiedział, że chciałyby mieć nowego przyjaciela, ale wiedział o tym, bo sama na ten temat żartowała, jak więc od żartów miałyby przejść teraz do takiego płaczu? Poza tym to ona zerwała z Rogerem, a gdyby jej tak bardzo zależało, to by tego nie zrobiła. Co jeszcze? Usiłował sobie przypomnieć, dlaczego ludzie płaczą w EastEnders, nie licząc braku pieniędzy, śmierci i związków, ale niewiele to pomogło. Więzienie, niechciana ciąża, AIDS - nic z tego nie pasowało do mamy.

Zapomniał o wszystkim przed wejściem do szkoły. Nie dlatego, że tak postanowił, to raczej instynkt samozachowawczy tak zdecydował. Kiedy masz problemy z Lee Hartleyem i jego kolesiami, humory mamy przestają być ważne. Ale dzisiaj rano było całkiem OK. Stali pod murem nachyleni nad czymś, więc bez kłopotu dotarł do klasy.

Byli tam już jego koledzy, Nicky i Mark, i grali w tetris. Podeszedł do nich.

- Cześć.

Nicky mu odpowiedział, ale Mark nawet go nie zauważył, tak był zaabsorbowany. Marcus usiłował tak się ustawić, żeby zobaczyć, jak idzie Markowi, ale Nicky okupował jedyne miejsce, z którego można było dojrzeć malutki ekran. Usiadł i czekał, aż skończą. Oni jednak nie kończyli, czy raczej skończyli, ale zaraz zaczęli następną partię. Nie zaprosili go ani nie przerwali gry. Marcus odnosił wrażenie, że celowo go ignorują, ale nie miał pojęcia, czym mógł się narazić.

- Idziecie do sali komputerowej na przerwie?

Tak właśnie poznał Nicky'ego i Marka: na kółku komputerowym. Pytanie było głupie, bo wiedział, że pójdą. Gdyby nie poszli, podobnie jak on musieliby przez całą przerwę siedzieć gdzieś w kątku, aby nie zwracać na siebie uwagi tych z wielkimi gębami i ostrymi fryzurami.

- Czyja wiem. Może. Co, Mark?

- Czyja wiem. W sumie.

- Fajnie. To może się tam zobaczymy.

Co też było głupie. Będzie ich widział wcześniej, na przykład widział ich teraz, a nigdzie nie zamierzał znikać. Ale coś trzeba było powiedzieć.

Podczas przerwy to samo: Nicky i Mark przy gameboyu. OK, to nie byli serdeczni przyjaciele - jakich miał w Cambridge ale z nimi jakoś się układało, może dlatego, że nie byli podobni do reszty. Marcus raz nawet był po szkole w domu Nicky'ego. Wiedzieli, że odstają, niektóre dziewczyny mówiły na nich "odjazdy" (wszyscy trzej nosili okulary, żaden z nich nie przejmował się ubraniem, Mark miał żółte włosy i piegi, a Nicky wyglądał o trzy lata młodziej od każdego innego dwunastolatka), ale jakoś szczególnie ich to nie martwiło. Najważniejsze było to, że mieli siebie i nie musieli przemykać po korytarzach.

- Ej, Świrus, zaśpiewaj nam!

W drzwiach stało kilku z ósmej; Marcus ich nie znał - zatem wieść rozchodziła się szybko. Starał się udawać, że jest zajęty; wyciągnął szyję, jakby pochłaniało go śledzenie gierki, nic jednak nie mógł dostrzec, a na dodatek Mark i Nicky zaczęli się od niego odsuwać.

- Ej, Żółtas! Chris Evans! Pinglarz!

- To same pinglarze!

- Cholera, racja! Te, Żółty Pingiel! Cizia cię tak ugryzła w szyję?

Wydawało im się to bardzo śmieszne. Nie wiedział, dlaczego zawsze żartowali na temat dziewczyn i seksu; mieli jakiegoś fioła na punkcie seksu.

Mark się poddał i wyłączył gameboya. Ostatnio coraz częściej ich zaczepiali i nic na to nie można było poradzić; trzeba było jedynie czekać, aż się znudzą. Najgorsze, że trzeba było w tym czasie coś robić, znaleźć sobie zajęcie. Marcus zaczął robić wyliczanki; mama wymyśliła taką grę, w której jedna osoba miała kartkę z ogólnymi nazwami, na przykład "Chrupki", a druga musiała odgadnąć dwanaście wypisanych rodzajów, a potem role się zmieniały i trzeba było na przykład odgadnąć dwanaście drużyn futbolowych. Nie miał pod ręką kartek, nie było też drugiej ekipy; można jednak było pomyśleć sobie coś, co ma wiele odmian, i wyliczać je, dopóki tamci sobie nie pójdą. Na przykład owoce. Albo baloniki.

Oczywiście mars. Snickers. Bounty. Są jeszcze jakieś, które występują też jako lody? Nie mógł sobie przypomnieć. Topie.

Pienie.

- Hej, Marcus, jakiego rapera najbardziej lubisz? Tupaca?

Warrena G?

Znał te ksywy, ale nie kojarzyły mu się z żadną twarzą ani żadnym kawałkiem, zresztą nikt nie czekał na jego odpowiedź. Gdyby jej udzielił, byłoby jeszcze gorzej.

Czuł pustkę w głowie, ale to właśnie była część planu. W domu łatwo wymienić rodzaje batonów, ale tutaj, mając pod bokiem natrętów, było to prawie niemożliwe.

MilkyWay.

- E, Kurdup, wiesz, jak się robi laskę? Nicky udawał, że wygląda przez okno, ale Marcus mógłby się założyć, że nic nie widzi.

Pienie. Nie, to już było.

- Spadamy. Nudno tu. I zniknęli. Tylko sześć. Marnie.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, potem Mark spojrział na Nicky'ego, Nicky na Marka, aż wreszcie ten ostatni powiedział:

- Marcus, nie trzymaj się nas więcej, dobra? W pierwszej chwili nie wiedział, co powiedzieć, i bąknął tylko: "O!", ale po chwili spytał:

- A dlaczego?

- Żeby tamci się nas nie czepiali.

- Ale to przecież nie moja wina.

- Twoja. Zanim cię poznaliśmy, nikt się nas nie czepiał, a teraz codziennie mamy jakieś kłopoty.

Mógł ich zrozumieć. Gdyby Nicky i Mark nie kolegowali się z nim, tyle mieliby kontaktów z Lee Hartleyem i jego koleżkami co misie koala z piraniami. Z jego powodu jednak misie wpadły do wody i piranie zaczynały się nimi interesować. Nikt im jeszcze nie zrobił żadnej krzywdy, w powietrzu nie latały kije i kamienie, ale wyzwiska ciskało się nie inaczej niż pociski, a jeśli ktoś znalazł się na linii ognia, ponosił tego konsekwencje. To właśnie przydarzyło się Nicky'emu i Markowi - Marcus sprawił, że stali się widocznymi, a jako tacy stali się łatwym celem, a jeśli czuł do nich choćby odrobinę sympatii, powinien trzymać się jak najdalej. Tyle że nie miał dokąd pójść.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

"Jestem samotnym ojcem; mam dwuletniego synka. Jestem samotnym ojcem; mam dwuletniego synka. Jestem samotnym ojcem; mam dwuletniego synka". Za każdym razem, gdy Will to sobie powtarzał, pojawiał się powód, który stwierdzenie to czynił absolutnie niewiarygodnym. W środku głowy - nie było to może miejsce bardzo ważne, on jednak je cenił - absolutnie nie czuł się jak rodzic. Był za młody, za stary, za głupi, za mądry, zbyt chimeryczny, niecierpliwy, egoistyczny, niedbały, zbyt ostrożny (niezależnie od środków antykoncepcyjnych stosowanych przez partnerki zawsze stosował durex, i to nawet wtedy, gdy nie było to nieodzowne), zbyt mało wiedział o dzieciach, prowadził zbyt bogate życie klubowe, za dużo pił, za dużo ćpał. Gdy spoglądał w lustro, za nic nie potrafił w nim dojrzeć ojca, a tym bardziej ojca samotnego.

Usiłował zobaczyć w lustrze samotnego ojca, gdyż zbrakło samotnych matek, z którymi mógłby sypiać; prawdę mówiąc, Angie rozpoczęła ich korowód i jednocześnie zakończyła. Cudownie było uznać, że przyszłość należała do samotnych matek i że miliony smutnych, podobnych do Julie Christie, a samotnych kobiet z utęsknieniem wyczekiwało na telefon, tymczasem frustrująca prawda brzmiała tak, że nie znał numeru ani jednej z nich. Gdzież się one podziewały?

Trochę to potrwało, zanim sobie uświadomił, że z definicji samotna matka posiada dziecko, dzieci zaś, jak wiadomo, ogromnie utrudniają bywanie w świecie. Delikatnie zaczął rozpytywać pośród przyjaciół i znajomych, ale postęp był niewielki: albo nie znali samotnych matek, albo nie chcieli pośredniczyć w nawiązywaniu znajomości, przede wszystkim z racji negatywnej legendy, która owiewała romanse Willa. I oto znalazł nieoczekiwaną odpowiedź na ten zaskakujący brak łupu. Wymyślił dwuletniego synka imieniem Ned i zapisał się do grupy samotnych rodziców.

Większość osób nie zadawałaby sobie aż tyle trudu, aby zaspokoić kaprys, ale Will często działania dla innych zbyt uciążliwe podejmował po prostu dlatego, że miał na to czas. Całodzienna beczynność zapewniała mu niewyczerpane możliwości snucia wyobrażeń, układania planów i udawania kogoś, kim nie był. Na skutek wyrzutów sumienia po

szczególnie łajdackim weekendzie zgłosił się kiedyś do pracy w jadłodajni dla ubogich, a chociaż nigdy nie stawił się do pracy, to przynajmniej odpowiadając na telefony, mógł udawać kogoś, komu akurat wypadły pilne zajęcia, ale już za chwilę... Spodobała mu się kiedyś idea VSO, organizacji rozsyłającej ochotników do krajów słabo rozwiniętych na całym świecie, i wypełnił odpowiednie formularze; wyciął z gazety ogłoszenie o kursach szybkiego czytania; skontaktował się z agencją nieruchomości, wypytując o możliwość otwarcia restauracji, a przy innej okazji - księgarni...

Chodzi o to, że kiedy ma się już pewną praktykę w udawaniu, dołączenie do grupy samotnych rodziców, kiedy się nie było samotnym ojcem, nie stanowiło ani szczególnej trudności, ani ryzyka. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, spróbuje czegoś innego. Żaden problem.

ROSR (Razem choć Osobno - Samotni Rodzice) zbierali się w każdy pierwszy wtorek miesiąca w lokalnym centrum oświaty dla dorosłych. Dzisiaj miał być pierwszy występ Willa, który nie zdziwiłby się, gdyby występ ten okazał się też ostatnim. Bardzo prawdopodobne, że nie będzie wiedział, jak nazywa się kot listonosza Pata albo jakiej barwy jest samochód Noddy'ego, albo co gorsza - pomyli imię swego synka (rano ochrzcił go wprawdzie Nedem, ale kilkakrotnie myślał o nim jako Tedzie), co natychmiast zdemaskuje go jako uzurpatora i samozwańca. Jeśli jednak istniała chociażby malutka szansa, iż spotka kogoś podobnego do Angie, warto było spróbować.

Na parkingu przed centrum stał tylko jeden samochód poobijany citroen 2CV ze starą rejestracją, który, sądząc po plakietkach, odwiedził Świat Przygód w Chessington i Alton Towers w hrabstwie Stafford. Nowiutki GTI Willa nigdy nie był w żadnym z tych miejsc. Dlaczego? Oprócz jednej przyczyny całkowicie oczywistej Willowi przychodziła do głowy jeszcze tylko ta, że był kawalerem w wieku trzydziestu sześciu lat, w związku z czym nigdy nie odczuwał potrzeby, aby tłuć się całe mile z zamiarem pojeżdżenia na herbacianej tacy między plastikowymi górami.

Wnętrze ośrodka wprawiło go w stan przygnębienia. Od ponad dwudziestu lat nie widział klas, korytarzy i ręcznie malowanych plakatów i zdążył już zapomnieć, że brytyjska edukacja pachnie środkami dezynfekcyjnymi. Nawet nie przyszło mu wcześniej do głowy, że może mieć jakieś trudności z odnalezieniem miejsca, gdzie spotykają się ROSR, był bowiem przekonany, że wkroczy w radosny gwar i tłum ludzi starających się przy trunkach zapomnieć o swych kłopotach, a tymczasem nie było żadnego radosnego gwaru, a jedynie z oddali

pobrzmiwał markotny brzęk wiader. W końcu na drzwiach jednej z klas zobaczył przypiętą kartkę "ROSR!" Wykrzyknik wydał mu się niepokojąco ostentacyjny.

W środku zastał tylko jedną kobietę, która z kartonów wyjmowała butelki - białe wino, piwo, woda mineralna, cola z supermarketu - i ustawiała je na stole w środku sali. Resztę stołów przesunięto pod ściany; w kątach piętrzyły się stosy krzeseł.

- Czy dobrze trafiłem? - spytał.

Kobieta miała ostre rysy i czerwone policzki; przypominała mu Sally, ciotkę Worzela Gummidge'a, stracha na wróble.

- ROSR? Wchodź. Ty pewnie jesteś' Will? Frances. Uśmiechnął się i uściśnął jej dłoń. Przed południem rozmawiał z nią przez telefon.

- Nie przejmuj się, że nikogo jeszcze nie ma. Zwykle wolno się rozkręcamy. Opieka do dzieci.

- Ach, tak.

A więc przybył za wcześnie, ale jeszcze czymś się zdemaskował. Nie powinien był odpowiadać: "Ach, tak", jakby wyjawiała mu coś zagadkowego. Powinien był przewrócić oczyma i mruknąć coś w rodzaju: "Baby - sitters!" albo: "Mnie nie musisz tłumaczyć". "Może jeszcze nie było za późno.

- Mnie nie musisz tłumaczyć - powiedział, przewrócił oczyma, zaśmiał się gorzko i pokiwał głową.

Frances nie zwróciła uwagi na lekką niespójność obu uwag. - To co, dzisiaj obyło się bez kłopotów? - spytała.

- Mama się nim zajęła - oznajmił, dumny z tego zaimka osobowego. Z drugiej strony, dlaczego ten gorzki śmiech i wywracanie oczyma, skoro nie miał kłopotów z opieką nad szczeniakiem? - Ale rzadko mam takie szczęście. Zwykle kłopoty są straszne - dorzucił pośpiesznie.

Rozmowa nie trwała jeszcze dwóch minut, a on już był stropiony i roztrzęsiony.

- Kto z nas ich nie ma? - westchnęła Frances. Will roześmiał się serdecznie.

- Ja z pewnością - mruknął, co jednak nie było nazbyt jednoznaczne.

Miał wrażenie, iż Frances już rozpoznała go jako kłamcę albo szaleńca, zanim jednak podjął próbę uszczelniania dziury w burcie, zaczęli się pojawiać następni samotni rodzice. Czy raczej samotne rodzicielki, z których tylko jedna była po czterdziestce. Frances pełniła honory pani domu, on zaś poznawał kolejne damy. Sally i Moira, które wyglądały na ostre niewiasty, kompletnie go zignorowały, wzięły po plastikowym kubku z winem i oddaliły się w róg sali (Will zauważył z zainteresowaniem, że Moira miała T - shirt z Loreną Bobbitt); Lizzie była niska, przymilna i odrobinę zwariowana. Helen i Susannah najwidoczniej uważały, iż ROSR jest zdecydowanie poniżej ich godności, robiły więc kąśliwe uwagi na temat wina i miejsca. Saskia była dziesięć lat młodsza od następnej w kolejności osoby i bardziej przywodziła na myśl dziecko niż matkę. Suzie była wysoką nerwową blondynką o pięknej i bladej twarzy. To ona, pomyślał i przestał zwracać uwagę na kogokolwiek innego. Włosy blond i uroda to cechy, za którymi się rozglądał; bladeść i nerwowość zwiększały jego szansę.

- Cześć - powiedział. - Nazywam się Will. Jestem nowy . i nie znam tu nikogo.

- Dobry wieczór, Will. Ja nazywam się Suzie, jestem stara i znam tu wszystkich.

Roześmiała się ona, roześmiał się on i z reszty wieczoru tyle spędził w jej towarzystwie, na ile pozwalały wymogi dobrego tonu.

Nauczka, jaką dostał podczas rozmowy z Frances, sprawiła, że teraz lepiej przedstawił kwestię Neda. Zresztą Suzie z wielką ochotą opowiadała, on zaś z jeszcze większą słuchał. A było czego. Suzie wyszła za Dana, który wdał się w romans na boku, gdy była w szóstym miesiącu ciąży, a porzucił ją w przeddzień powrotu do pracy. Córkę, Megan, widział tylko raz, gdy przypadkowo natknęli się na siebie w Body Shop w Islington. Nie zależało mu na kontaktach ani z dawną żoną, ani z córką. Suzan była przygnębiona (usiłowała znaleźć zatrudnienie jako dietetyczka) i zgorzkniała, czemu Will wcale się nie dziwił. Suzie rozejrzała się po sali.

- Lubię tutaj przychodzić, bo jak jestem wściekła na świat, to nikt się na mnie nie boczy. Tutaj właściwie każdy ma powód, żeby się wściekać na świat.

- Naprawdę?

Will nie odniósł wrażenia, że znalazł się w gronie bardzo gniewnych osób.

- No to spójrzmy, kogo my tutaj mamy... Widzisz tę dziewczynę w dżinsowej kurtce? Mąż rzucił ją, bo nie był pewien, czy syn jest jego... Dalej... Helen... to nudna historia... Facet znalazł sobie kogoś w pracy... Moira... Wyszedł po papierosy... Susannah... Jej facet chyba prowadził podwójne życie...

I tak dalej: drobne wariacje na ten sam temat. Faceci, którzy raz spojrzeli na dziecko i znikali, faceci, którzy raz zerknęli na jedną koleżankę i znikali, faceci, którzy znikali bez żadnych wyraźnych powodów. Will natychmiast zrozumiał, skąd uwielbienie Moiry dla Loreny Bobbitt; gdy Suzie zbliżała się do końca swej litanii zdrad i wiarołomstwa, skłonny był sam obciąć sobie penisa kuchennym nożem.

- Czy to przypadek, że nie widzę żadnego mężczyzny? spytał.

- Jest tylko jeden, Jeremy, ale wyjechał.

- A, to i kobiety czasami rzucają mężów?

- Żona Jeremy'ego zginęła w wypadku samochodowym.

- Och, to okropne.

Był tak przygnębiony wyczynami przedstawicieli swojej płci, że spróbował nieco poprawić proporcje i powiedział głosem pełnymtąką miał przynajmniej nadzieję - tajemniczej melancholii.

- No cóż, ja też jestem sam.

- Och, przepraszam - stropiła się Suzie. - Ja cały czas mówiłam, a przecież i ty masz swoje problemy.

- Aaa... - Zrobił znużony gest ręką. - Nie ma o czym mówić.

- Bardzo cię to załamało?

- Raczej tak. Usta przybrał w blady, stoicki uśmiech.

- A ona widuje się z Nedom?

- Czasami. Ale specjalnie jej nie zależy.

Poczuł się odrobinę lepiej. Przyjemnie było rzucić delikatny cień na obraz pomiatanych kobiet. Nawet jeśli jego opowieść była fałszywa, to przecież niosła ze sobą pewną prawdę emocjonalną, on zaś w swej roli zaczynał dostrzegać nie przeczuwany przedtem aspekt artystyczny. Owszem, grał, ale w pewnym głębokim, niebanalnym sensie. Nie był hochsztaplerem; bardziej był Robertem De Niro.

- A jak on sobie z tym radzi?

- To dzielny chłopak. Prawdziwy zuch.

- Prawda, czasami nie wiadomo, skąd one znajdują w sobie tyle siły.

Ku swemu zdumieniu poczuł, że oczy mu się zaszkliły. Suzie objęła go ramieniem. Jedno nie ulegało wątpliwości: znalazł swoje miejsce.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Niektóre rzeczy były po staremu. Na weekend pojechał do Cambridge do ojca i tam się naoglądał telewizji. W niedzielę razem z tatą i Lindsey, jego dziewczyną, pojechali do Norfolk, gdzie mieszkała mama Lindsey, która podczas spaceru po plaży ni z tego, ni z owego dała mu piątkę. Lubił ją, podobnie jak Lindsey. Nawet jego mama lubiła Lindsey, chociaż czasami wyrażała się o niej nieładnie. (Nigdy jej nie bronił. Przeciwnie, notował sobie w pamięci wszystkie głupstwa, jakie Lindsey mówiła lub robiła, i powtarzał mamie po powrocie. Tak było trochę łatwiej). Wszyscy jednak byli w porządku, a chociaż teraz rodzinne grono się powiększyło, to ze wszystkimi miał kławe układy i nikt nie uważał go za cudaka, a przynajmniej nikt niczego takiego nie sugerował. W szkole zastanawiał się, czy aby nie przesadza.

Tymczasem wszystko zaczęło się od nowa, kiedy wracał do domu. Wstąpił do kiosku, gdzie była miła obsługa i pozwalali mu oglądać czasopisma komputerowe. Mógł czasami siedzieć tam dobre dziesięć minut, zanim cokolwiek powiedzieli, a i wtedy byli uprzejmi i przyjaźnie żartowali. Nie byli tak wrogo nastawieni jak ci, co na drzwiach sklepu wypisują: "W środku nie może przebywać więcej niż troje dzieci". Tego nie znosił. Uważali cię za złodzieja tylko dlatego, że miałeś za mało lat... Tam, gdzie są takie napisy, nigdy nie wejdzie i nie zostawi u nich pieniędzy.

- Jak tam twoja urocza mama, Marcus? - spytał mężczyzna zza kontuaru.

Lubili jego matkę, gdyż rozmawiała z nimi o miejscu, skąd pochodzili, a gdzie ona była kiedyś, jeszcze jako hippiska.

- Wszystko w porządku - odrzekł. Po co ma wszystko opowiadać?

Znalazł czasopismo, które do połowy przeczytał w zeszłym tygodniu, i zapomniał o całym świecie. Kiedy się ocknął, stali tuż koło j niego i się śmiali. Znienawidził ten dźwięk. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby już nikt do końca świata nie zaśmiał się ani razu.

- Co śpiewasz, Świrus?

Znowu to zrobił. Myślał o jednej z piosenek, gdzie Joni Mitchell śpiewa o taksówce, i znowu mu się wymknęło. Mruczeli coś nieskładnie, podrzucając bezsensowne słowa, i szturchali go, żeby się obrócił. Ignorował ich i usiłował skupić się na tym, co czyta. Kiedy miał przed sobą artykuł o komputerach, nie musiał przywoływać baloników. Na początku udawał, ale po chwili naprawdę o nich zapomniał, i dopiero czując ruch za plecami, zorientował się, że wychodzą.

- Ej, Mohammed - wrzasnął jeden w drzwiach, chociaż i pan Patel wcale się tak nie nazywał. - Sprawdź mu kieszenie, i To złodziej.

I dopiero teraz zniknęli naprawdę. Natychmiast sięgnął do kieszeni i znalazł w nich czekoladki i gumy do żucia. Nic nawet nie zauważył. Poczul się okropnie i chciał się tłumaczyć, ale pan Patel mu przerwał.

- W porządku, Marcus. Miałem na nich oko. Marcus podszedł do lady i wysypał na nią wszystko, co wpakowali mu do kieszeni.

- Są z twojej szkoły? Przytaknął.

- Lepiej nie wchodź im w drogę.

Jasne, tego nie trzeba mu było powtarzać. Problem w tym, że to nie on wchodził komuś w drogę.

W domu zastał mamę leżącą na materacu na podłodze. Przykryta kurtką oglądała kreskówkę w telewizji.

- Nie byłaś dzisiaj w pracy?

- Tylko rano. Po południu źle się poczułam.

- A co ci jest?

Żadne] odpowiedzi.

To nie w porządku; jest tylko dzieckiem. W miarę jak dorastał, coraz więcej się nad tym zastanawiał. Nie wiedział czemu może kiedy był jeszcze pełnym dzieckiem, w ogóle sobie tego nie uświadamiał. Dopiero w pewnym wieku uzmysławiasz sobie to, że masz

niewiele lat. A może kiedy był naprawdę mały, nie • było się jeszcze czym martwić; pięć czy sześć lat temu nie zdarzało się, żeby mama dygotała przykryta kurtką i oglądała durne kreskówki, poza tym nawet gdyby tak robiła, nie widziałby w tym nic nienormalnego.

Teraz jednak było inaczej. Źle było w szkole, źle było w domu, a ponieważ całe jego życie rozgrywało się w szkole i domu, więc źle było w ogóle, z wyjątkiem co najwyżej czasu snu. Coś się musiało zmienić, ale on sam nie mógł nic poradzić. Tylko kto miał to zrobić, jeśli nie osoba, która teraz leżała owinięta kurtką.

Dziwna była ta jego mama. Strasznie jej zależało na gadaniu, ciągle kazała mu o wszystkim opowiadać, ale chyba tak naprawdę wcale jej to nie obchodziło. Była fajna w drobiazgach, wiedział jednak, że gdyby poszło o coś poważnego, zaraz by się zaczęły kłopoty, szczególnie teraz, kiedy płakała i płakała bez powodu. Teraz nie widział jednak innego wyjścia: był tylko dzieckiem, ona była jego matką, a jeśli było mu źle, to ona powinna mu w tym pomóc. Nawet jeśli nie zechce, nawet jeśli potem będzie się czuła jeszcze gorzej. Trudno, za wiele się porobiło. Był dostatecznie zły, by z nią porozmawiać.

- Po co to oglądasz? Przecież to głupoty. Zawsze mi tak mówisz.

- Myślałam, że lubisz firmy rysunkowe.

- Lubię, ale nie ten. Ten jest okropny.

Przez chwilę milcząc, wpatrywali się w ekran. Dziwny stwór podobny do psa próbował złapać chłopca, który potrafił zamieniać się w coś w rodzaju latającego spodka.

- Co ci było? - spytał surowym tonem, jakiego użyłby nauczyciel, pytając Paula Coxa, czy odrobił pracę domową. Znowu bez odpowiedzi.

- Mamo, co ci było?

- Och, Marcus, nic takiego, co można by..

- Nie traktuj mnie jak idiota. Zaczęła płakać; ten głuchy, przeciągły szloch zawsze przerażał go najbardziej.

- Musisz przestać.

- Nie mogę.

- Musisz. Jeśli nie możesz sama się mną zająć, to znajdź kogoś, kto może.

Przewróciła się na brzuch i spojrzała na niego zażawionymi oczyma.

- Jak możesz mówić, że się tobą nie zajmuję?!

- Bo się nie zajmujesz. Najwyżej dajesz mi jedzenie, a to mogę sam zrobić. A resztę czasu płaczesz. Tak... nie wolno. Dla mnie to bardzo niedobre.

Rozpląkała się jeszcze głośniej, poszedł więc na górę do siebie i ze słuchawkami na uszach grał w NBA, chociaż nie wolno mu było, jeśli następnego dnia miał lekcje. Kiedy jednak zszedł, materac zniknął, a mama nałożyła na talerze makaron, polać sosem i wyglądała całkiem OK. Wiedział, że tak nie jest; nawet jeśli był dzieckiem, to na tyle dużym, by wiedzieć, że ludzie nie przestają świrować (a był coraz bardziej przekonany, że o to w końcu chodziło) tylko dlatego, że im tak powiesz. Wystarczało mu, jeśli przynajmniej starała się wyglądać OK.

- W sobotę pojedziesz na piknik - oznajmiła znenacka.

- Piknik?

- Tak. W Regent' s Park.

- Z kim. - Z Suzie.

- IzROSR?

- Tak. Z ROSR.

- Nie znoszę ich. Jak tylko się zjawili Londynie, Fiona była z nim na party ROSR w czyimś ogrodzie, ale potem już tam nie poszła, jego zaś jeszcze raz zabrała Suzie podczas jednego z wypadów.

- Tantpis.

I po cholere mówila coś takiego? Wiedział, że po francusku znaczy to mniej więcej "gówniana sprawa", ale czemu nie mogła powiedzieć tak po ludzku? I jak tu się dziwić, że jest dziwakiem? Jeśli masz matkę, która ni stąd, ni zowąd gada po francusku, to trudno, żebyś na przykład nie podśpiewywał sobie mimo woli w kiosku. Nałożył na makaron furę sera i zamieszał.

- A ty idziesz?

- Nie?

- To dlaczego ja muszę?

- Żebym mogła odpocząć.

- Będę siedział u siebie.

- Robię tak, jak chciałeś, znalazłam ci kogoś, kto się tobą zajmie. Suzie o wiele lepiej się do tego nadaje.

Suzie była jej najlepszą przyjaciółką, znały się jeszcze ze szkoły. Była fajna i Marcus ją lubił, ale wcale nie chciał iść z nią razem do tych wstrętnych dzieciaków z ROSR. Był co najmniej dziesięć lat starszy od nich i bardzo się wściekał, kiedy musiał robić coś razem z nimi. Po ostatniej wizycie w zoo oświadczył mamie, że chce sobie zrobić wazektomię. Ona się tylko śmiała, ale on mówił poważnie. Nigdy nie będzie miał dzieci, więc czemu już teraz tego nie załatwić?

- Mogę przez cały dzień grać tak, że nawet nie będziesz wiedziała, że jestem w domu.

- Nie, nie, ja muszę gdzieś wyjść, zrobić coś normalnego, tutaj... Tutaj nie mam czym oddychać.

- Jak to?

- Bo... Och, mniejsza z tym. Po prostu oboje źle na siebie wpływamy.

Zaraz, chwilę! Oboje źle na siebie wpływamy? Po raz pierwszy od czasu, gdy znowu zaczęła płakać, także on chciał się rozszlochać. Wiedział, że ona źle na niego wpływa, ale nie miał pojęcia, że to może także działać w drugą stronę. Ale co on takiego zrobił? Kiedyś musi

ją o to spytać, lecz z pewnością nie dzisiaj. Wcale nie był pewien, czy spodobałaby mu się odpowiedź.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- A to zdzira!

Will wpatrywał się w stopy i wydawał pomruki mające znaczyć, że jego eks - żona nie jest aż taka zła.

- O nie, Will, tak się nie robi! Nie można dzwonić na pięć minut przed terminem i wywracać wszystkich planów do góry nogami. Powinieneś jej być powiedzieć, żeby się od... - Suzie rozejrzała się, czy nie słyszy jej Marcus, dziwny chłopak, który najwyraźniej zwał się jej na kark na cały dzień - ...czepiła.

Jego była (Paula, jak zorientował się ze słów Suzie; takie imię widocznie podał) musiała stać się winna tego, iż Ned nie pojawi się na pikniku, ale w obliczu wściekłości Suzie czuł jakąś niejasną potrzebę lojalności. Może posunął się odrobinę za daleko?

- No wiesz... - powtarzał, podczas gdy złość Suzie nie malała - ...czasami tak bywa...

- Nie możesz tak odpuszczać, bo inaczej ciągle będzie cię tak urządzała.

- Ale to dopiero pierwszy raz.

- I nie ostatni, popamiętasz moje słowa. Jesteś za miękki. Teraz już za późno na pieszczoty. Musisz stawiać się twardo.

- Może i tak.

Dla Willa było to coś niezwykłego, gdy słyszał, że jest za delikatny i powinien być twardszy, zarazem jednak był taki stropiony, iż bez trudu można było zrozumieć, że Paula poczyniła sobie z nim bezceremonialnie.

- I żeby jeszcze wziąć samochód!

Zdażył już zapomnieć o samochodzie, który Paula także zaanektowała rano z jakichś potwornie zawiłych przyczyn, w efekcie czego Will musiał zadzwonić do Suzie i poprosić, żeby go podzuciła do Regent's Park.

- No tak, ale ona... - Zabrakło mu słów. Jeśli zważyć na to, co Paula zrobiła z Nedem i samochodem, trudno było się nie oburzać, ale ciągle nie potrafił z siebie wykrzesać odpowiedniej pasji. Musiał się jednak na to zdobyć, chociażby po to, aby pokazać Suzie, że nie jest cherlakiem. - Jednak masz rację, zachowała się jak wstrętne krowa.

- Nic dodać, nic ująć.

Nabieranie ludzi okazywało się jednak o wiele trudniejsze, niż sądził, i zaczynał podejrzewać, że nie obmyślił wszystkiego odpowiednio. Na razie miał trupę trzyosobową: Paula, Ned i matka (ona przynajmniej nie była całkowitym tworem wyobraźni; kiedyś przecież żyła, chociaż było to jakiś czas temu), zaczynał jednak podejrzewać, że bardzo szybko rozrośnie się ona do tysiąca osób. Ale jak się w tym wszystkim połapie? Ile razy można Neda czynić ofiarą zabiegów matki, nadopiekuńczej babki czy międzynarodowych terrorystów? Jakże znajdować przyczyny uniemożliwiające zaproszenie Suzie do mieszkania, gdzie powinny się znajdować zabawki, beciki, pieluszki, miseczki? A może uśmiercić Neda: straszliwa choroba, katastrofa, tragedia tragedią, ale życie toczy się dalej? Bardzo ryzykowne; rodzice są bardzo uwrażliwieni na śmierć dzieci i na pewno zapłatałyby się w szczegółach, a poza tym skąd miałby znaleźć w sobie tyle bóleści, żeby starczyło na rozsądny czas żałoby? A gdyby tak Paula... Zagarnia Neda sobie, chociaż wcześniej się nim nie interesowała? Ewentualnie. ... tyle że wtedy przestaje być samotnym ojcem, a przecież na tym się wszystko opiera!

Tak, tak, nieuchronnie nadciągała katastrofa, a on nie mógł jej zapobiec. Więc może najlepiej wycofać się zawczasu, odejść, zostawić ich w przekonaniu, że może był ekscentrykiem, ale z pewnością nie zbrojcem czy oszustem, którym niechybnie miał się niebawem okazać. Tyle że takie rozwiązanie nie było w jego stylu, gdyż nigdy nie odstępowało go uczucie, że coś się jednak stanie i odmieni bieg wypadków, chociaż zawsze okazywało się to płonną nadzieją. Lata temu, jeszcze w szkole, powiedział koledze (wcześniej się upewniwszy, że ten nie jest fanem C.S. Lewisa), że przez ścianę w jego domowej szafie można przejść do innego świata i zaprosił go na wspólną wyprawę. Mógł jakoś to odwołać, znaleźć tysiące wykrętów, ale jeśli nie było absolutnej, bezpośredniej konieczności, wołał

uniknąć tego momentu kłopotliwego rozczarowania. Skończyło się więc na tym, że przez kilka minut bobrowali między wieszakami, aż wreszcie Will bąknął, że być może ten inny świat zaczęli teraz zamykać na soboty. Pamiętał, że do ostatniej sekundy miał nadzieję, że jednak zdarzy się coś, co pozwoli mu zachować twarz. Nie zdarzyło się, podobnie jak wiele następnych razy - i chyba musiał mieć tych twarzy bez liku, że ciągle jeszcze jakaś mu zostawała - ale nie wyciągał z tego żadnej naučky. I oto teraz, bliżej już czterdziestki niż trzydziestki, na przekór wszystkim prywatnym oczywistościom odgrywał ojca dwuletniego chłopaka, wierząc, iż kiedy przyjdzie co do czego - brzdąc się pojawi, nie wiadomo skąd.

- Chyba powinieneś się napić kawy - zasugerowała Suzie.

- Nieźle by mi to zrobiło. Co za ranek! Pokiwał głową w udanym zdumieniu, a Suzie sympatycznie wydeła policzki. Właściwie zaczynał się nieźle bawić.

- Nawet nie wiem, czym się zajmujesz - powiedziała Suzie, kiedy lokowali się w samochodzie. Obok niej w dziecięcym fotelu znalazła się Megan, Will usadowił się z tyłu wraz z Marcusem, dziwnym chłopakiem, który coś bezgłośnie nucił.

- Niczym.

- O?

Zwykle błagował, ale teraz tyle już powymyślał na innych frontach... że gdyby jeszcze wymyślił sobie zawód, po pierwsze, mógłby się całkiem pogubić w tym wszystkim, a po drugie, nie przekazałby Suzie nawet odrobiny prawdy.

- A co robiłeś przedtem?

- Też nic.

- Nigdy nie pracowałeś?

- Wiesz, czasami zajmowałem się na krótki czas tym albo owym, ale...

- To znaczy... - Suzie zamarła, a Will wiedział dlaczego. Człowiek, który nigdy nie pracował, to... dno. Nie było nic do powiedzenia na ten temat, przynajmniej nie teraz.

- W trzydziestym ósmym mój tata napisał piosenkę. Stała się bardzo znana, a ja żyję z tantiem.

- Znasz Michaela Jacksona, nie? No więc on zarabia milion funtów na minutę - wtrącił się cudak.

- Milion funtów na minutę to chyba nie - zaprotestowała Suzie. - To straszna kupa forsy.

- Milion funtów na minutę - powtórzył stanowczo Marcus. - Sześćdziesiąt na godzinę.

- Ja w każdym razie nie zarabiam sześćdziesięciu milionów funtów na godzinę - oznajmił Will. - Znacznie mniej.

- A ile?

- Marcus! - upomniała chłopca Suzie. - A jaka to piosenka, Will? Skoro możesz się z niej utrzymać, to chyba ją słyszeliśmy?

- No... Mikołaja supersanki - powiedział Will głosem, który miał zabrzmieć obojętnie, ale zabrzmiał głupio i nic na to nie można było poradzić. Marzył o tym, aby ojciec napisał był jakąś inną piosnkę, no może z wyjątkiem: Itsy Bitsy Teeny Weeny Yellow Polka Dot Bikini albo Ile kosztuje ten piesek w oknie?

- Naprawdę? Mikołaja supersanki! - zgodnie wykrzyknęli Suzie i Marcus, a następnie równie zgodnie zanucili:

Wiać tylko się odpręż i odstaw szampana, A bada prezenty i radość do rana. Mikołaja supersanki Super supersanki...

Zawsze to samo. Usłyszawszy tytuł, ludzie zawsze nucili i zawsze ten sam fragment. Will miał znajomych, którzy każdą rozmowę telefoniczną zaczynali od tej samej przyśpiewki, akiedy się nie śmiał, oskarżali go o brak poczucia humoru. Ale z czego tu się śmiać? Nawet jeśli było to zabawne, to jak miał zaśmiewać się z tego przez całe lata?

- Pewnie wszyscy zawsze tak reagują - Skądże. Wy dwoje jesteście pierwsi. Suzie zerknęła na niego w lusterku.

- Przepraszam. - Nie za ma co.

- Ale czegoś tu nie rozumiem. Jak ty na tym zarabiasz? Kiedy nadchodzi Boże Narodzenie, to płacą ci dziesięć pensów od każdego wykonania?

- Powinni, ale nie da się wszystkich upilnować. Płacą mi od każdej płyty, na której jest ten kawałek. Nagrał ją Elvis. I Muppety.

Także Des O'Connor. Crankies. Bing Crosby. David Bowie w duecie ze Zsą Zsą Gabor. Val Doonican, Cilla Black, Rod Hull, Emu, a także amerykańska grupa punkowa Cunts. I jeszcze setka innych. Znał ich nazwiska, pseudonimy i nazwy z dokumentów tantiemowych, ale nikt mu się nie podobał. Był nawet dumny ze swej siły ducha, gdyż bardzo doskwierała mu myśl, że utrzymuje go Val Doonican.

- I nigdy nie chciałeś iść do pracy?

- Czasami. Tylko... Chyba jakoś nie umiałem się przy tym zakrzętać.

Było to najbardziej skrótowe oddanie prawdy. Istotnie nie umiał. Przez ostatnich osiemnaście lat codziennie budził się z postanowieniem, że musi coś zrobić ze swoim życiem, ale w trakcie dnia determinacja gdzieś znikwała.

Suzie zaparkowała przy Outer Circle i zajęła się wyplątywaniem Megan, podczas gdy Will stał z Marcusem na chodniku i nie wiedział, jak się zachować. Marcus zupełnie się nim nie interesował, chociaż i o Willu trudno byłoby powiedzieć, że jakoś intensywnie starał się zbliżyć do chłopaka. Niemniej przyszło mu do głowy, że niewielu dorosłych miało lepsze od niego szansę, by nawiązać kontakt z nastolatkiem (wiek Marcusa trudno było ustalić. Miał szopę włosów na głowie, ubrany był jak dwudziestopięcioletni kasjer bankowy na wycieczce, miał na sobie nowiutkie džinsy i koszulkę Microsoftu). Will interesował się sportem i muzyką pop, dobrze też znał kłopoty związane z zagospodarowaniem czasu. Prawdę mówiąc, Will nadal był nastolatkiem. W kontaktach z Suzie w niczym mu to nie zaszkodzi, jeśli nawiąże koleżeński kontakt z synem jej przyjaciółki. Nad Megan popracuje później. Krótkie łachotanie powinno załatwić sprawę.

- To jak, Marcus, jakiego piłkarza lubisz najbardziej?

- Nienawidzę futbolu.

- Aha. Szkoda.

- Dlaczego?

To pytanie Will pozostawił bez odpowiedzi, natomiast spróbował innego:

- A to jaką grupę najbardziej lubisz?

- A ty masz taką listę pytań?

Suzie roześmiała się, Will zaś spłoszył.

- Nie, tylko jestem ciekaw.

- OK, najbardziej lubię Joni Mitchell.

- Serio? Nie MC Hammer? Albo Snoop Doggy Dogg? Albo Paul Weller?

- Tych nie znoszę. - Marcus zmierzył Willa spojrzeniem, od adidasów po fryzurę i ciemne okulary, a potem dorzucił okrutnie: - Słuchają ich tylko zgredy.

- U ciebie wszyscy w szkole słuchają Joni Mitchell?

- Większość.

Will znał się trochę na hip - hople, acid house, grungu, znał Madchester i muzykę niezależną, czytał nadal "Time Out", "iD", "Face", ".Arena" i "New Musical Express", ale nigdzie nie znalazł żadnej wzmianki o benefisie Joni Mitchell. Poczł się stropiony.

Marcus tak szybko ruszył przed siebie, że natychmiast wysforował się o kilkanaście kroków. Will nie starał się go gonić, co wykorzystał na rozmowę z Suzie.

- Często musisz się nim zajmować?

- Nie tak często, jak bym chciała, prawda, Marcus?

- Co? - odpowiedział pytaniem, ale przynajmniej się zatrzymał.

- Powiedziałam, że nie zajmuję się tobą tak często, jak bym chciała.

- Aha.

Znowu ruszył przed siebie, ale tym razem dystans był mniejszy, więc Will nie wiedział: słyszy czy nie?

- A co z jego matką? - spytał cicho.

- Trudno powiedzieć. Jest trochę jakby...

- Ś wiruje - rzeczowo poinformował Marcus. - Nic, tylko ciągle płacze i nie chodzi do pracy.

- Oj, Marcus, nie przesadzaj. Raptem wzięła sobie wolne na kilka dni. Każdy z nas tak robi, jak jest, wiesz, nie w sosie.

- Nie w sosie? - prychnął Marcus. - Ja to nazywam świrowaniem.

Taką nutę wojowniczości Will dotąd słyszał w głosie starszych ludzi, kiedy chcieli powiedzieć, że sprawy stoją o wiele gorzej, niż ty usiłujesz to przedstawić. Tak było z jego ojcem w ostatnich kilku latach życia.

- Dla mnie ona wcale nie ma świra.

- Bo nie widzisz jej tak często jak ja.

- Widuję ją tak często, jak mogę.

Will wychwycił jakiś ton defensywny w głosie Suzie. O co chodziło z tym chłopakiem? Jak tylko dostrzegł gdzieś twoją słabość, atakował bez litości.

- Może. 6.

- Dlaczego mówisz "może"? Marcus wzruszył ramieniem.

- W każdym razie przed tobą nie świruje. Robi to dopiero, jak jesteśmy w domu tylko we dwoje.

- Wszystko będzie w porządku - uspokajała Suzie. - Bardzo dobrze, że ma teraz weekend dla siebie. Przed nami fajny piknik, a kiedy wrócisz wieczorem do domu, zobaczysz ją wypoczętą i w dawnej formie.

Marcus tylko prychnął i znowu się od nich oddalił. Byli już w parku i bez trudu mogli z daleka rozpoznać grupę ROSR nad stawem; napełniano właśnie pojemniki z sokami i rozpakowywano z folii jedzenie.

- Widzę się z nią co najmniej raz w tygodniu - tłumaczyła Suzie. - Poza tym dzwonię. To naprawdę tak mało? Przecież nie obijam się całymi dniami. Studiuję. Mam Megan. Do diabła.

- Nie wierzę, że wszyscy jego koledzy słuchają Joni Mitchell - mruknął Will. - Czytałbym coś o tym. Jestem na bieżąco.

- Chyba powinnam dzwonić codziennie - skonstatowała Suzie.

- Cholera, a może te pisma są do niczego? - zafrasował się Will.

Nagle poczuli się starzy i pogiębieni.

Wyjaśnienie, dlaczego nie ma Neda, zostało przyjęte przez ROSR ze zrozumieniem, ale niby dlaczego miałyby być inaczej. Czy ktoś byłby aż takim fanatykiem kanapek z jajkiem oraz dziecięcego baseballu, żeby wymyślać potomka? Tak czy siak, czuł pewne wyrzuty sumienia i dlatego rzucił się w wir działań piknikowych z entuzjazmem, który zwykle pojawiał się u niego za sprawą wspomaganie chemicznego lub alkoholowego. Rzucał piłkę, puszczał bańki, rozrywał torby z chrupkami - kiedy zawartość dwóch czy trzech rozsypał z nadmiaru energii, pociekło trochę łez i błysnęło kilka poirytowanych spojrzeń - chował się, szukał, łaskotał, podrzucał w powietrze... Robił wszystko, aby tylko trzymać się możliwie jak najdalej, i najdłużej, od dorosłych okupujących koce pod drzewem i od Marcusa, który chodził nad stawem i resztki nie dojedzonej kanapki rzucał kaczkom.

Will nie czuł się z tym źle. W chowanego był lepszy niż w rozmowie, a poza tym istniało wiele gorszych sposobów na spędzenie czasu od uszczęśliwiania dzieciaków. Podeszła do niego Suzie, z Megan śpiącą w nosiłkach.

- Pewnie ci go brak?

- Kogo?

Nie miał pojęcia, o kim mówi, dopiero porozumiewawczy uśmiech naprowadził go na trop. Odpowiedział uśmiechem.

- Wieczorem znowu się zobaczymy, w każdym razie bardzo by mu się tu podobało.

- Jaki on jest?

- Jaki... Fajny. Fajny mały mężczyzna.

- Wyobrażam sobie. Ale jak wygląda?

- Hmm... Jest dość niski.

- To żadna wada, a poza tym jeszcze ma czas podrosnąć. Megan jest strasznie podobna do Dana, na co jestem wściekła. Will zerknął na śpiące dziecko.

- Śliczna.

- Tak i dlatego się wściekam. Tak jak dzisiaj: patrzę na nią, myślę: "Jaka piękna dziewczynka", ale zaraz potem: "Ty łajdaku!", a potem... Potem sama już nie wiem co. Wszystko mi się płacze. Że to ona jest łajdakiem, a on śliczny... Kończy się na tym, że nienawidzisz swojego dziecka, a kochasz faceta, który je porzucił.

- Mhmm - mruknął Will, który znowu poczuł się nietęgo. Ponieważ rozmowa zboczyła na ponure tereny, można było spróbować zrobić następny krok.

- Przecież poznasz jeszcze kogoś.

- Tak sądzisz?

- No wiesz. Tylu jest mężczyzn... To znaczy, wiesz, jesteś bardzo... Wiesz, rozumiem, że moja opinia się nie liczy, ale... Jest... jesteś...

Urwał pełen nadziei. Jeśli nie zareaguje, trzeba będzie dać sobie spokój.

- A dlaczego twoja opinia ma się nie liczyć? Bingo.

- No bo... Czyja wiem... Nagle przed nimi wyrósł Marcus; przestępował z nogi na nogę, jakby mu się bardzo chciało siusiu.

- Chyba zabiłem kaczkę - oznajmił.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Marcus nie mógł uwierzyć własnym oczom. Martwa. Nie żywa kaczka. OK, próbował trafić jej w łeb kawałkiem chleba, ale próbował już wielu rzeczy i nigdy nic nie wychodziło. Próbował uzyskać najwyższy wynik na automacie Stargazer w barze na Hornsey Road - i nic. Przez cały tydzień próbował odgadnąć myśli Nickeya, wpatrując się na matematyce w tył jego głowy - i nic. I oto, kiedy spróbował czegoś, na czym mu wcale nie zależało, po raz pierwszy się udało. Od kiedy to jednak ptaki padają od uderzenia kawałkiem chleba? Połowa dzieci w Regenfs Park rzuca najróżniejszymi rzeczami w kaczki, dlaczego jemu właśnie się to przytrafiło? Coś tu było nie tak. Pewnie kaczka była już i tak bliska śmierci na atak serca czy na coś takiego, a rzut Marcusa tylko przyspieszył sprawę. Tyle że i tak nikt w to na pewno nie uwierzy. Jeśli byli jacyś świadkowie zdarzenia, to zobaczyli, że chłopak rzuca czymś w tył łba kaczki, a ptak w chwilę później bezwładnie opada. Dodadzą dwa do dwóch, otrzymają pięć i skażą go za zbrodnię, której nie popełnił.

Will, Suzie, Megan i Marcus stali na dróżce nad stawem i patrzyli na unoszącą się na wozie zdechłą kaczkę.

- Nic na to nie poradzimy - odezwał się Will, modniś, który przystawiał się do Suzie. - W czym problem?

- A jeśli ktoś to widział?

- A widział?

- Nie wiem, ale mógł. Mógł powiedzieć strażnikowi.

- Ktoś cię mógł widzieć czy widział? Mógł powiedzieć czy powiedział?

Marcusowi nie podobał się ten facet, nic więc nie odpowiedział.

- A co to pływa obok? - spytał Will. - Może ten chleb, którym rzuciłeś?

Marcus posepnie kiwnął głową.

- To co się potem dziwić. Mnie byś tym zabił.

- Ale po co, Marcus? - westchnęła Suzie. - O co ci chodziło?

- O nic.

- Nie tak to wygląda - powiedział Will. Marcus nienawidził go coraz bardziej. Za kogo ten facet się uważa?

- Nie wiem, czy to na pewno ja.

Trzeba wypróbować tę możliwość. Jeśli Suzie tego nie kupi, nie ma nawet co marzyć, że uwierzy mu policjant czy sędzia.

- Jak to?

- Chyba już i tak dogorywała. I bez tego zaraz by kojfnęła.

Nikt tego nie skomentował, ale Will skrzywił się z irytacją. Marcus uznał, że to jednak kiepska linia obrony.

Tak się zapatrzyli na miejsce zbrodni, że z obecności strażnika parku zdali sobie sprawę dopiero wtedy, kiedy stanął tuż obok. Marcus poczuł, jak żołądek mu się kurczy do wielkości orzecha. Stało się.

- Padła panu jedna z kaczek - oznajmił Will takim głosem, jakby informował o śmierci najbliższego przyjaciela. Marcus spojrzał na niego i nie był już pewien, czy istotnie go nienawidzi.

- A ja słyszałem, że mieliście z tym coś wspólnego surowo oświadczył strażnik. - Wie pan, że to przestępstwo?

- Ktoś panu powiedział, że to ja miałem z tym coś wspólnego? - powiedział z niedowierzaniem w głosie Will i powtórzył: - Jaaa?

- Może nie pan, ale ten kawaler tutaj.

- Sugeruje pan, że Marcus mógł zabić kaczkę? Marcus kocha kaczki, prawda, Marcus?

- Tak. To moje ulubione zwierzęta. To znaczy drugie, bo pierwsze są delfiny. Kaczki to najulubieńsze z ptaków.

Bajerował, bo tak naprawdę nie znosił zwierząt, ale pomyślał, że tak będzie lepiej.

- A ja słyszałem, że rzucał cholernie wielkimi kawałami bagietki.

- Tak, ale kazałem mu przestać. Wie pan, jak to jest z chłopakami.

Marcus znowu go nienawidził. Powinien był wiedzieć, że go w końcu wystawi do wiatru.

- A więc jednak zabił?

- Skądże. A, rozumiem, pan pomyślał... Nie, ciskał chlebem w martwą kaczkę, żeby utonęła. Megan się strasznie przejęła. Strażnik spojrzał na śpiącą dziewczynkę.

- Jakoś nie jest specjalnie przejęta.

- Tak się zmęczyła płaczem, że zasnęła, biedactwo.

Milczenie. Marcus wiedział, że stanęli na rozstaju. Strażnik mógł albo oskarżyć ich o kłamstwo i wezwać policję czy chociażby napisać raport, albo dać sobie spokój.

- No to nic, muszę tam wleźć i ją wyciągnąć. Udało się. Marcus nie zostanie posadzony za zbrodnię, której - OK, prawdopodobnie - nie popełnił.

- Mam nadzieję, że to żadna epidemia - zawołał Will i ruszyli do reszty grupy.

To wtedy Marcus zobaczył - czy też tak mu się przynajmniej wydawało - mamę. Stała na ścieżce i się uśmiechała. Pomachał jej i obrócił się do Suzie, żeby powiedzieć, iż mama się jednak zjawiała, ale właśnie w tym momencie matka zniknęła. Poczul się strasznie głupio i nie mruknął nawet słowa.

Marcus nie wiedział, dlaczego Suzie się uparła, że odprowadzi go do samego domu. Nie po raz pierwszy zabierała go do miasta i zawsze dotąd czekała w samochodzie, aż drzwi się otworzą, i odjeżdżała. Dzisiaj jednak wyłączyła silnik, odpięła nosiłki z Megan i weszła razem z nim. Ona także nie potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego tak zrobiła.

Willa nikt nie zapraszał, ruszył jednak za nimi, a Marcus się nie sprzeciwił. Następne dwie minuty utrwaliły mu się w pamięci ze zdumiewającą wyrazistością: wchodzą po schodach, kuchenne zapachy na klatce, wzór na chodniku, który zobaczył chyba po raz pierwszy. Potem wydawało mu się, że był zdenerwowany, ale to raczej późniejsza wstawka, bo nie było czym się denerwować. Włożył klucz do zamka, otworzył drzwi i... bang! - bez żadnego ostrzeżenia zaczął się nowy okres w jego życiu.

Mama w połowie leżała na sofie, a w połowie się z niej zsunęła, głowa bezwładnie zwieszała się w dół. Twarz była biała, na dywanie lśniła mała kałuża wymiocin, ale na niej samej było ich niewiele. Albo odchyliła się, czując torsje, albo miała szczęście. W szpitalu powiedzieli mu, że to cud, że się nie zachłysnęła i nie udusiła własnymi rzygowinami. Były szare i pełne jakichś kawałków; w pokoju cuchnęło.

Zamurowało go. Nie mógł wydobyć z siebie słowa ani krzyku. Stał jak sparaliżowany. Natomiast Suzie odruchowo zdjęła nosiłki i ustawiła na podłodze, a następnie podskoczyła z krzykiem i zaczęła bić mamę po twarzy. Pewnie od razu zobaczyła flakonik po pastylkach, który Marcus zauważył dopiero po przyjeździe karetki, więc na początku był nawet zdziwiony - czemu Suzie się tak wścieka na kogoś, komu tylko zrobiło się niedobrze?

Willowi kazała dzwonić na pogotowie, a Marcusowi zrobić czarną kawę, ale mama zaczęła się już poruszać i wydawać straszliwe sieknięcia, których nigdy przedtem nie słyszał i nigdy już nie chciałby usłyszeć. Suzie zaniósł się płaczem, zaraz dołączyła do niej Megan i w kilka chwil w milczącym pokoju zrobiło się głośno od łkań i pochlipowań.

- Fiona! Jak mogłaś?! - krzyczała Suzie. - Przecież masz dziecko!!! Jak mogłaś?

Dopiero w tym momencie przyszło Marcusowi do głowy, że to ma jakiś związek z nim.

Widział już różne rzeczy, najczęściej na wideo u innych ludzi. Widział, jak jeden facet wyjmuje drugiemu oko szpikulcem do kebaba w Hellhound 3. Widział, jak facetowi mózg wypływa nosem w Boilerhead - The Return. Widział ręce odcinane maczetami, dzieci z mieczami w brzuchach, węgorze wychodzące kobiecie z pępka. Nic z tego ani nie przeszkadzało mu zasnąć, ani nie dręczyło we śnie. Nigdy nie był świadkiem takich zdarzeń naprawdę, ale też nigdy nie przyszło mu do głowy, że ma to jakieś znaczenie. Zawsze sądził, że szok to szok, obojętne, jaka jest przyczyna. Teraz trudno byłoby nawet mówić o szoku:

mała kałuża rzygowin, trochę bieżaniny, szybko się zorientował, że mama żyje. A tymczasem była to rzecz o milion mil okropniejsza od wszystkiego, co dotąd zobaczył w życiu, i od samego początku wiedział, że nigdy już nie zapomni tego widoku.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy przyjechała karetka, wywiązała się dyskusja, kto ma jechać do szpitala i czym. Will miał nadzieję, że będzie mógł zabrać się do domu, ale gdzie tam. Załoga karetki za nic nie chciała wziąć Suzie, Marcusa i dziecka, musiał więc samochodem Suzie podwieźć Megan i Marcusa, podczas gdy ona pojechała z Fioną ambulansem. Usiłował się go trzymać, ale szybko go zgubił, ledwie wyjechali na główną ulicę. Ach, gdyby tak miał na dachu pulsujące niebieskie światelko - gnałby wtedy prawą stroną jezdni, przelatując skrzyżowania na czerwonych światłach, ale... Żadna z dwóch matek nie pochwaliłaby go za to.

Na tylnym siedzeniu Megan zanosila się płaczem; Marcus nieruchomo wpatrywał się w szybę.

- Może być coś z nią zrobić? - powiedział Will.

- A co?

- Nie wiem. Wymyśl coś.

- To ty wymyśl.

Racja, pomyślał Will. Domaganie się od chłopaka w takiej chwili wielkiej pomysłowości było jednak pewną przesadą.

- Jak się czujesz?

- Nie wiem.

- Wszystko będzie OK.

- Chyba. Tak myślę. Ale przecież nie o to chodzi, prawda? Will wiedział, że nie o to chodzi, zaskoczyło go jednak, że Marcus tak szybko wszystko zrozumiał. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że to chyba bystry chłopak.

- A o co?

- Spróbuj się domyślić.

- Boisz się, że może spróbować raz jeszcze?

- Zamknij się, OK?

Więc Will się zamknął; jechali dalej w milczeniu i w aucie słychać było tylko płacz Megan.

Kiedy dotarli na miejsce, Fionę już gdzieś zabrano; w poczekalni siedziała Suzie ze styropianowym kubkiem w dłoni. Will ustawił obok niej fotelik z jego rozwrzeszczaną zawartością.

- No i co się dzieje?

Will z najwyższym trudem powstrzymał się od zatarcia dłoni; tak był wszystkim zafrapowany, że odczuwał niemal radość.

- Nie wiem. Chyba zrobią jej płukanie żołądka czy coś takiego. Trochę mówiła w karetce. Pytała o ciebie, Marcus.

- To miło z jej strony.

- To nie ma z tobą nic wspólnego, wiesz chyba, prawda? Rozumiesz, to nie z twojego... To nie przez ciebie jest teraz tutaj.

- A skąd wiesz?

- Po prostu wiem.

Powiedziała to głosem ciepłym i pogodnym, a potem zmierzwiła mu włosy, ale w jej intonacji i gestach było coś fałszywego. Należały do innych, spokojniejszych okoliczności, a chociaż może były właściwe, gdy chodziło o dwunastolatka, to nie wtedy, gdy był to najdoroslejszy dwunastolatek na świecie, którym nagle stał się Marcus. Odepchnął jej rękę.

- Macie jakieś drobne? Chcę coś z automatu. Will dał mu garść bilonu i Marcus zniknął.

- Cholera jasna - mruknął Will. - Jak się rozmawia ze szczeniakiem, którego matka właśnie próbowała się otruć?

Zapytał z czystej ciekawości, ale pytanie zabrzmiało retorycznie, co było dobre w tym kontekście, nie chciał bowiem wydać się kimś, kto z zainteresowaniem ogląda film tygodnia.

- Nie wiem - powiedziała Suzie, która trzymała Megan na kolanach i podsuwała jej biszkopt. - Ale będziemy musieli coś wymyślić.

Will nie wiedział, czy należał do owego "my", ale w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia. Jakkolwiek zajmujące mogło to być wydarzenie, nie zamierzał wikłać się w nie dalej. Zbyt wiele dziwactw.

Czas się dłużył. Megan płakała, potem pochlipywała, aż wreszcie zasnęła. Marcus co jakiś czas oddalał się do automatu i powracał z puszkami coli, balonikami Kit - Kat i chrupkami. Prawie się nie odzywali, tylko Marcus od czasu do czasu robił uwagi na temat innych delikwentów.

- Nienawidzę tego miejsca. Większość to pijacy. Spójrz tylko na nich, wszyscy po jakiejś smarówie.

Miał rację. Większość przybywających do poczekalni była jakoś doświadczona przez los: włóczędzy, pijacy, narkomani, niektórzy wydawali się wariatami. Ci nieliczni, którzy trafili tutaj z powodu pecha (kobieta ugryziona przez psa i czekająca na zastrzyk przeciw wściekliznie, matka z córeczką, której kostka napuchła od upadku jak dynia), byli bladzi, wystraszeni, osowiali; przytrafiło im się coś zupełnie nieoczekiwanego. Reszta jednak swe chaotyczne życie z jednego miejsca przeniosła do innego. Nie miało dla nich znaczenia, czy pokrzykują na przechodniów na ulicy czy na pielęgniarce na oddziale nagłych wypadków; dalej robili swoje.

- Mama nie jest taka jak oni.

- Nikt tego nie powiedział - rzekła Suzie.

- A oni będą wiedzieli?

- Będą.

- A nie pomyśla, że brała narkotyki? Była przecież obrzygana? Skąd będą wiedzieli, że to nie od tego?

- Przecież są lekarzami. A jakby mieli jakieś wątpliwości, my im powiemy.

Marcus kiwnął głową, najwyraźniej uspokojony. Z drugiej strony, Suzie miała rację: kto mógł przypuścić, że Fiona jest jednym z wykolejeńców, jeśli ma takich znajomych? Tyle że tym razem Marcus postawił złe pytanie, właściwe bowiem brzmiało:

a co to za różnica? Jeśli jedyną rzeczą różniącą Fionę od całej reszty były kluczyki samochodowe Suzie i drogie ubranie sportowe Willa, to miała w istocie poważny problem. Musisz żyć w swojej własnej przestrzeni. Nie możesz narzucać swego życia innym, wtedy bowiem nie byłaby to już wyłącznie twoja przestrzeń. Will kupował tylko i wyłącznie dla siebie ubrania, CD, samochody, meble od Heala i towar. Jeśli Fiona nie mogła sobie pozwolić na takie rzeczy, a zarazem nie miała własnej przestrzeni, sprawa nie była przyjemna.

W tym momencie podeszła do nich jakaś kobieta - nie lekarka ani pielęgniarka, pewnie jakaś pani z administracji.

- Państwo przyjechaliście z Fioną Brewer?

- Jestem Suzie, jej przyjaciółka, to Will, a to Marcus, syn Fiony.

- Dobry wieczór. Fiona zostanie u nas na noc i nie chcemy państwa tutaj zatrzymywać. Czy Marcus ma gdzie przenoćować? Jest ktoś jeszcze u ciebie w domu?

Marcus pokręcił głową.

- Na noc zostanie u mnie - powiedziała Suzie.

- Świetnie, ale matka musi się na to zgodzić - oznajmiła kobieta.

- Jasne.

- Tam właśnie chcę iść - powiedział Marcus pod adresem oddalających się pleców kobiety, która obróciła się i przesłała mu uśmiech. - Ale moje zdanie nikogo nie obchodzi.

- Nie masz racji - sprzeciwiła się Suzie.

- Tak, a widzisz, kogo trzeba pytać o zgodę?

Po kilku minutach kobieta wróciła z uśmiechem tak promiennym, jak gdyby Fiona urodziła następne dziecko, a nie udzieliła byle pozwolenia na nocleg.

- W porządku, Fiona bardzo pani dziękuje.

- Dobra, chodźmy. Pomożesz mi, Marcus, rozkładać łóżko. Suzie umieściła Megan w nosiłkach i wyszli na parking.

- Do zobaczenia - powiedział Will. - Zadzwoń.

- Mam nadzieję, że nie będzie zgrzytów z Nede i Paulą.

Przez chwilę miał pustkę w głowie: Ned? Paula? Ach tak, jego syn i była żona.

- Na pewno. Dzięki.

Pocałował Suzie w policzek, klepnął Marcusa po ramieniu, pomachał do Megan i ruszył szukać taksówki. Bardzo interesujący wieczór, ale lepiej, żeby się nie powtórzył.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Leżał na kuchennym stole. Zobaczył go, kiedy chciał umieścić kwiaty w wazonie, jak kazała mu Suzie. Wczoraj był taki zamęt, że nikt nie zwrócił uwagi na list. Otworzył, usiadł i zaczął czytać.

Kochany Marcusie!

Cokolwiek bym tu napisała, chyba i tak będziesz mnie nienawidził - Może nie znienawidzisz mnie na zawsze, może jak podrośniesz, znajdziesz dla mnie jeszcze jakieś uczucie oprócz nienawiści. Ale nawet jeśli tak się stanie, najpierw bardzo długo będziesz pewnie myślał, że zrobiłam coś wrednego, głupiego, egoistycznego. Chciałabym wiać jednak spróbować coś wytłumaczyć, nawet jeśli nic to nie da.

Posłuchaj. Jest we mnie taka cząstka, która wie, że chcę zrobić coś wrednego, głupiego i egoistycznego. Może nawet jest ona znacznie większa od drugiej, kłopot jednak polega na tym, że nie ona mną włada. W dręczącej mnie od kilku miesięcy chorobie najstraszniejsze jest właśnie to, iż jest taka cząstka, która nie słucha już nikogo ani niczego. Chce tylko swojego. Mam nadzieję, że nigdy czegoś takiego na sobie nie doświadczysz - Nie ma to żadnego związku z Tobą. Zawsze uwielbiałam być Twoją matką, nawet wtedy, kiedy nie było to przyjemne ani łatwe. Nie rozumiem, dlaczego mi to nie wystarczy, ale nie wystarczył to nie jest tak, iż jestem taka nieszczęśliwa, że nie chcę mi się już dłużej żyć. To nie nieszczęście, to raczej zmęczenie, znudzenie, ta impreza ciągnie się za długo, a mnie się tak strasznie chce do domu. Czuję się wypompowana, nie ma na co czekać, dlatego więc I wolę z tym wszystkim skończyć. Jak to możliwe, kiedy mam ' Ciebie? Nie wiem, wiem natomiast, że gdybym dalej to wszystko . ciągnęła tylko dla Ciebie, wcale nie byłbyś mi wdzięczny, a kiedy już się po tym pozbierasz, uznasz, że teraz jest lepiej niż przedtem. Naprawdę. Przenieś się do ojca albo do Suzie; zawsze powtarzała, że gdyby coś mi się stało, ona się Tobą zajmie.

Jeśli tylko jest to możliwe, będę nad Tobą czuwała. Mam nadzieję, że jest. Mam nadzieję, że kiedy coś przytrafia się matce, to jej pozwalają, nawet jeśli to z jej winy. Chciałabym jeszcze pisać, ale w końcu muszę kiedyś przestać.

Kocham Cię Mama Ciągłe jeszcze siedział przy kuchennym stole, gdy weszła do domu wraz z Suzie i Megan. Ledwie stanęła w progu, natychmiast rozpoznała, co trzyma w ręku.

- Cholera, Marcus, zupełnie o tym zapomniałam.

- Zapomniałaś? O liście pożegnalnym do mnie?

- No wiesz, nie przypuszczałam, że będę jeszcze musiała pamiętać, bo niby jak?

Roześmiała się. Ni mniej, ni więcej, tylko się roześmiała. Cała ona. Potrafiła płakać nad płatkami śniadaniowymi, a śmiać się z samobójstwa.

- Orany! - zawołała Suzie. - To naprawdę to? Powinam była sama wszystko sprawdzić, zanim po ciebie pojechałam, ale myślałam, że to będzie fajnie, jak on tu wszystko przygotowuje.

- Suzie, tylko tego jeszcze brakuje, żebyś zaczęła przeproszać.

- Powinam była pomyśleć.

- Chyba będę musiała porozmawiać z Marcusem w cztery oczy.

- Jasne.

Objęły się, a Suzie podeszła, żeby go ucałować.

_ Jest już w porządku - szepnęła tak głośno, żeby mama mogła ją usłyszeć. - Nie musisz się martwić.

Suzie wyszła; Fiona nastawiła czajnik i siadła z synem przy kuchennym stole.

_ Gniewasz się na mnie?

_ A jak myślisz?

- Z powodu listu?

_ Z powodu listu, z powodu tego, co zrobiłaś, no i w ogóle. _ Trudno się dziwić. Jeśli to coś pomoże, to teraz nie czuję się już tak jak w sobotę.

_ Więc tamto już zupełnie sobie poszło?

- Całkiem to nie, ale... w tej chwili czuję się lepiej.

_ "W tej chwili" to dla mnie za mało. Sam widzę, że teraz czujesz się lepiej. Fajnie, nastawiłaś czajnik. Ale co będzie, jak wypijesz herbatę? Jak pójde jutro do szkoły. Nie mogę siedzieć tu cały czas i cię pilnować.

- Tak, wiem. Ale oboje musimy się o siebie troszczyć, i o nie może iść tylko w jedną stronę.

Marcus kiwnął głową, ale był teraz w takim miejscu, gdzie słowa się nie liczyły. Przeczytał list i teraz niezbyt się przejmował tym, co mówiła; liczyło się to, co robiła i co miała zamiar zrobić. Dzisiaj nie wykręci żadnego numeru. Wypije herbatę, zamówią sobie coś na kolację, obejrzą telewizję i będą mieli poczucie, że zaczyna się nowy, lepszy okres. Ale czas będzie płynął dalej i potem przyjdą inne dni. Zawsze ufał matce, czy może lepiej: nigdy nie był wobec mej nieufny. Teraz jednak nic już nie będzie takie samo.

Problem polegał na tym, że dwoje to było za mało. Dotąd zawsze myślał, że dwójka jest w porządku i że nie zniósłby życia w rodzinie trzy - , cztero - czy pięcioosobowej. Teraz jednak widział jej zalety, jeśli ktoś się potknął, miałes jeszcze kogoś innego do pomocy. Jak może być dobrze w rodzinie, kiedy nie ma pod boki nikogo, na kogo mógłbyś liczyć? Musiał coś wymyślić.

_ Zrobię herbatę - zaoferował się z ochotą. Z tym przynajmniej nie było problemów.

Zdecydowali się na normalny, spokojny wieczór. Zamówili curry, a Marcus poszedł do kiosku po kasetę wideo. Wybranie filmu zabrało wieki: na cokolwiek spojrzeł, wszędzie znajdował jakieś ślady śmierci, a dzisiaj nie chciał oglądać niczego takiego. A właściwie nie chciał, by mama oglądała cokolwiek związanego ze śmiercią, chociaż nie potrafiłby do końca wyjaśnić dlaczego. Bo co pomyśleliby sobie, oglądając, jak Steven Seagal odstrzeliwuje głowy przeciwnikom? To nie był ten rodzaj śmierci, o którym starali się dzisiaj nie myśleć. Starali się nie myśleć o śmierci spokojnej, smutnej, cichej, a nie tej głośnej i właściwie

obojętnej. (Ci, którzy twierdzą, że dzieci nie potrafią uchwycić tej różnicy, bardzo się mylą). W końcu zdecydował się na Dzień świstaka, nowy film, który, jak napisano na okładce, był bardzo śmieszny.

Do oglądania zabrali się dopiero, kiedy przyjechało jedzenie. Fiona zaczęła nakładać, a Marcus przewinął taśmę za czołówkę i reklamy, tak żeby od pierwszego kęsa mogli zacząć oglądać film. Na pudełku napisali prawdę, przynajmniej częściowo: zaczynał się śmiesznie. Dla bohatera ciągle wstawał jeden i ten sam dzień - chociaż nie wyjaśnili dlaczego, co Marcusa rozczarowało, lubił bowiem wiedzieć, jak takie rzeczy się dzieją. Może to wszystko było oparte na autentycznym zdarzeniu i ten facet, który ugrzązł w jednym dniu, sam nie wiedział, dlaczego tak jest. Ta myśl zaniepokoiła Marcusa. A jeśli jutro obudzi się i stwierdzi, że ciągle jest dzień wczorajszy: z kaczką, szpitalem i całą resztą? Wolał nie rozważać tej możliwości.

A potem nastąpiła zmiana, bo w filmie pojawił się wątek samobójstwa. Facet tak już miał dość ciągle tego samego dnia, że usiłował się zabić, co w niczym mu nie pomagało, cokolwiek bowiem próbował zrobić, ciągle budził się rano (tyle że nie był to następny ranek, a ciągle jeden i ten sam).

Marcus był oburzony. Na pudełku nawet słowem nie wspomnieli o samobójstwie, a tymczasem bohater podejmował chyba ze trzysta prób. OK, nie udawało mu się, ale to akurat zupełnie nie było śmieszne. Także jego mamie się nie udało, ale nikt chyba nie chciałby kręcić komedii na ten temat. Dlaczego nie zamieścili żadnego ostrzeżenia? Musiało być przecież sporo osób, które po nieudanym samobójstwie chciały sobie obejrzyć porządną komedię! A gdyby wszyscy zdecydowali się na ten właśnie film?

Z początku Marcus prawie się nie ruszał i oddychał jak najciszej, aby mama się nie zorientowała, jaki jest wściekły, ale kiedy już miał zupełnie dość, wyłączył wideo pilotem.

- Co się stało?

- Chciałem obejrzyć to - powiedział i przełączył na telewizor, gdzie mężczyzna z francuskim akcentem i wysoką czapką kucharską na głowie pokazywał jednemu z Gladiatorów, jak rozcinać i patroszyć rybę. Nie wyglądało to na jeden z ulubionych programów Marcusa, który nienawidził gotowania i ryb. I jak dotąd przejawiał małe zainteresowanie Gladiatorami.

- To? A po co?

- W szkole mamy teraz lekcje gotowania i powiedzieli, żebyśmy to obejrżeli.

- Au revoir - rzekł kuchmistrz.

- Trzymajcie się - zawtórował Gladiator, obaj pomachali i program się skończył.

- To będziesz miał jutro kłopot - powiedziała mama. Dlaczego nic mi nie powiedziałeś, że masz to obejrzeć?

- Zapomniałem.

- No ale teraz możemy obejrzeć film do końca.

- Naprawdę chcesz?

- Tak, śmieszny. A tobie się nie podoba?

- Nie jest zbyt realistyczny. Zaczęła się śmiać.

- Marcus, oglądasz filmy, w których ludzie z eksplodujących helikopterów skaczą na dachy pędzących pociągów, a teraz nagle zaczynasz się martwić o realizm?

- Dobrze, ale widzisz, jak to robią. Robią to na twoich oczach. A tutaj nie wiesz, czy on naprawdę budzi się i widzi, że za każdym razem to jest ten sam dzień, bo oni mogą tylko tak udawać, prawda?

- Gadasz bzdury.

Wspaniale, nie maco! Chciał uchronić matkę od patrzenia, jak facet całymi godzinami stara się popełnić samobójstwo, a ona traktowała go jak głupka.

- Mamo, naprawdę nie wiesz, dlaczego wyłączyłem?

- Nie.

Nie wierzył własnym uszom. Przecież chyba myślała o tym przez cały czas, tak jak on?

- Z powodu tego, co robił. Zmarszczyła brwi.

- Ciągłe nie chwytam, Marcusie.

- No, chciał zrobić... to. . - Przestań mówić zagadkami. Jakie "to"? Doprowadzała go do pasji.

- Przez ostatnie pięć minut usiłowałam się zabić. Jak ty. Nie chciałam tego oglądać i nie chciałam, żebyś ty oglądała.

- Och. - Sięgnęła po pilota i wyłączyła telewizor. Przepraszam. Strasznie byłam tępa, prawda?

- Raczej tak.

- Nie widziałam żadnego związku. Niewiarygodne, mój Boże. - Pokręciła głową. - Muszę się jakoś pozbierać.

Marcus zaczynał się gubić. Aż dotąd myślał zawsze, że... ma swoje słabości, bo klócili się, nie pozwalała mu robić tego, co chciał, nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, że jest głupia czy pomyłona. Nawet kiedy się sprzeczała, rozumiał, o co jej chodzi; zachowywała się tak, jak należało się tego spodziewać po matce. Ale w tej chwili w ogóle przestawał ją rozumieć. Nie rozumiał, dlaczego płacze, a teraz, kiedy oczekiwał, że będzie dwa razy bardziej przygnębiona niż przedtem, ona nagle zachowywała się najzupełniej normalnie, jakby się nic nie stało. A może to 01 wszystko wyolbrzymił, może próba odebrania sobie życia nie jest czymś aż tak strasznym? Może wcale nie musiało potem dochodzić do długich rozmów, szlochów i uścisków? Może. Siedziała sobie na sofie, oglądała wideo - dzień jak co dzień.

- To włączyć dalej ten film? - spytał w końcu.

- A tobie nie będzie przeszkadzać? - upewniła się. - Bo chciałabym zobaczyć, jak to się skończy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zapełnienie sobie dnia nigdy nie stanowiło dla Willa problemu. Nie był może bardzo dumny z powodu braku jakichś pamiętnych osiągnięć, natomiast dumą napawała go umiejętność unoszenia się na oceanie czasu, jakim rozporządzał. Ktoś mniej pomysłowy łatwo mógłby utonąć.

Najłatwiej było z wieczorami - miał wielu znajomych. Nie bardzo wiedział, jak to się dzieje: nigdy nie miał kolegów, a kiedy dziewczyny stawały się byłymi dziewczynami, przestawał z nimi utrzymywać kontakty. Ludzie jakoś jednak do niego ciągnęli: faceci ze sklepu płytowego, który ongiś odwiedzał, faceci, z którymi grał kiedyś w piłkę czy squasha, faceci z pubowej drużyny quizowej, do której kiedyś należał - i to zupełnie wystarczało. Niewiele byłoby z nich pożytku, gdyby - co trudno przypuścić - zaczęły go nawiedzać myśli samobójcze czy - co jeszcze trudniej przypuścić - gdyby miał złamane serce, ale byli znakomici, jeśli chodzi o bilard, piwo czy curry.

Tak, tak, z wieczorami nie było żadnych kłopotów, natomiast za dnia pole do popisu otrzymywały cierpliwość i wynalazczość, wszyscy bowiem znajomi byli w pracy - chyba że mieli urlop ojcowski, jak John, ojciec Barneya i Imogeny, z którym Will nie miał ochoty się spotykać. Jego zmagania z dniami polegały na wyszukiwaniu kolejnych zajęć, które rozciągały się na mniej więcej pół godziny. Czytanie gazety, kąpiel, odkurzanie, oglądanie Home and Away oraz Countdown, rozwiązywanie krzyżówki w kibelku, spożywanie śniadania i obiadu, zakupy... Oto nasączone czynnościami zupełnie podstawowymi dziewięć z dwudziestu okresów, na które rozkładał się czas do wypełnienia. Szczerze mówiąc, Will czasami zastanawiał się, jak jego znajomi potrafią pogodzić normalne życie z pracą. Podejrzewał, że niektórzy z nich muszą niektóre rzeczy wykonywać bardzo powierzchownie.

Czasami, kiedy miał nastrój, odpowiadał na ogłoszenia o pracę zamieszczone w "Guardianie" w rubryce mediów. Lubił ją, gdyż miał wrażenie, że nadawał się do każdego z pojawiających się tutaj zajęć. Czy mogło być trudne wydawanie czasopisma budowlanego, prowadzenie małej galerii czy przepisywanie tekstów do prospektów wakacyjnych? Z pewnością nie, myślał, i pisał do potencjalnych pracodawców listy tłumaczące, dlaczego jest

najwłaściwszym na dane miejsce kandydatem. Załączał też życiorys, chociaż ten liczył tylko dwie strony. Uważał za nader chytre rozwiązanie to, że numerował je "1" i "3", sugerując, że na zapodziejanej gdzieś stronie drugiej wyliczone były szczegóły jego fascynującej kariery. Miał nadzieję, że adresaci olśnieni listem i niezwykłą skalą jego zainteresowań bezzwłocznie zaproszą go na rozmowę, podczas której olśni ich samą swą osobowością. Tymczasem jeśli w ogóle, to otrzymywał tylko chłodne odpowiedzi odmowne.

Jakoś szczególnie się tym nie przejmował; zgłaszał się w takiej samej intencji, w jakiej zaoferował się pracować w jadłodajni dla bezdomnych i w jakiej został ojcem Neda: wymyślona alternatywa, która pozostawała bez związku z jego rzeczywistym życiem. Nie potrzebował pracować i było mu całkiem dobrze z tym, jaki był. Sporo czytał, chodził do kina, biegał, smacznie gotował dla siebie i znajomych, co jakiś czas, gdy już za bardzo mu się nudziło, odwiedzał Rzym, Nowy Jork i Barcelonę... Nie odczuwał jakiejś palącej potrzeby zmian.

Dzisiaj rano jednak nadal ciążyło na nim wspomnienie ostatniego weekendu. Z jakiegoś powodu - być może dlatego, iż w normalnym życiu za dnia podzielonym na dwadzieścia jednostek, a wieczorem upływającym na zabawie, bardzo rzadko spotykał się z prawdziwymi dramatami - stale powracała myśl o Pionie i Marcusie i o tym, jak sobie radzą. Ponieważ w "Guardianie" nie było żadnych interesujących ogłoszeń, zaczął nawet snuć dziwne i zapewne szkodliwe rozważania, czy nie powinien w jakiś sposób wkroczyć w ich życie. Może bardziej był potrzebny Pionie i Marcusowi niż Suzie. Może z nimi dwojgiem mógłby zrobić coś... naprawdę. Na przykład niczym dobry wujek dałby im trochę rozrywki i zabawy. Zaczęłyby zabierać gdzieś Marcusa, na przykład na mecze Arsenalu; Fiona może chciałaby zjeść kolacyjkę na mieście albo wybrać się do teatru?

Koło jedenastej zadzwonił do Suzie, która w trakcie drzemki Megan piła właśnie kawę.

- Chciałem się dowiedzieć, co tam u twojej przyjaciółki.

- Chyba dobrze. Nie wróciła jeszcze do pracy, ale Marcus poszedł do szkoły. A jak u ciebie?

- Wszystko świetnie.

- Mówisz tak wesoło, że pewnie wszystko się jakoś rozeszło po kościach?

Skoro mówił wesoło, to pewnie musiało tak być.

- Tak. Nawet dosyć gładko.

- A jak Ned?

- Ned? Znakomicie, prawda, Ned? Dlaczego to zrobił? Mógł się obyć bez tych upiększeń. Czemu nie mógł utrzymać języka za zębami?

- Bardzo się cieszę.

- Może mógłbym jakoś pomóc Marcusowi i Pionie? Jak bym na przykład zabrał go dokądś?

- A chciałbyś?

- Pewnie. On jest taki... - Jaki? Co powiedzieć poza "naburmuszony i złośliwy"? - Fajny. Chyba nieźle się nam układało. Może by popробować dalej?

- Jak chcesz, to zapytam Fionę.

- Z chęcią też zobaczyłbym ciebie i Megan.

- A ja umieram z pragnienia, żeby poznać Neda.

- Jakoś to załatwimy.

No i proszę: jedna wielka szczęśliwa rodzina. Co prawda do tej rodziny należeli: niewidzialny dwulatek, pochmurny dwunastolatek i jego matka o samobójczych skłonnościach, zgodnie jednak z prawem Murphy'ego w takiej właśnie rodzinie musiał na koniec wylądować ten, kto z zasady nie przepadał za rodziną.

Will przeczytał "Time Out" od deski do deski w poszukiwaniu czegoś, co dwunastoletni chłopak mógłby chcieć robić w sobotnie popołudnie, czy może czegoś, co zasugerowałyby Marcusowi, że nie ma do czynienia z przeciętnym trzydziestosześcioletnim zgreдем. Najpierw zajrzał do sekcji dziecięcej, mimo że Marcus nie był kimś, z kim chodziło

się na huśtawki czy do teatrzyku lalkowego. Nawet jeśli był dwunastolatkiem, to w ogóle nie należało go traktować jak dziecka. Will starał się sobie przypomnieć, co sam lubił robić w tym wieku, ale niewiele to dało: wyraźnie pamiętał tylko, czego nienawidził. A nienawidził tego wszystkiego, do czego zmuszali go - chociażby w najlepszych intencjach - dorośli. Może najrozsądniej byłoby pozwolić mu poszaleć w sobotę; zawieźć do Soho, dać trochę forsy - i niech robi, co chce. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że wiele może zyskać na skali tego, co jest ekstra dla Marcusa, natomiast marnie wypadnie na skali odpowiedzialności przyszywanego rodzica; jeśli Marcus wybierze karierę chłopca do wynajęcia i matka już nigdy go nie zobaczy, Will na pewno poczuje się za to odpowiedzialny, a może nawet nawiedzą go wyrzuty sumienia.

Film? Wideo? Lodowisko? Muzeum? Galerie sztuki? Brent Cross? McDonald's? O rany, jak można było przetrwać to cholerne dzieciństwo, nie zapadając w drzemkę na kilka lat? Gdyby Will miał to zrobić na nowo, położyłby się do łóżka w momencie, gdy przestaje już fascynować Blue Peter, i poprosiłby, aby go obudzić, gdy jego podpis będzie miał moc prawną. I jak tu się dziwić, że młodzi imali się przestępstw, narkotyków i prostytucji? Imali się przestępstw, narkotyków i prostytucji, gdyż to było aktualnie w menu: cała gama nowych, ekscytujących, barwnych i smakowitych możliwości, które przed nim były zamknięte. Prawdziwe pytanie brzmiało, dlaczego jego pokolenie tak apatycznie i bezmyślnie szanowało prawo, szczególnie jeśli zważyć, że nie było gadżetów absorbujących uwagę dzieci, australijskich oper mydlanych i McDonald' są, którymi współczesne społeczeństwo stara się zneutralizować swą młodzież.

Zastanawiał się właśnie, czy finansowana przez British Gaś wystawa fotografii przyrodniczej może być nudniejsza niż sama nazwa, gdy zadzwonił telefon.

- Cześć, Will, tutaj Marcus.
- A to ci historia, bo ja właśnie...
- Suzie dzwoniła, że chciałbyś się ze mną gdzieś wybrać
- No więc właśnie...
- OK, ale jeśli mama będzie mogła z nami pójść.

- Co takiego?

- Możemy iść, ale jeśli mama także. Aha, bo ona nie ma teraz pieniędzy, więc albo pójdziemy gdzieś, gdzie jest tanio, albo będziesz musiał nam stawiać.

- Zaraz, Marcus, mów prosto, a nie takimi zagadkami.

- Nie wiem, jak inaczej to powiedzieć. My nie mamy kasy. Ty masz. Więc ty płacisz.

- Jasne, jasne. Żartowałem.

- Aha. To nie załapałem.

- Posłuchaj, Marcus, mnie się nie musisz bać. A myślałem, że to może być dobrze, jak się wypuścimy we dwóch.

- Dlaczego?

- No wiesz, damy mamie odpocząć.

- Dla mnie bomba.

Dopiero teraz poniewczasie Will zaskoczył. Właśnie w zeszłym tygodniu dali jej odpocząć; a ona ten czas wykorzystwała na faszzerowanie się pigułkami i płukanie żołądka.

- Przepraszam, Marcus. Jakieś zaćmienie.

- Aha.

- Pewnie, że z twoją mamą. Świetny pomysł.

- Nie mamy też samochodu, więc musisz wziąć swój.

- OK.

- Możesz też wziąć tego swojego małego. Will roześmiał się.

- Dzięki.

- Nie ma za co. Będziemy kwita.

Will zaczynał się orientować, że ironia była dla Marcusa niezwykle kusząca i że podobnie jak on, Marcus nie bardzo chciał się opierać pokusom.

- W sobotę znowu go zabiera jego matka.

- Fajnie. Przyjedź o wpół do pierwszej albo coś koło tego. Pamiętasz adres? Craysfield Road 31, mieszkania 2. Islington, Londyn NI 2 SF.

- Anglia, Ziemia, Układ Słoneczny.

- Tak - rzeczowo potwierdził Marcus.

- Dobra, to do zobaczenia.

Po południu Will udał się do Mothercare, żeby kupić fotelik do samochodu. Nie miał zamiaru zapychać mieszkania kojcami, nocnikami i wysokimi krzeselkami, aby jednak uprawdopodobnić swe łgarstwo, musiał mieć jakieś ślady realności Neda.

- To strasznie seksistowskie - od razu na początku oznajmił jednej ze sprzedawczyń

- Słucham?

- A co z ojcami? Dlaczego nie Fathercare?

- Pan pierwszy zwrócił na to uwagę. - Uśmiechała się uprzejmie.

- Naprawdę?

- Nie - odpowiedziała z ironicznym grymasem. Poczul się jak Marcus. - W czym mogę pomóc?

- Szukam fotelika do samochodu.

- No proszę. - Byli właśnie w sekcji fotelików samochodowych. - Jaki typ pana interesuje?

- Nie wiem. To obojętne. Byle niedrogo. A o co inni najczęściej pytają?

- Rzadko o cenę, bardziej chodzi im o bezpieczeństwo.

- No tak. - Spowaźniał. Bezpieczeństwo to ważna sprawa. - Nie ma co oszczędzać paru funtów, jak potem dzieciak ma wylecieć przez szybę, prawda?

Być może aby zatrzeć wrażenie swej wcześniejszej obcesowości, kupił najdroższy model: wspaniale wymoszczony fotelik, jaskrawoniebieski, który sprawiał wrażenie, iż wytrzyma do czasów, gdy Ned sam zostanie ojcem.

- Będzie zachwycony - powiedział, wręczając ekspedientce kartę kredytową.

- Teraz wygląda ładnie, ale starczy parę dni, a wszędzie będą kawałki chrupków, biszkoptów i co tam jeszcze pan mu daje.

Will wcześniej w ogóle nie pomyślał o chrupkach, biszkoptach i czym tam jeszcze, więc w drodze powrotnej kupił czekoladowe ciasteczka oraz chrupki cebulowe, rozgniół, wymieszał, a potem okruchami obficie posypał nowy sprawunek.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pomimo tego, co zasugerował Willowi, Marcus wcale nie bał się zostawić mamy samej. Wiedział, że nawet jeśli znowu czegoś spróbuje, to dopiero za jakiś czas, teraz bowiem była w tym dziwnie spokojnym nastroju. Chodziło mu natomiast o to, żeby ich ze sobą zetknąć, a potem, jak sądził, wszystko powinno już potoczyć się samo. Ona była piękna, Will też wyglądał nieźle, mogli zamieszkać z Willem i jego dzieciakiem, wtedy byłaby ich czwórka, a czworo to dwa razy lepiej niż dwoje. A jakby się im zachciało, to mogliby też mieć swoje dziecko. Jego mama nie była na to za stara. Miała trzydzieści osiem lat i chyba mogła jeszcze mieć dzieci. Wtedy już byłaby ich piątka i nawet czyjaś ewentualna śmierć nie byłaby taka ważna. To znaczy nie, byłaby ważna, oczywiście, ale nie znaczący, że ktoś - on, mama, Will czy jego syn - zostaje tylko sam ze sobą. Marcus nie wiedział nawet, czy lubi Willa, czy nie, ale szczególnie się nad tym nie zastanawiał; wystarczyło, że nie jest zły, nie pije, nie awanturuje się, a on musiał jednak coś zrobić z tą całą sprawą.

Nie było wcale tak, że Marcus nic nie wiedział o Willu. Przeprowadził swoje śledztwo. Któregoś dnia wracając ze szkoły, zobaczył Willa na zakupach i poszedł za nim niczym prywatny detektyw. Dowiedział się niewiele: gdzie mieszka i do jakich sklepów chodzi, ale trochę go zdziwiło, że Will jest sam - żadnej dziewczyny, żony, nawet synka. Chyba że dzieciak został z dziewczyną w domu, ale jeśli Will miał sympatię, to po co umizgiwał się do Suzie?

- O której on przyjedzie? - spytała mama.

Sprzątali mieszkanie, słuchając Exodus Boba Marleya.

- Za dziesięć minut. Chyba powinnaś się przebrać, nie?

- Dlaczego?

- Bo wyglądasz okropnie, a on ma nas zabrać na obiad do Planet Hollywood...

O tym Will jeszcze nie wiedział, ale na razie nie było się czym przejmować.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

- A dlaczego zależy ci na tym, jak będę ubrana?

- Planet Hollywood.

- No i co z tego?

- Nie możesz tam wyglądać jak dziadówka. Jeden z nich może cię zobaczyć.

- Jakich "nich"?

- Bruce Willis albo ktoś taki.

- Marcus, nikogo takiego tam nie będzie, możesz być pewny.

- Oni tylko tam siedzą. Chyba że mają jakieś inne zajęcie, ale nawet wtedy starają się kręcić filmy w Londynie, żeby tylko móc posiedzieć w Planet.

Fiona zaśmiewała się wniebogłosy.

- Kto ci to powiedział?

Powiedział to kolega z klasy, Sam Lovell. Marcus pamiętał jednak, że Sam powiedział też parę rzeczy, które okazały się nieprawdziwe, na przykład, że Michael Jackson i Janet Jackson to jedna i ta sama osoba albo że nauczyciel od francuskiego, pan Harrison, był w Beatlesach.

- Wszyscy to wiedzą.

- I nadal chcesz tam iść, nawet jeśli nie będzie żadnych gwiazd?

Teraz nie był już taki pewien, ale nie mógł się już wycofać.

- Jasne.

Wzruszyła ramionami i poszła się przebrać.

Stanawszy w drzwiach, Will zaczął się przedstawiać, co Marcusowi wydało się głupie, skoro przecież i tak każdy wiedział, kto jest kto.

- Cześć. Jestem Will. To ja...

Zaciął się, gdyż najwyraźniej nie potrafił znaleźć uprzejmego sposobu poinformowania, że tydzień temu widział ją zwieszającą się z sofy nad kałużą rzygowin. Uśmiechnął się niepewnie.

- Cześć. Jestem Fiona. - Marcus uznał, że mama wygląda całkiem dobrze. Miała na sobie najlepsze legginsy, obszerny, włochaty sweter, po raz pierwszy od powrotu ze szpitala zrobiła makijaż, a także nałożyła parę dużych kolczyków, które ktoś przywiózł jej z Zimbabwe. - Dzięki za wszystko, co zrobiłeś w ten weekend. Bardzo jestem ci wdzięczna.

- Nie ma za co. Mam nadzieję, że... No, że z tobą...

- Z żołądkiem już wszystko w porządku, ale trochę może ode mnie jechać, bo to tak szybko nie mija, prawda?

Will był zaszokowany, ale ona się śmiała. Marcus nienawin dził, kiedy zartowała sobie przy ludziach, którzy dobrze jej nie! znali.

- To jak, Marcus, zdecydowałeś, dokąd idziemy?

- Planet Hollywood.

- O Boże! Naprawdę?

- Tak. Podobno jest tam świetnie.

- To musimy czytać inne rankingi restauracji.

- To nie ranking, tylko mój kolega ze szkoły, Sam Lovell.

- Jeśli tak... To co, idziemy?

Will otworzył drzwi i gestem ręki zaprosił Fionę. Marcus nie wiedział dokładnie, na co zwracać uwagę, ale miał wrażenie, że wszystko rozwija się pomyślnie.

Poszli do autobusu, gdyż Will powiedział, że na Leicester Square, gdzie było Planet Hollywood, nie będą mogli zaparkować. Po drodze na przystanek Will pokazał im swój samochód.

- To moje pudło. Spójrzcie tylko, ile świństwa na tym foteliku.

- O Boże - powiedziała Fiona.

- Brudno - skwitował Marcus.

Niewiele więcej było do powiedzenia, więc poszli dalej.

Pod Planet Hollywood tłoczyli się ludzie, tym bardziej chcący wejść do środka, że siąpił deszcz. W całej kolejce oni byli jedynymi osobami anglojęzycznymi.

- Marcus, jesteś pewien, że właśnie tutaj chcesz iść?

- Tak. No bo gdzie indziej?

Gdyby ktoś wystąpił z propozycją choćby odrobinę bardziej sensowną, przyjąłby ją z ochotą. Wcale mu się nie uśmiechało stać tutaj w tłumie Francuzów i Włochów. To na pewno.

- Za rogiem jest Pizza Express - odpowiedział Will.

- Nie, dzięki.

- Przecież zawsze mi powtarzasz, że chcesz iść na pizzę zauważyła matka.

- Wcale nie.

Pizza wydawała mu się jakaś za tania. Stali przez chwilę w milczeniu. W takiej sytuacji trudno było liczyć na jakieś małżeństwo. Za mokro i za wstrętne.

- To powiedz mi, dlaczego chcesz iść do Planet Hollywood, a może wymyślę coś innego - zaoferował Will.

- Nie wiem. Bo jest znane. I dają rzeczy, jakie lubię. Frytki i inne.

- A jeśli przyjdzie mi do głowy jakiś znany lokal, gdzie dają frytki, to idziemy?

- Tak. Ale musi być taki mój znany, a nie twój znany.

- To znaczy?

- Żebym i ja wiedział, że jest znany. Bo ty mi powiesz coś takiego, o czym ja nigdy nie słyszałem.

- Więc gdybym spytał: "A jak Twenty - Eight?", to byś powiedział, że nie?

- Wcale nie jest znany. Nigdy nie słyszałem.

- Ale chodzą tam sławni ludzie.

- Jacy?

- Aktorzy i inni.

- Jacy aktorzy?

- Myślę, że wszyscy najważniejsi byli tam przy tej czy innej okazji, ale z góry nie da się powiedzieć. Marcus, bądźmy szczerzy. Może pójdziemy i wpadniemy na Toma Cruise'a albo Nicole Kidman, a może nie będzie nikogo. Ale frytki mają w porządku. Rozumiesz, tutaj odstoimy godzinę, potem wejdziemy i okaże się, że w środku nie ma nikogo ważnego.

- Dobra, chodźmy.

- Na pewno?

- Tak.

- Równy z ciebie gość.

Od razu było widać, że do Twenty - Eight nie przychodził nikt ważny. Fajne miejsce, dobre frytki, ale wszystko normalne, żadnych ciekawych rzeczy na ścianach, jak kurtka Clinta Eastwooda albo maska Michaela Keatona z Batmana. Nie mieli też fotografii z dedykacją. Nawet w hinduskiej restauracji koło nich wisiało na ścianie zdjęcie z podpisem kogoś, kto kiedyś grał w Arsenalu. Nie przejął się tym jednak, gdyż najważniejsze było to, że nie mokli, siedzieli, a mama i Will mogli zacząć rozmawiać.

Na początek trzeba im było chyba jakoś pomóc, gdyż ciszę przerwali dopiero, kiedy zjawił się kelner.

- Dla mnie omlet z pieczarkami i frytki - powiedział Marcus. - I colę.

- Ja poproszę fileta z miecznika, bez żadnych dodatków, tylko osobno surówka - zamówił Will. Fiona nie mogła się zdecydować.

- Dlaczego nie weźmiesz fileta z miecznika? - podsunął Marcus.

- Hmm...

Usiłował ściągnąć na siebie uwagę mamy, tak żeby Will nie zauważył. Raz zdecydowanie kiwnął głową, a potem zakaszłał.

- Coś z gardłem, kochanie?

Nie wiedział dlaczego, ale miał wrażenie, że będzie dobrze, jeśli oboje wezmą to samo. Trudno przypuścić, by wiele dało się powiedzieć na temat filetu z miecznika, ale może fajnie by było, gdyby mieli coś wspólnego, na przykład, że lubią to samo. Nawet gdyby nie lubili.

- Jesteśmy wegetarianami - powiedział Marcus - ale jemy ryby.

- Tacy z nas wegetarianie.

- Ale rzadko robimy w domu. Jeśli już, to kupujemy z frytkami w barze. Nigdy nie robimy ryby w domu, prawda?

- Rzadko.

- Nigdy.

- Och, nie rób mi wstydu.

Nie wiedział, dlaczego informacja, że nie robi się ryby w domu, miałyby komuś zaszkodzić - czyżby mężczyźni lubili kobiety robiące posiłki rybne? Dlaczego? - ale nie miał takiej intencji.

- Dobrze, nie nigdy. Rzadko.

- To może ja przyjdę za kilka minut? - spytał kelner, o którego obecności Marcus kompletnie zapomniał.

- Eeee...

- Weź miecznika! - nalegał Marcus.

- Niech będzie penne pesto - zdecydowała mama. I bukiet surówek.

Will zamówił piwo, mama lampkę białego wina. I znowu zapadła cisza.

Marcus nie miał dziewczyny ani nawet nigdy nie był tego bliski, chyba żeby liczyć Holly Garrett, ale on tego nie robił. Wiedział jednak tyle: kiedy chłopak spotka się z dziewczyną, nie mają nikogo innego, fajnie wyglądają i nie ma między nimi żadnych zgrzytów, to mogą zacząć ze sobą chodzić. Co tutaj mogłoby przeszkadzać? Will nie miał dziewczyny, chyba żeby liczyć Suzie, ale Marcus nie liczył, mama nie miała faceta, więc jaki kłopot? Wszystkim byłoby z tym dobrze. Im bardziej się zastanawiał, tym bardziej był o tym przekonany.

Nie chodziło mu o to, żeby ktoś zastąpił ojca. Kiedyś dawno temu rozmawiali o tym z mamą. Oglądali w telewizji program na temat rodziny, a jakaś gruba baba powiedziała, że każdy powinien mieć matkę i ojca, na co mama najpierw się wściekła, ale potem zrobiła się bardzo smutna. Wtedy, przed tym numerem ze szpitalem, myślał, że to głupia baba, i tak powiedział mamie, no ale nie podejrzewał jeszcze, że dwa to niebezpieczna liczba. Kiedy teraz to zrozumiał, nie bardzo zmieniło to jego zdanie na temat tamtej baby; mało go obchodziło, czy rodzina, o jakiej myślał, będzie się składać z samych mężczyzn, kobiet czy dzieci. Chodziło mu po prostu o ludzi.

- Nie siedźcie tak - odezwał się znienacka. Will i matka spojrzeli zdumieni. - Dobrze słyszeliście. Nie siedźcie tak. Rozmawiajcie.

- Zaraz pewnie zaczniemy - powiedziała zakłopotana Fiona.

- Obiad się skończy, a wy jeszcze nie wymyślicie, o czym rozmawiać - burknął Marcus.

- A o czym mamy rozmawiać? - spytał Will.

- O czymkolwiek. O polityce. Filmach. Morderstwach. Wszystko mi jedno.

- Trudno zaczynać rozmowę na komendę - zauważyła mama.

- Chyba miałaś już dość czasu, żeby się tego nauczyć?

- Marcus! Will roześmiał się.

- Ma rację. Nie wiem, ile masz lat, Fiono, ale przypuszczam, że w sumie mamy co najmniej sześćdziesiąt lat doświadczeń konwersacyjnych, więc może nie powinno być tak trudno.

- W porządku.

- To ruszamy.

- Ty pierwszy.

Oboje wybuchnęli śmiechem, ale dalej milczeli.

- Will? - odezwał się Marcus.

- Tak?

- Lubisz Johna Majora?

- Nie bardzo.

- A ty, mamo?

- Przecież wiesz, co o nim myślę.

- Powiedz to Willowi.

- Nie bardzo. Niewiele się posunęło.

- A dlaczego?

- Marcus, daj nam spokój. W niczym nie pomagasz, a tylko utrudniasz. Jak nie będziesz nas tak ponaglał, to sami zaczniemy rozmawiać.

- Kiedy?

- Przestań wreszcie! - Byłeś kiedyś żonaty, Will?

- Marcus, jeszcze chwila, a cię ukatrupię.

- Daj spokój, Fiona, nic nie szkodzi. Nie, niebytem. A ty?

- Pewnie, że nie. Jestem za mały.

- - O!

- To teraz spytaj mamę.

- Fiona, byłaś zamężna?

- Nie.

Marcus na chwilę oniemiał. Jak był młodszy, uważał, że ludzie muszą mieć ślub, aby zostać matką i ojcem, tak jak trzeba mieć prawo jazdy, żeby prowadzić samochód. Potem dowiedział się, że to nieprawda i że jego rodzice nie byli małżeństwem, ale trudno jednak było pozbyć się dawnych wyobrażeń.

- A chciałaś, mamo?

- Nie bardzo. Nie wydaje mi się to takie ważne.

- To dlaczego inni to robią?

- Z przeróżnych powodów. Poczucie bezpieczeństwa. Nacisk rodziny. Mylne wyobrażenia na temat romansu.

- Straszna z ciebie cyniczka. - Will pokręcił głową ze śmiechem. Marcus tego nie zrozumiał, ale podobało mu się to, że nareszcie coś zaskoczyło, bez jego ponaglenia. - Widujesz się jeszcze z ojcem Marcusa?

- Czasami. Nie za często. Marcus znacznie częściej. A ty? Widujesz się ze swoją eks?

- Mmmm... Ach, tak. Często. Na przykład dzisiaj rano zabrała Neda.

Bardzo dziwnie to powiedział, myślał Marcus. Zupełnie jakby musiał sobie przypomnieć.

- I tobie to odpowiada?

- Tak. Jesteśmy dosyć zgodni.

- A jak do tego doszło, że to ty zająłeś się Nedem? Nie zrozum mnie źle, wiem, że jesteś świetnym ojcem i w ogóle, ale najczęściej jest na odwrót.

- Chyba była właśnie na etapie Sprawy Kramerów. Wiesz, takie tam: "Muszę ustalić, kim właściwie jestem".

- No i co, ustaliła?

- Czy ja wiem, chyba nie. Ale czy ktokolwiek z nas to ustalił?

Pojawiło się jedzenie; Marcus z zapalem zabrał się do omletu i frytek. Ciekawe, myślał, czy przeprowadzą się do Willa, czy też kupią sobie coś nowego?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Will wiedział, że Fiona nie jest w jego typie. Przede wszystkim nie wyglądała tak jak kobiety, w których gustował; w ogóle nie był pewien, czy zależy jej na wyglądzie. A tego zdecydowanie już nie lubił. Ludzie - i kobiety, i mężczyźni - powinni dbać o swoją powierzchowność, nawet gdy brakuje im użytecznych do tego środków, chyba że nie interesowała ich seksualna strona życia, co zresztą w przypadku niechłujów było całkiem na miejscu. Wtedy mogli już sobie robić, co chcieli. Taki na przykład Einstein. Will nic nie wiedział o prywatnym życiu Einsteina, ale ze zdjęć widać było, że facet myśli o zupełnie innych rzeczach. Fiona jednak nie była Einsteinem. Mogła nawet być całkiem inteligentna, ale chociażby z rozmowy w restauracji wynikało, że kontakty damsko - męskie nie są dla niej zupełnie nieistotne, czemu więc bardziej o siebie nie zadba? Dlaczego zamiast porządnej fryzury ma potargane włosy i czemu ubrania nosi tak, jakby jej zupełnie nie zależało?

Za dużo w niej było hippiski i teraz lepiej już rozumiał, skąd to dziwactwo u Marcusa. Angażowała się w te jakieś alternatywne sprawy, aromaterapia, wegetarianizm, środowisko - sprawy, które Willa nic nie obchodziły. Gdyby zaczęli się spotykać, szybko doszłoby do strasznych kłótni, po których wpadłaby w przygnębienie, a w obecnej sytuacji była to ostatnia rzecz, jakiej pragnął.

Prawdę mówiąc, najbardziej zainteresował go fakt, że próbowała sobie odebrać życie. W jakiś tajemniczy sposób było to interesujące, a nawet seksowne, ale jak umawiać się z kobietą, która w każdej chwili może się targnąć na swoje życie? Doszedł wcześniej do przekonania, że umawianie się z matkami to fajna rzecz, ale z matką o samobójczych skłonnościach? Zarazem jednak nie chciał całkiem odpuścić tej sprawy, ciągle bowiem miał poczucie, że Fiona i Marcus mogliby na resztę życia zastąpić garkuchnie dla bezdomnych i ogłoszenia w "Guardianie". Przy owym "na resztę życia" nie należało tracić proporcji: od czasu do czasu filet z miecznika albo wyprawa na jakiś nudny film, nic więcej. To powinno być o wiele łatwiejsze od dokarmiania włóczęgów. Dobre uczynki! Pomoc ludziom w potrzebie! Wcale nie boczył się na takie hasła; uważał, że pomógł Angie, śpiąc z nią (choć może miał w tym też jakiś mały interes), a teraz usiłował ustalić, czy można ludziom

pomagać bez wspólnego sypiania. Chyba raczej tak, bo przecież udawało się innym: Matce Teresie, Florence Nightingale, aczkolwiek podejrzewał, że jego styl będzie odrobinę inny.

Nie robili żadnych planów na przyszłość. Po wyjściu z restauracji pokrzyżyli trochę po Covent Garden, potem pojechali metrem na Islington i zdążył jeszcze do domu na Sport Report. Czuł jednak, że dalszy ciąg nastąpi.

W ciągu kilku dni całkowicie zmienił poglądy i zupełnie przestał się interesować dobrymi uczynkami, Fioną i Marcusem. Ilekroć o nich pomyślał, uderzały na niego zimne poty. W ogóle postanowił omijać Holloway, aby czasem nie natknąć się na nich przypadkiem. Wiedział, że to trochę przesadna reakcja, ale nie bardzo. Śpiew! Jak można się zadawać z kimś, kto jest w stanie nakłonić cię do śpiewu! Wiedział wcześniej, że oboje są trochę pokręcani, ale żeby aż tak.

Zaczęło się całkiem zwyczajnie od zaproszenia na kolację, a chociaż jedzenie mu nie smakowało - coś wegetariańskiego z groszkiem, ryżem i pomidorami - całkiem fajna była rozmowa. Fiona opowiadała o pracy terapeutki muzycznej, z kolei Marcus opowiedział Pionie, że Will zarabia milion funtów na minutę, ponieważ jego ojciec napisał kiedyś piosenkę. Will pomógł przy zmywaniu, Fiona zrobiła herbatę, a potem siadła do pianina i zaczęła grać.

Nie była zła. Pianino brzmiało wprawdzie lepiej od jej głosu, ale i ten nie był straszny, może tylko odrobinę za słaby, w każdym razie nie fałszowała. W zakłopotanie wprawiała go nie jakość, ale powaga. Bywał już nieraz w towarzystwie ludzi, którzy siadali do pianina czy gitary (choć nigdy na długo), ale zawsze to było na pokaz: wybierali głupie piosenki, wygłupiali się przy graniu albo przynajmniej pozą i mimiką zaznaczali, że to nie na serio.

A Fiona była bardzo na serio. Obojętne, czy było to Knocking On Heaven 's Door czy Fire and Rain, czy Both Sides Now - nie było żadnego dystansu między nią a utworem. Nawet oczy zamykała przy śpiewaniu.

- Może chcesz tu stanąć, żebyś widział słowa? - spytała po zakończeniu Both Sides Now. Siedział przy kuchennym stole i wpatrywał się w Marcusa, a kiedy i ten zaczął śpiewać, przeniósł wzrok na ścianę.

- A... co teraz?

- Jakieś życzenia?

Chciał zażyczyć sobie coś, przy czym nie mogłaby zamykać oczu, Roli Out The Barrell czy Knees Up, Mother Brown, czy jakąś inną z męskich, pubowych przyśpiewek, ale nastrój został już określony.

- Obojętne.

Wybrała Killing Me Softly With His Song. No i co mógł zrobić innego, jak tylko stanąć obok niej i pozwolić, by sylaby wysypywały mu się z ust. Wiedział wprawdzie, że piosenka nie może się ciągnąć w nieskończoność, że także i ten wieczór się skończy, że już niedługo znajdzie się w zaciszu swego mieszkania, że nie umrze od śpiewania z depresyjną hippiską i jej zdziwaczalym synalkiem, ale wiedzieć to nie znaczy czuć. Teraz rozumiał, iż wcale nie jest tak, że może dla nich zrobić wszystko. Jakąż głupotą było zakładać coś przeciwnego.

W domu nastawił płytę Pet Shop Boys i obejrzał bez dźwięku Prisoner: Celi Block H. Chciał posłuchać facetów, którzy mieli dystans do tego, co robili, i obejrzeć ludzi, z których mógł się pośmiać. Upił się: nałożył lodu do szklanki i raz za razem nalewał sobie whisky. Kiedy trunek zaczął robić swoje, pomyślał, że życie odbierają sobie raczej ludzie bez dystansu niż z dystansem. Nie mógł sobie przypomnieć najsłabszej choćby skłonności samobójczej i absolutnie nie mógł sobie wyobrazić, że mogłaby się kiedykolwiek pojawić. Po prostu nie angażował się aż tak bardzo. Trzeba się zaangażować, aby być wegetarianką, aby śpiewać Both Sides Now z zamkniętymi oczyma i - powiedzmy to wyraźnie - by zostać matką. On do niczego się za bardzo nie zapalał, co gwarantowało mu życie długie i wolne od depresji. Bardzo się pomylił, sądząc, że dobre uczynki otwierały przed nim nową perspektywę. Otóż nie, dobre uczynki mogły cię co najwyżej przyprawić o świra. Fiona chciała czynić dobrze i to doprowadziło ją do wariactwa: żyła w strachu, chaosie i bezsensie. Will tymczasem opracował sobie system, który gładko i bezboleśnie miał go doprowadzić aż do grobu. I za nic nie wolno go było rozpieprzyć.

Po upiornej kolacji Fiona odezwała się raz: zostawiła na sekretarce wiadomość, na którą nie odpowiedział. Zadzwoiła także Suzie, a chociaż chciał się z nią spotkać, to jednak podejrzewał, iż może działać w imieniu Fiony, był więc mało konkretny i wykrętny. Odnosił

wrażenie, iż wariant z samotną matką przebadał już na tyle dokładnie, że teraz należało wrócić do stylu życia sprzed Angie. To chyba najlepsze rozwiązanie.

Znowu zaczął spędzać czas w sklepach muzycznych, domach mody, raz czy dwa zagrał w tenisa, odwiedzał puby, chodził na filmy i koncerty ze znajomymi. Jednostki czasu znowu zaczęły się wypełniać gładko i bezszelestnie. Któregoś czwartku był właśnie w połowie thrillera Jamesa Ellroya w tej okropnej porze między Countdown a wiadomościami, gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

Spodziewał się, że to ktoś z podkoszulkami czy szczoteczkami, ale gdy otworzył drzwi, wzrok jego napotkał przeciwległą ścianę, albowiem gość był znacznie niższy od przeciętnego domokrażcy.

- Cześć, wpadłem porozmawiać - oznajmił Marcus.

- Fajnie, wejdz - powiedział możliwie jak najcieplejszym głosem, zarazem jednak z niejasnych przyczyn poczuł falę paniki. Marcus wszedł do saloniku, usiadł i rozejrzał się uważnie.

- Nie masz żadnego dzieciaka, nie? Oto przyczyna paniki.

- Widzisz... - zaczął Will, jakby przystępował do długiej i zawilej opowieści, tyle że wszystkie jej detale zupełnie się rozplynęły.

Marcus wstał i raz jeszcze obrzucił pokój spojrzeniem.

- Gdzie masz ubikację, bo zaraz umrę, jak nie zrobię siku.

- Z korytarza pierwsze drzwi na lewo.

Marcus zniknął, a Will pośpiesznie spróbował obmyślić historię, która uzasadniłaby kompletny brak śladów Neda, ale bez żadnego skutku. No więc tak: albo mógł powiedzieć Marcusowi że oczywiście ma dziecko, tyle że ani jego, ani żadnych dziecięcych drobiazgów nie ma po prostu dlatego, że... i tutaj trzeba było coś wymyślić, albo mógł się rozszlochać i wyznać, że jest niepoprawnym fantastą. Tę ostatnią wersję odrzucił.

- Masz tylko jedną sypialnię - skonstatował Marcus po powrocie.

- A co, wszystko sobie obejrzałeś?

- Tak. Jedna sypialnia, żadnych zabawek w łazience, żadnych tutaj... Nie masz nawet jego zdjęcia.

- A co cię to obchodzi?

- Nic. Tylko nakłamałeś mnie, mojej mamie i jej przyjaciółce.

- Kto ci powiedział, gdzie mieszkam?

- Zobaczyłem cię kiedyś na ulicy i poszedłem za tobą pod sam dom.

Prawdopodobnie. Nietrudno go było spotkać gdzieś w okolicy, a poza tym nie dawał swego adresu Suzie, Pionie ani żadnej z uczestniczek ROSR, nie było więc innego wytłumaczenia.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Nie miałem nic do roboty.

- OK. To co, chyba już czas na ciebie?

- Dobrze, ale o wszystkim powiem mamie. - Och, strasznie się boję.

Will czuł, jak po stromym zboczu stacza się w przepaść poczucia winy, którego nie zaznał od czasów uczniowskich, nic więc dziwnego, że odpowiedział jedną z fraz charakterystycznych dla tego wieku. Jedyne wytłumaczenie, do jakiego był w tej chwili zdolny, to czysta prawda: że wymyślił dziecko, aby się spotykać z kobietą. Tyle że wydawało mu się to jakoś okropne.

- No, dobra, dawaj, co masz w zanadrzu.

- Zawrzemy umowę. Nic nie powiem mamie, jeśli się z nią umówisz.

- Dlaczego chcesz, żeby twoja mama umawiała się z kimś takim jak ja?

- Nie jesteś taki zły. To znaczy, jasne, nakłamałeś, ale poza tym jesteś OK. A ona jest smutna i chyba chciałaby mieć faceta.

- Marcus, nie mogę się z kimś umawiać tylko dlatego, że ty tak chcesz.

- A co ci się w niej nie podoba?

- Nie, żeby mi się nie podobała, ale...

- Ale wolisz się umawiać z Suzie, tak?

- Nie zamierzam z tobą o tym rozmawiać.

- Tak właśnie myślałem.

- Słuchaj, niczego nie powiedziałem, natomiast... Dość tego, naprawdę nie chcę o takich sprawach rozmawiać z tobą. Zjeżdża) do domu.

- W porządku, ale jeszcze wrócę. I tyle go było widać.

Kiedy Will ukuł swoją historyjkę i przyłączył się do ROSR, wyobrażał sobie słodkie, niewinne dzieciaczki, z pewnością nie takie, które będą cię śledzić i nachodzić w domu. Chciał wkroczyć w tamten świat, ale ani przez chwilę nie przypuścił, że może nastąpić kontrofensywa. To on był wizytatorem, natomiast nie znosił, aby wizytowano jego.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Marcus nie był głupi. OK, czasami robił coś głupiego, jak na przykład z tym śpiewaniem, ale przecież nie chodziło o to, że jest tępy, tylko tak jakoś... Natychmiast zrozumiał, że wszystko, co wie o Willu - iż nie ma dziecka, w związku z tym także żadnej eks - jest aż nazbyt dobre, żeby to natychmiast wykorzystać. Gdyby po wizycie u Willa udał się do domu i wszystko opowiedział mamie i Suzie, sprawa by się skończyła. Nigdy by się już z nim nie spotkali, a tego Marcus nie chciał.

Właściwie nie wiedział dlaczego, ale miał przeczucie, że nie należy natychmiast wykorzystywać tej informacji, podobnie jak pieniędzy urodzinowych nie należało tracić natychmiast, lecz raczej potrzymać je trochę w kieszeni, żeby się zorientować, na co warto je wydać. Rozumiał, że nie zmusi Willa wbrew jego woli, aby umówił się z Fioną, może jednak mógłby go zmusić do czegoś innego, o czym w tej chwili nawet nie miał pojęcia, aby więc zyskać jakąś inspirację, zaczął go odwiedzać niemal każdego dnia po szkole.

Za pierwszym razem Will nie wyglądał na uszczęśliwionego. Stał w drzwiach, ręce trzymając na framudze.

- No i co tym razem? - spytał.

- Nic. Pomyślałem sobie, że zajrzę. - Will uśmiechnął się, chociaż Marcus nie rozumiał dlaczego. - Co robisz?

- Co robię?

- Mhm.

- Oglądam telewizję.

- A co konkretnie?

- Countdown.

- Co to takiego? - Marcus dobrze wiedział, co to takiego. Wiedziało to każde dziecko, które po powrocie ze szkoły włączyło telewizor: Countdown to jeden z najnudniej szych programów w dziejach telewizji.

- Taki teleturniej. Słowa i liczby.

- Aha. A mnie może się spodobać? Oczywiście, że nie. Nie podobał się nikomu z wyjątkiem matki dziewczyny jego ojca.

- Trudno powiedzieć.

- Jak chcesz, to obejrzę z tobą.

- Bardzo dziękuję, ale wiesz, z reguły sam sobie radzę.

- Ale ja jestem dobry w anagramach i matematyce. Mogę ci pomóc, gdyby ci zależało na wyniku.

- Więc jednak wiesz, o co w tym chodzi.

- Tak, teraz sobie przypominam. Właściwie to mi się podoba. Jak się skończy, pójdę sobie.

Will przyjrzał mu się uważnie, a potem pokręcił głową.

- Niech cię cholera! Włóż.

Marcus natychmiast znalazł się w środku. Siadł na długiej kremowej sofie, zrzucił buty, a potem wygodnie się rozparł. Countdown był oczywiście beznadziejny, ale on się nie skarżył ani nie domagał zmiany kanału. (Mimochodem zauważył, że Will ma kablówkę). Siedział spokojnie, ale i Will niczym oprócz oglądania się nie zajmował - nie wykrzykiwał odpowiedzi, nie buczał, kiedy ktoś się pomylił. Patrzył tylko i palił.

- Powinieneś mieć papier i coś do pisania - zauważył Marcus.

- Tak?

- Nigdy tak nie robisz?

- Czasami.

- To czemu nie dzisiaj?

- Nie wiem, do cholery!

- Możesz tak robić, mnie to nie przeszkadza.

- Serdeczne dzięki.

Wyłączył pilotem telewizor i siedzieli w milczeniu.

- Czego ty chcesz, Marcus? Nie masz żadnych lekcji do odrabiania?

- Mam, chcesz mi pomóc?

- Nie o to mi chodziło. Skoro masz coś do odrobienia, dlaczego nie idziesz do domu?

- Lekcje robię po kolacji. Nie powinieneś palić, to szkodzi.

- Wiem, ale dzięki za informację. O której wraca mama?

- Jakoś teraz.

- Noto...?

Marcus zignorował sugestię i raz jeszcze zaczął lustrować pokój. Poprzednim razem zarejestrował tylko nieobecność Neda i jakichkolwiek jego śladów, teraz jego uwagę zwróciło mnóstwo innych szczegółów: nowiutkie hi - fi, setki CD, tysiące taśm, czarno - białe zdjęcia saksofonistów, plakaty filmowe na ścianach, parkiet, dywany. Dziwiła go wielkość mieszkania. Gdyby Marcus zarabiał tyle, ile - przypuszczalnie - zgarniał Will, szarpnąłby się na coś o wiele większego. Ale kwadrat całkiem niezły. Pewnie urządziłby go podobnie, tyle że inne plakaty powiesiłby na ścianach. O niektórych filmach w ogóle nie słyszał: Double Indemnity, The Big Sleep; on z pewnością miałby Kochanie, zmniejszyłem dzieciaki i Uwolnić orką, i... W każdym razie z pewnością nie Hellhound 3 ani Boilerhead. Przynajmniej w tej chwili. Na jakiś czas stracił do tego zapal po Dniu Martwej Kaczki.

- Fajne mieszkanie.

- Dzięki.

- Tylko trochę małe.

- Mnie wystarczy.

- Ale gdybyś zechciał, mógłbyś sobie kupić większe?

- To mi wystarcza.

- Jeszcze u nikogo nie widziałem tyle płyt. - Podszedł do półki, ale nie wiedział właściwie, czego szuka. - "Iggy Pop" przeczytał i roześmiał się z imienia, ale Will mu nie zawtórował. - A co to za faceci z saksofonami i trąbkami?

- Saksofoniści i trębacz.

- Ale jak się nazywają i dlaczego tutaj wiszą?

- To Charlie Parker, a to Chet Baker. A wiszą dlatego, że ich lubię i są świetni.

- A dlaczego są świetni? Will westchnął.

- Nie wiem, może dlatego, że brali drągi i się przekęcili.

Marcus przyjrzał się Willowi, ale ten chyba wcale nie żartował. Marcus nie chciałby mieć na ścianie podobizn facetów, którzy ćpali i umarli. O tych sprawach wolałby zapomnieć, a nie gapić się na nie codziennie.

- Dać ci czegoś? Kawy, herbaty, coli?

- Tak, proszę.

Marcus poszedł za Willem do kuchni. Była inna niż u niego w domu: mniejsza, bielsza, pełna różnych sprzętów, które wyglądały, jakby ich nigdy nie używano. W domu miał uchwyt na butlę z wodą źródlaną i kuchenkę mikrofalową, ale tak zabrudzone, że niemal czarne.

- Co to?

- Ekspres do kawy.

- A to?

- Automat do robienia lodów. Chcesz :

- Z chęcią, jeśli je zrobisz.

- Nie, bo to trwa godzinami.

- No to ostatecznie mogą być sklepowe.

- Cola?

- Tak.

Will podał mu puszkę, a on otworzył ją pyknięciem.

- I co, przez cały dzień nic, tylko oglądasz telewizję?

- Nie, oczywiście, że nie.

- To co jeszcze robisz?

- Czytam. Robię zakupy. Odwiedzam znajomych.

- Fajne życie. A jak byłeś dzieckiem, chodziłem do szkoły?

- Pewnie.

- Po co? Bo przecież nie musiałeś?

- A jak to wykombinowałeś? Jak myślisz, doczego potrzebna jest szkoła?

- Żeby dostać pracę.

- A czytanie i pisanie?

- To umiem już od dawna, a dalej muszę chodzić do szkoły, bo potem będę szukał pracy. Ty mogłeś dać sobie spokój ze szkołą, jak miałeś siedem, osiem lat. Ile miałbyś spokoju! Przecież niepotrzebna ci historia do czytania czy zakupów?

- Chyba że chcesz czytać książki historyczne.

- A takie czytasz?

- Rzadko.

- No to po co chodziłeś do szkoły?

- Daj mi już spokój, Marcus!

- Gdybym wiedział, że nie będę musiał pracować, odpuściłbym szkołę.

- Tak jej nie lubisz?

Will robił sobie herbatę. Kiedy dolał mleka, wrócili do pokoju.

- Nienawidzę.

- Dlaczego?

- Nie pasuje mi. Albo jeszcze lepiej: nie nadaję się do szkoły. Mam zły typ osobowości.

Matka powiedziała mu o typach osobowości jakoś zaraz po przeprowadzce do Londynu. "Oboje jesteśmy introwertykami oznajmiła - i dlatego wiele rzeczy, takich jak zawieranie znajomości, podejmowanie nauki w nowej szkole czy pracy w nowym miejscu, przychodzi nam trudniej niż innym". Powiedziała to takim tonem, jakby miało go to jakoś lepiej nastroić, tymczasem, rzecz jasna, było dokładnie odwrotnie, a on zupełnie nie pojmował, jak mogłoby być inaczej. Na ile mógł zrozumieć, introwertycy już tak mają, że jest im do kitu.

- Koledzy dają ci popalić?

Marcus zerknął podejrzliwie na Willa. A ten skąd wiedział? Może jest znacznie gorzej, niż podejrzewał, skoro ludzie się domyślają, zanim cokolwiek powie.

- Nie bardzo. Tylko kilku.

- A czego się czepiają?

- Nic specjalnego, wiesz, włosy i okulary. Poza tym śpiewanie i te rzeczy.

- A co ze śpiewaniem?

- Czasami... sam nie wiem, że śpiewam. Will wybuchnął śmiechem.

- To wcale nie jest śmieszne.

- Przepraszam.

- Po prostu tak się dzieje, a ja nic nie mogę na to poradzić.

- Ale mógłbyś coś zrobić z włosami?

- A co ?

- Podstrzyc.

- Na kogo?

- Na kogo! Jak chcesz.

- Ja chcę właśnie tak, jak mam.

- Ale dlaczego tak właśnie? A nie jak inni koledzy?

- Bo tak sobie rosną, a ja nienawidzę fryzjera.

- Rozumiem. A jak często chodzisz?

- Nigdy. Mama mi podcina.

- Mama? Jezu. Ile ty masz lat? Dwanaście, tak? To już jeste na tyle dorośli, żebyś sam zadbał o swoją fryzurę.

Marcusowi bardzo się podobało to "na tyle dorośli", gdyż nikt dotąd tak mu nie mówił.

- Myślisz?

- Jasne. Dwanaście lat? Za cztery lata mógłbyś już myśleć o małżeństwie. Wtedy też mama będzie cię strzygła?

- To by się jej chyba nie podobało.

- Komu?

- Mojej żonie. A poza tym chyba nie będę jej jeszcze miał za cztery lata.

- Chodziło mi nie o samo małżeństwo, ale o to, że jak będziesz miał szesnaście lat, to może ci być trochę głupio, że mama cię strzyże, obcina ci paznokcie, szoruje plecy...

- OK, kumam.

Teraz rozumiał, co Will miał na myśli. I wiedział, że ma rację. Na pewno wtedy poczułby się głupio. Ale można na to spojrzeć także z innej strony. Gdyby za cztery lata mama dalej obcinała mu włosy, znaczyłoby to, że w tym czasie nie zdarzyło się nic okropnego. I z tego punktu widzenia może się nawet czuć odrobinę głupio mniej więcej co dwa miesiące.

Marcus przez całą jesień często zachodził do Willa, a już od czwartego czy piątego spotkania zaczął odnosić wrażenie, że tamten się przyzwyczaja. Za trzecim razem doszło do małej sprzeczki, gdyż Will nie chciał go wpuścić, więc znowu musiał się uciec do gróźb, ale potem tak się to już jakoś ułożyło, że dzwonił, a Will otwierał drzwi i w tym samym ruchu odwracał się i szedł do pokoju, pewien, że chłopak za nim podąży. Parę razy zastał drzwi zamknięte; nie wiedział, czy Will wyszedł umyślnie, ale wolał się nie dopytywać.

Z początku niewiele rozmawiali, ale kiedy wizyty stały się mniej więcej rutynowe, Will uznał, że powinni podjąć także trudniejsze tematy. Nie była to jego mocna strona, w

każdym razie komentowali kiedyś występy grubasa, który ciągle wygrywał w Countdown, a Will zniecała spytał:

- A jak w domu?

- Masz na myśli mamę?

- No, tak.

Było oczywiste, że Will wolałby mówić o tłuściochu; Marcus poczuł ukłucie złości. Gdyby to zależało tylko od niego, cały czas spędziłby na myśleniu o Countdown, tyle że to akurat było niemożliwe. Zaraz jednak odegnał złość od siebie - to w końcu nie wina Willa, przynajmniej zrobił jakiś gest.

- Dobrze, dziękuję - odpowiedział tonem sugerującym, że Fiona zawsze dobrze się czuła.

- Ale mnie chodziło o...

- Wiem. Wszystko w porządku.

- A ciągle się martwisz?

Od tamtego dnia Marcus z nikim nie rozmawiał ani o wydarzeniu, ani o tym, co czuł, a każdego dnia czuł okropny strach. Jedną z przyczyn, dla których po szkole szedł do Willa, było to, że w ten sposób mógł opóźnić powrót do mieszkania: wspinanie się po schodach, wpatrywanie we wzór dywanu i wspomnianie Dnia Martwej Kaczki. Kiedy trzeba było włożyć klucz do zamka, serce łomotało, a kiedy widział mamę oglądającą telewizję, gotującą albo piszącą coś przy stole kuchennym, musiał badzo nad sobą panować, żeby się nie rozplakać, nie dostać torsji czy coś w tym rodzaju.

- Trochę. Kiedy o tym myślę.

- A jak często myślisz?

- Czy ja wiem...

Ciągle, ciągle, ciągle. Ale czy mógł tak powiedzieć Willowi? Nie był pewien. Nie mógł powiedzieć mamie, nie mógł powiedzieć tacie, nie mógł powiedzieć Suzie - ci zaraz narobiliby zamęt. Mama zaraz by spochmurniała, Suzie chciałyby poważnie o tym porozmawiać, ojciec zacząłby się domagać, żeby przeniósł się do niego do Cambridge... Na nic mu to nie było potrzebne, po co więc rozmawiać z kimkolwiek? Jemu potrzebna była obietnica, że to się już nigdy więcej nie powtórzy, tyle że kto mu mógł to obiecać?

- Kurwa mać - mruknął Will i zaraz dorzucił: - Przepraszam, nie powinienem tak przy tobie mówić, co?

- Nic nie szkodzi - odrzekł Marcus. - W szkole słyszę to na okrągło.

Will nie powiedział nic więcej, tylko: "Kurwa mać". Marcus nie wiedział, dlaczego Will przeklął, ale jakoś mu się to podobało; poczuł się lepiej. Bez gadaniny, ckliwości, ktoś poważnie potraktował jego strach, nie uznał go za coś śmiesznego czy żalnego.

- Jak chcesz, to zostań na Neighbours - powiedział Will. - Inaczej stracisz początek.

Marcus nigdy tego nie oglądał i nie rozumiał, skąd Willowi przyszło to do głowy, niemniej został. Wydawało mu się, że powinien. Oglądali w milczeniu, a kiedy pojawiły się końcowe napisy, Marcus podziękował i poszedł do domu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Will zaczął wkomponowywać wizyty Marcusa w codzienny rozkład dnia. Z pewnego punktu widzenia nie było to trudne, gdyż z rozkładzie zostawało pełno dających się różnie zagospodarować luk, ale z całą pewnością mógł je wypełnić czymś prostszym i łatwiejszym, jak na przykład zakupy czy popołudniowe seanse filmowe. Trudność z Marcusem nie polegała na tym, że źle się zachowywał, bo tak nie było, ani że trudno się z nim dogadać, bo tak nie było, a wynikała z faktu, że często sprawiał takie wrażenie, że na chwilę tylko zatrzymał się na tej planecie w drodze gdzie indziej, tam gdzie lepiej by pasował. Były momenty, gdy całkowicie zatapiał się w swoich myślach, a po nich następowały chwile, kiedy jakby dla zrównoważenia tamtych zalewał Willa nieprzerwanym ciągiem pytań.

Raz czy dwa Will uznał, że ma tego dość, i poszedł do kina czy na zakupy, ale najczęściej o szesnastej piętnaście był w domu i czekał na dzwonek - czasami dlatego, że nie chciało mu się wychodzić, albo dlatego, iż czuł, że jest coś Marcusowi winny. Czego miałby być winny i z jakiej przyczyny, tego nie wiedział, widział jednak, że staje się na chwilę kimś ważnym dla chłopaka. A ponieważ nie odgrywał takiej roli w życiu żadnej innej osoby, więc nawet ewentualna uciążliwość tych wizyt nie mogła być zabójcza, aczkolwiek bywały czasami irytujące i Will nie miałby nic przeciwko temu, żeby Marcus znalazł sobie wreszcie jakiś inny ośrodek codziennych przedsięwzięć.

Za trzecimi czy czwartymi odwiedzinami spytał o Fionę i zaraz tego pożałował, gdyż widać było wyraźnie, że chłopak ma z tym problem. Trudno było się temu dziwić, ale Will nie znalazł żadnych słów pociechy czy porady i zaklął tylko ze współczuciem, co może z uwagi na wiek Marcusa nie było zachowaniem najodpowiedniejszym. Więcej już takiego błędu nie popełni; kiedy Marcus sam będzie chciał porozmawiać o swojej matce, niedoszłej samobójczyni, lepiej, by się zwrócił do Suzie czy jakiegoś psychologa, w każdym razie do kogoś, kogo stać na coś więcej niż tylko obsceniczność.

Problem w tym, że Will całe życie spędził na unikaniu prawdziwych kłopotów. Koniec końców był spadkobiercą człowieka, który napisał Mikołaja supersanki. Święty Mikołaj, w

którego istnienie stanowczo wątpiła większość dorosłych, Willowi zapewnił wszystko, czego trzeba do jedzenia, picia, umeblowania się i - w ogóle - życia. Ktoś mógłby się posunąć do twierdzenia, że poczucia realizmu nie miał w swoich genach. Lubił oglądać rzeczywiste problemy w EastEnders czy w The Bili, lubił słuchać, gdy o rzeczywistych problemach śpiewali Joe Strummer, Curtis Mayfield czy Kurt Cobain, ale jeszcze nigdy dotąd rzeczywisty problem nie siadał naprzeciw niego na sofie. Cóż więc dziwnego, że podawszy herbatę i ciastka, nie bardzo wiedział, co dalej.

Niekiedy podejmowali rozmowę na temat życia Marcusa, a krążyła ona wokół dwóch nieszczęść: w szkole i w domu.

- Mój tata przestał pić kawę - nieoczekiwanie oznajmił Marcus za którymś razem, gdy Will podjął temat szkodliwości kofeiny (jeden z tych tematów, jak sądził, którymi zajmowali się ludzie bez innych zajęć).

Marcus tak dalece wydawał się tworem swojej matki, że Will nigdy dotąd nawet nie pomyślał o jego ojcu.

- A co robi twój tata?

- Pracuje w opiece społecznej w Cambridge.

To by pasowało, pomyślał Will. Wszyscy ci ludzie pochodzą z jakiejś zupełnie innej krainy, pełnej rzeczy, o których Will nie miał najmniejszego pojęcia i z których nie potrafiłby zrobić użytku, jak terapia muzyczna, administrowanie domami, prowadzenie sklepów ze zdrową żywnością czy księgarń z europejskimi powieściami pełnymi trudnych uczuć. To mieszkańcy tej krainy spłodzili Marcusa.

- A co robi?

- Nie wiem, ale zarabia niedużo.

- Często się z nim widzisz?

- Dosyć. Co drugi tydzień na weekend. Ma dziewczynę, nazywa się Lindsey. Jest fajna.

- Aha.

- Opowiedzieć ci coś więcej o nim?

- A chcesz?

- Tak. Bo w domu rzadko o nim rozmawiamy.

- Dobra. A o czym chcesz mówić?

- Nie wiem, co cię interesuje. Na przykład, jaki ma samochód i czy pali.

- A pali papierosy?

Willa już od pewnego czasu przestały dziwić nie całkiem tradycyjne formy rozmowy z Marcusem.

- Nie! Rzucił! - powiedział chłopak z takim triumfem w głosie, jakby schwytał Willa w jakąś pułapkę.

- O!

- Ale nie przyszło mu to łatwo.

- Ja myślę. Bardzo za nim tęsknisz?

- Jak to?

- Nie wiem, jak jeszcze inaczej to powiedzieć... Czy... czy ci go brak? Rozumiesz?

- A dlaczego miałoby mi go brakować?

- OK, czy chciałbyś się częściej z nim widywać?

- Nie.

- W porządku. Już rozumiem.

- Można jeszcze coli?

Will z początku nie zrozumiał, dlaczego w takim razie w ogóle pojawił się wątek ojca, potem jednak pomyślał, że dobry jest każdy temat, który odrywał Marcusa od tego, co go bezpośrednio trapiło. Zwycięstwo polegające na pokonaniu nałogu nie było własnym osiągnięciem Marcusa, ale czym innym mógł się pochwalić w życiu tak pozbawionym zwycięstw?

Will wprawdzie to rozumiał, zarazem jednak myślał, że to nie jego problem. On nie miał żadnych problemów. Niewielu ludzi mogło tak powiedzieć o sobie, ale i to nie było jego problemem. Nie było to dla niego źródłem żadnego zawstydzenia, wprost przeciwnie: powodem głośniejszej i radoszej uciechy. Dożycie wieku trzydziestu sześciu lat bez żadnych szczególnych trudności wydawało mu się wynikiem godnym uwagi, i kontynuacji, a chociaż nie miał nic przeciwko temu, by poczęstować Marcusa nie jedną, ale kilkoma jeszcze butelkami coli, chciał się zarazem trzymać jak najdalej od jego pieskiego życia. Dlaczego miałby postąpić inaczej?

W następnym tygodniu tuż przed rozpoczęciem Countdown szyba w saloniku Willa zaterkotała jak pod uderzeniem gradu, a w następnej chwili rozległ się przeraźliwy dzwonek do drzwi. Rozumiejąc, że pojawił się jakiś kłopot - trudno bowiem nie pomyśleć o kłopotcie, kiedy coś ostrzeliwuje twe okno, a towarzyszy temu dzwonek do drzwi - odruchowo chciał pogłośnić telewizor i zignorować alarm. W następnej chwili zbeształ sam siebie za tchórzostwo i poszedł otworzyć.

Na progu stał Marcus rażony pociskami - słodkimi drażetkami, jak się później okazało - drobnymi i równie groźnymi jak kamyki, o czym dowodnie mógł się przekonać sam Will, gdyż kilka nie ominęło i jego. Wciągnął Marcusa do środka, a jednocześnie udało mu się jeszcze dostrzec dwóch napastników: oprychowatych nastolatków.

- Co wy tu robicie?

- A chuj ci do tego?

- Tak? No to, kurwa, uważajcie, bo jak was dopadnę, to nogi z dupy powyrywam!!! - Will nawet już nie pamiętał, kiedy ostatni raz używał takich zwrotów, ale czuł, że nie należy z nich rezygnować. - Spierdalajcie stąd, ale już!!!

- Ojoj! - mruknął jeden tonem mającym sugerować, że nie boją się żadnych pogroźek, ale jeśli istotnie tak było, to dziwnie szybko zniknęli, ku niejakiemu zdziwieniu Willa, który przenigdy przed samym sobą by nie uciekał. (Chociaż poprawniej może byłoby powiedzieć, że gdyby Will niespodziewanie spotkał siebie w ciemnej uliczce, obaj z miejsca spotkania oddaliliby się równie szybko, i to w przeciwnych kierunkach). Niemniej jednak był osobą dorosłą, a chociaż młodzież nie szanowała już teraz nikogo, to tylko najbardziej rozwydrzeni nastolatkwie (i to najczęściej, gdy byli uzbrojeni) atakowali osoby większe i starsze od nich. Na Willa ów odwrót podziałał jakoś krzepiąco.

Marcus poczęstował się herbatnikiem i usiadł na sofie wpatrzony w telewizor. Nie wyglądał inaczej niż kiedykolwiek dotąd; zainteresowany programem, trzymał w ustach nadgryzione ciastko, bez żadnych śladów niepokoju. Nawet jeśli ten chłopiec uciekał przed prześladowcami, było to tak dawno temu, że zupełnie zdąży] już zapomnieć.

- Kto to był?

- Kto?

- Kto? Ci kolesie, którzy chcieli ci cukierkami ponabijać czaszkę.

- A, ci - mruknął Marcus, nie odrywając wzroku od ekranu. - Nie znarn ich. Są w dziewiątej.

- I nie wiesz, jak się nazywają?

- Przyczepili się do mnie zaraz pod szkołą, więc pomyślałem, że lepiej pójdę do ciebie, a nie do domu, żeby nie wiedzieli, gdzie mieszkam.

- Serdeczne dzięki.

- Przecież nie będą niczym rzucać w ciebie. Chodziło im o mnie.

- I często się to zdarza?

- Z drażetkami? Dopiero dzisiaj to wymyślili.

- Nie chodzi mi o ten wypadek. Czy często starsze chłopaki usiłują ci zrobić krzywdę?

Marcus spojrział na niego i wzruszył ramieniem.

- Przecież ci mówiłem.

- Ale nie przypuszczałem, że to przybiera aż taki charakter.

- Jaki charakter?

- Myślałem, że jest paru koleśków, którzy dają ci trochę popalić, jakieś kawały, te rzeczy. Ale żeby nie znani ci faceci gonili cię i rzucali czymś...

- Mówiłem ci - cierpliwie tłumaczył Marcus - że dopiero teraz na to wpadli.

Marcus może tłumaczył cierpliwie, ale Willowi zaczynało brakować cierpliwości; gdyby miał pod ręką jakieś cukierki, z chęcią sam cisnąłby w chłopaka.

- Marcus, do jasnej cholery, przestań być taki dosłowny. Ja rozumiem, że ci dwaj na pomysł z cukierkami wpadli dopiero dzisiaj. Ale z pewnością nie od dzisiaj założą ci za skórę.

- Ci dwaj nie.

- Ale inni?

- Inni tak. Raz ci, raz tamci.

- I o to właśnie mi chodziło.

- Trzeba było spytać.

Will poszedł nastawić czajnik, chociażby po to, aby zająć ręce czymś, co zabezpieczyłoby go przed sprawą sądową. Nie mógł jednak ot, tak, zostawić całej sprawy.

- I co teraz zrobisz? .

- Jak to?

- Pozwolisz, żeby to tak trwało, ja wiem... całe lata?

- O rany, jesteś zupełnie jak nauczyciele w szkole.

- A co oni mówią?

- Schodź im z drogi. Tak jakbym specjalnie się ustawiał, żeby im przeszkadzać.

- Ale na pewno nie czujesz się z tym dobrze.

- Pewnie, że nie, ale po prostu nie myślę o tym. Jak wtedy, gdy złamałem sobie nadgarstek na drabinkach.

- Poczekaj, nie chwytam.

- Spadłem, bolało, wolałbym nie spaść, ale skoro już się to stało... Takie jest życie, nie?

Czasami Marcus mówił tak, jakby był stulatkiem, i Will czuł się wtedy bardzo nieswojo.

- Ale przecież życie wcale nie musi takie być.

- Może, ale to ty wiesz lepiej. Ja nic nie zrobiłem. Po prostu zmieniłem szkołę i zaraz się zaczęło. Nie wiem dlaczego.

- A jak było w starej?

- Inaczej. Różni tam byli: mądrzejsi, głupszy, eleganciki i olewusy. Tam nie byłem obok. A tutaj jestem.

- Ale ci tutaj to takie same dzieciaki jak tam.

- Tak, a co z tymi, co nie pasują?

- Może od tego zaczynają, ale potem przestają się odróżniać. Dalej nie pasują, ale nie widać tego po nich. Kłopot z tobą polega na tym, że się rzucasz w oczy.

- To co, mam się stać niewidzialny? - prychnął Marcus.

- Może masz tam w kuchni jakąś maszynkę niewidzialności?

- Potrzebna ci nie niewidzialność, ale maska.

- Wąsy i czarne okulary?

- Jasne, wąsy. Kto zwróci uwagę na dwunastolatka z wąsami? Marcus skrzywił się.

- Żartujesz sobie. Każdy by zwrócił. Byłbym jedyny w całej szkole.

Will uniósł dłonie w obronnym geście.

- W porządku, wycofuję się, wąsy to zły pomysł. Ale gdybyś tak, na przykład, nosił takie włosy, ubranie i okulary jak wszyscy? A w środku zostać sobie dziwakiem, jakim chcesz. Zrób tylko coś ze swoim wyglądem zewnętrznym.

Zaczęli od nóg. Marcus nosił buty, jakich już, zdaniem Willa, od dawna nie robiono: proste czarne trzewiki, matowe, sztywne i ponuro uroczyste.

- Tobie się one podobają? - spytał Will. Szli właśnie Holloway Road z zamiarem kupienia jakiegoś sportowego obuwia. Marcus spojrzał uważnie na czubki butów i omal nie wpadł na rozłożystą damę dźwigającą w obu rękach pęki toreb z supermarketu.

- Jak to "podobają"?

- Lubisz je?

- To moje szkolne buty. Co tu ma do rzeczy podobanie się?

- Jak będzie ci na tym zależało, możesz lubić wszystko, co nosisz.

- A ty lubisz wszystko?

- W każdym razie nie wkładam czegoś, czego nienawidzę.

- No a co robisz z tymi okropnymi?

- Po prostu ich nie kupuję i tyle.

- Tak, ale ty nie masz matki. Przepraszam, że tak mówię, ale nie masz.

- Nic nie szkodzi, przyzwyczailem się już do tego stanu.

Sklep był wielki i zatłoczony, a światło nadawało wszystkim twarzom trupi wyraz, powlekając je zielonkawym lakierem. Will kątem oka dojrzał ich odbicie w lustrze i zaszokowała go myśl, że właściwie wyglądają jak ojciec i syn. Wewnętrznie czuł się bardziej starszym bratem, ale upiorne światło nie pozostawiało żadnych wątpliwości, ostro podkreślając kurze łapki w kącikach oczu Willa i gładkość policzków oraz biel zębów Marcusa. No i włosy... Will dumny był z tego, że na jego czaszce nie było nawet małego placka łysiny, ale gdzie mu się równać do czupryny chłopca.

- Na jakie masz ochotę? - Nie wiem. - Chyba najlepiej adidasy.

- Dlaczego?

- Wszyscy je noszą.

Buty były eksponowane według marek, a w dziale Adidasa ścisk był zdecydowanie największy.

- Barany! - prychnął Marcus. - Beee!

- Czemu tak mówisz?

- Mama powtarza, że ci, co się tak tłoczą, są jak barany i nic nie robią samodzielnie.

Willowi nagle przypomniało się, że jeden z jego kolegów szkolnych miał matkę podobną do Fiony. To znaczy niezupełnie, gdyż Fiona wydawała się Willowi bardzo dziwną kombinacją różnych epok, z jej płytami z lat siedemdziesiątych, poglądami politycznymi - z osiemdziesiątych, i płynem do stóp - z dziewięćdziesiątych, tamta jednak była dokładnym odzwierciedleniem Fiony w stylu lat sześćdziesiątych. Matka Stephena Fullicka była zdania, że telewizja zamienia ludzi w bezmyślne automaty, w domu nie było więc żadnego odbiornika. "Widziałeś Thund...", zaczynał Will, a potem gryzł się w język i czerwienił, jakby telewizja była czymś w rodzaju właśnie zmarłego rodzica. I co z tego przyszło Stephenowi Fullickowi? Nie został, o ile mu wiadomo, poetą wizjonerem ani malarzem prymitywistą i najpewniej - jak cała reszta - ugrzązł gdzieś w prowincjonalnym biurze adwokackim. Czasy udreki nie przyniosły żadnej korzyści.

- Jednym z celów naszej wyprawy, Marcusie, jest to, byś zaczął się stawać baranem.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Nie chcesz zwracać na siebie uwagi, więc nie możesz się wyróżniać.

Beee.

Will sięgnął po parę butów, które wyglądały fajnie, ale bez żadnych bajerów.

- Co o nich myślisz?

- Sześćdziesiąt funtów.

- Nie patrz na cenę. Podobają ci się?

- Tak. Są OK.

Will kazał przynieść właściwy rozmiar, a Marcus, nałożywszy buty, zaczął się podnosić na palcach i opuszczać, z satysfakcją spoglądając na siebie w lustrze.

- No i jak, jesteś cool?

- Nogi tak. Ale cała reszta nie bardzo.

- To następnym razem zatroszczymy się o resztę.

Potem Marcus udał się prosto do domu, buty szkolne niosąc w plecaku, a Will wracał do siebie zachwycony własną wielkodusznością. Więc to mają na myśli ludzie mówiący o życiu na szczytach! Will nigdy jeszcze nie doznał takiego poczucia zgody z samym sobą i przekonania o własnej wartości. I - co niewiarygodne - kosztowało go to raptem sześćdziesiąt funtów! De musiałby wydać na środki sztucznie wprowadzające na taki szczyt? (Pewnie nie więcej niż dwadzieścia pięć funtów, ale szczyty nienaturalne były dużo niższe!) Zapewnił przelotne szczęście nieszczęśliwemu chłopcu, chociaż nie miał w tym żadnego interesu. Nawet przez chwilę nie myślał o tym, aby żyć z jego matką.

Nazajutrz Marcus stanął u drzwi Willa we łzach i w parze mokrych skarpetek, których nie chroniły nowe adidasy. Oczywiście, skradziono mu je.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Gdyby mama spytała Marcusa, skąd ma nowe buty, oczywiście by jej odpowiedział, ona jednak nawet niczego nie zauważyła. Dobra, nie była najbardziej spostrzegawczą osobą na świecie, ale adidas wydawały się tak wielkie, białe i intrygujące, że trwał w przeświadczeniu, iż ma na nogach coś tak zupełnie niezwykłego, jak na przykład para królików.

Zauważyła natomiast ich zniknięcie. Typowe. Nie spostrzegła królików, których nie powinno być na nogach, spostrzegła natomiast skarpetki, których obecność na nogach trudno było uznać za niezwykłą.

- Gdzie twoje buty?! - wrzasnęła, ledwie tylko przekroczył próg. (Will podrzucił go samochodem, ale był listopad, wystarczyło więc przejście po chodniku, by znowu zamoczył skarpetki). Spojrzał na stopy i przez krótką chwilę chciał odegrać zdziwienie: o, zupełnie nie zauważył, ale zaraz uznał, że na pewno mu nie uwierzy. . - Ukradli - wybąkał wreszcie.

- Ukradli? A po co komu twoje buty?

- Bo... - Musiał powiedzieć prawdę, ale chodziło o to, że prawda pociągała za sobą cały sznur pytań. - No bo były ładne.

- Normalne czarne trzewiki.

- Wcale nie. Nowe adidas.

- A skąd ty niby miałeś nowe adidas?

- Will mi kupił.

- Jaki Will? Ten, co zabrał nas na obiad? - Tak. Ten z ROSR. Trochę się zaprzyjaźniliśmy. , - On się z tobą przyjaźni?

Marcus się nie pomylił: miała wiele pytań, tyle że zadawała je w sposób nieco nużący - powtarzała jego kwestię, opatrując ją pytajnikiem i bardziej niż syn unosząc głos. Na przykład:

- Chodzę po szkole do jego domu.

- CHODZISZ PO SZKOLE DO JEGO DOMU? Albo:

- Wiesz, tak naprawdę to on nie ma dzieci.

- TAK NAPRAWDĘ TO ON NIE MA DZIECI?

I tak dalej. Tak czy siak, na koniec przesłuchania miał na głowie wiele problemów, nie więcej jednak od Willa.

Marcus nałożył swe stare buty i razem z matką udali się do Willa. Fiona zaczęła na niego krzyczeć zaraz po tym, jak zaprosił ich do środka. Z początku, gdy zaatakowała go za ROSR i kłamstwo na temat syna, wydawał się trochę speszony; nie odpowiadał na żadne pytanie i zaambarasowany patrzył tylko w podłogę. Powoli jednak i jego zaczął ogarniać gniew.

- A teraz następna kwestia! - Fiona z furią zmieniła temat. - Po co te herbatki popołudniowe z moim synem?

- Że co proszę?

- Po co dorosły mężczyzna miałby się widywać codziennie z dwunastolatkiem?

Will spojrzał na nią zmrużonymi oczyma.

- Czy sugerujesz może to, co mi się wydaje?

- Niczego nie sugeruję.

- A mnie się wydaje inaczej. Sugerujesz, że... że się podwałam do twego syna.

Marcus spojrzał na matkę. Czyżby naprawdę coś takiego przypuszczała?

- Po prostu bardzo mnie to dziwi, czym tutaj u siebie w mieszkaniu zabawiasz dwunastolatka. Nic więcej.

Will stracił cierpliwość. Poczzerwieniał i także on zaczął krzyżeć.

- A jaki mam, kurwa, wybór? Sam nie proszony zwala mi się tutaj, kurwa, codziennie. Czasami ucieka przed bandą dzikusów, którzy się do niego przypieprzają. I co, kurwa, mam go zostawić na zewnątrz? Ale w porządku, mogę się nie przejmować, odpieprzcie się ode mnie obydwójce. A teraz, jeśli skończyłaś, to pa, pa i do widzenia.

- Otóż nie skończyłam. Dlaczego kupiłeś mu nowe buty?

- Bo... Spójrz tylko na niego!

Oboje popatrzyli na Marcusa, który także obejrzał siebie.

- Patrzę, i co? - wojowniczo spytała Fiona.

- Nic nie widzisz? Nic do ciebie nie trafia? Nic?

- A co ma niby trafić?

- W szkole ci jego kochani koledzy zjadają go na surowo! Codziennie obgryzają go po kawałeczku, ale dla ciebie ważniejsze jest to, skąd ma nowe buty i czy go czasem nie molestuję!

Marcus nagle poczuł znużenie. Zanim Will tego nie wykrzychał, nie miał właściwie pojęcia, jak źle się rzeczy przedstawiają. Ale to prawda, właściwie codziennie był obgryzany po kawałeczku. Dotąd udawało mu się przetrwać, gdyż nie szukał tego, co wspólne wszystkim dniom: każdy był okropny, trzeba było go przeżyć i zapomnieć, bo już zaraz nadjeżdżał następny. I oto w jednym błysku zobaczył, jak głupia i bezsensowna jest taka taktyka, zapragnął więc natychmiast zanurkować do łóżka i obudzić się dopiero w weekend.

- Marcusowi w szkole jest dobrze - oznajmiła Fiona. Will w pierwszej chwili nie mógł uwierzyć, a potem zastanowił się, czy owe słowa dźwięczące mu w uszach mogły znaczyć coś innego, niż znaczyły. Może chodziło o jakiegoś innego Marcusa? A może ten stojący

przed nim Marcus chodził jeszcze do jakiejś innej szkoły, gdzie mu było dobrze? Wszystko jednak wskazywało na to, że rzeczy są, jakie są, a tylko Fiona jest ślepa, głucha i głupia.

- Chyba żartujesz - powiedział w końcu.

- To jasne, że musi trochę potrwać, zanim się zaaklimatyzuje w nowej szkole, ale...

Przerwał jej wybuch śmiechu Willa.

- Jasne, jeszcze parę tygodni i wszystko się ułoży, tak? Niech tylko przestaną mu kraść buty i przyczepiać się do niego po szkole, a będzie cacy!

To nie tak. Oni nic nie rozumieli.

- Właśnie że nie - wtrącił Marcus. - Parę tygodni nie wystarczy.

- Pewnie, że nie wystarczy - zgodził się Will. - Żartowałem tylko.

Nie była to rozmowa, w której byłoby miejsce na żarty, ale Marcus widział, że chociaż jedna osoba rozumie go przynajmniej odrobinę. Dlaczego jednak tą osobą był Will, którego znał od niedawna, a nie matka, którą znał całe życie?

- Moim zdaniem melodramatyzujesz - oznajmiła Fiona. - Zdaje się, że nie miałeś dotąd wiele kontaktu z dziećmi.

Marcus nie wiedział, co dokładnie znaczy przedrostek "melo - ", widział natomiast, że Will wściekł się jeszcze bardziej.

- Otóż chciałem cię, kurwa, poinformować, że byłem kiedyś pierdolonym dzieckiem. - Teraz niecenzuralne słowa pojawiały się już w każdym zdaniu. - I chodziłem kiedyś do jebanej szkoły, dlatego też dobrze znam różnicę między tym, kiedy ktoś nie może się na początku przystosować, a tym, kiedy ktoś tak bardzo nie pasuje, że reszta na niego skacze jak kozy na pochyłe drzewo. I dlatego, kurwa, nie wyjeżdżaj mi tu z melodramatami. A szczególnie ty, która...

- Aaaa! - wrzasnął Marcus. - Karuuumbaaa!

Oboje popatrzeli na niego, a on nie uciekł spojrzeniem. Nie mógł wytłumaczyć im swego okrzyku. Poczuł tylko, że musi zrobić coś, cokolwiek, gdyż Will najwyraźniej chciał podnieść temat szpitala, a to nie w porządku. Will nie miał prawa podnosić tej kwestii tylko dlatego, że mama Marcusa pewnych spraw nie rozumiała. Problem szpitala był o wiele poważniej szy od drażetek i butów i nikomu nie wolno było tego mieszać.

- Co z tobą? - spytał Will. Marcus wzruszył ramieniem. - Nie wiem. Po prostu chciało mi się krzyknąć. I tyle.

- Jezu - pokręcił głową Will. - Ale rodzinka.

Marcusowi nie bardzo podobała się cała ta kłótnia, ale kiedy się już skończyła, mógł dostrzec także jej jasne strony. Po pierwsze, mama dowiedziała się, że Will nie ma syna, i to było w porządku. Po drugie, dowiedziała się, że Marcus najczęściej po szkole idzie do Willa, i to też było dobrze, gdyż oszczędzało mu mnóstwa kłamstw, do których byłby inaczej zmuszony wbrew sobie. Po trzecie, dowiedziała się, jak jest w szkole, gdyż Will nareszcie powiedział to wyraźnie. Marcus sam by tego nie zrobił, gdyż nie potrafił, ale nieważne, kto to zrobił, ważne, że dotarło do Fiony.

- Nigdy więcej tam nie pójdziesz - oznajmiła w drodze powrotnej.

Wiedział, że tak powie i że on jej nie posłucha, ale tak czy owak, musiał się spierać.

- Dlaczego?

- Jeśli chcesz komuś o czymś powiedzieć, ja powinnam być pierwszą osobą. Jeśli chcesz coś nowego do ubrania, kupię ci.

- Ale ty nie wiesz, co mi potrzebne. - To mi powiesz.

- Ja także nie wiem. Tylko Will to wie.

- Nie rozśmieszaj mnie.

- Ale to prawda. On wie, jakie rzeczy się nosi.

- Nosisz to, co rano nałożysz.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- Chodzi ci o to, że wie, co jest modne, i że choć może mieć Bóg wie ile lat, to świetnie się orientuje, co się młodzieży podoba, a co nie.

Tak właśnie sądził Marcus. W tym Will był dobry, a on miał szczęście, że trafił na kogoś takiego.

- Nam ktoś taki jest niepotrzebny. Sami sobie dajemy radę. - Marcus patrzył przez szybę autobusu i zastanawiał się, czy to prawda. Uznał, że nie; o żadnym z nich nie można było powiedzieć, że daje sobie radę w swoich sprawach. - Nawet jeśli masz jakieś kłopoty, to z pewnością nie z powodu butów.

- Wiem, że ty tak...

- Marcusie, zaufaj mi, dobrze? Jestem twoją matką od dwunastu lat i całkiem nieźle mi to wychodzi. Wiem, co robię.

Marcusowi jakoś nigdy dotąd nie przyszło do głowy, że jego matka dobrze wie, co robi. Nie miał także do niej pretensji, po prostu to, co z nim (dla niego?) robiła, nie sugerowało jakiegoś głębokiego pomysłu. Szczerze mówiąc, uważał raczej, iż bycie matką to coś zdecydowanie prostego, jak na przykład prowadzenie samochodu: większość ludzi to potrafi, a popsuć coś można tylko wtedy, kiedy zrobisz jakąś oczywistą głupotę, na przykład wjedziesz samochodem na autobus albo nie nauczysz dziecka mówić "proszę" i "przepraszam". (W szkole jednak wielu kolegów kradło, przeklinało i oszukiwało innych, więc jednak sporo rodziców coś tam zawaliło). Wydawało się więc, że nie ma tu nad czym specjalnie główkować, ale to, co mama teraz mówiła, sugerowało coś przeciwnego: opracowany i konsekwentnie realizowany plan.

Jeśli jednak istotnie miała jakiś plan, to i on miał wybór. Mógł jej uwierzyć, że wie, co robi, a zatem zostawić sprawy w szkole po staremu, bo w końcu wszystko wyjdzie na dobre i ona o to zadba. Albo też mógł uznać, że coś jej się pomieszało w głowie, jak po przyjęciu silnego lekarstwa, o którym potem zapomniała. Każde z tych rozwiązań było kiepskie. Nie chciał, żeby wszystko dalej trwało jak przedtem, ale wtedy musiałby sam zostać swoją matką, a jak to zrobić, gdy ma się dwanaście lat? Mógł sam siebie upomnieć, żeby pamiętał o

"proszę" i "przepraszam", to nie było trudne, ale jak się zabrać do całej reszty, szczególnie że właściwie nie wiedział, co to za reszta. A do dziś nawet nie podejrzewał jej istnienia.

Tak czy owak, nieustannie dochodził do tego samego wniosku: było ich tylko dwoje i co najmniej - co najmniej! - jedno z nich miało świra.

W ciągu następnych kilku dni zaczął uważniej obserwować, w jaki sposób matka się do niego zwraca. Zastanawiał się nad każdym poleceniem, co ma oglądać, czego słuchać, co czytać i jeść - stał za tym jakiś plan czy mówiła ot, tak sobie? Ale zapytał dopiero wtedy, gdy kazała iść do sklepu po jajka, jemu zaś przyszło do głowy, że jest wegetarianinem tylko dlatego, że ona tak zdecydowała.

- Od początku tak miałaś postanowione, że będę wegetarianinem?

- Oczywiście - zaśmiała się. - Nie wpadłam na ten pomysł tylko dlatego, że akurat zabrakło nam parówek.

- I uważasz, że to fair?

- Jak to?

- Nie zostawiłaś mi miejsca na własną decyzję?

- Będziesz decydował, jak dorośniesz.

- A dlaczego teraz jestem jeszcze za mały?

- Ponieważ sam nie gotujesz. Ja nie chcę robić żadnych j potraw mięsnych, więc musisz jeść to co ja.

- Ale nie pozwalasz mi także pójść do McDonalda.

- A co to, już zaczyna się młodzieńczy bunt? Przecież nie mogę ci zabronić pójść do McDonalda.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Możesz iść, jeśli chcesz, tyle że będzie mi przykro.

Będzie mi przykro, będzie mi przykro! Tak to załatwiała. Tak załatwiała większość rzeczy!

- Dlaczego? - Myślałam, że jesteś wegetarianinem z przekonania.

- Bo jestem. - To jak mógłbyś iść do McDonalda?

Znowu go złapała. Zawsze mu powtarzała, że może robić, co chce, a potem dyskutowali tak długo, aż wreszcie chciał tego co ona. Zaczynało go to wkurzać.

- To nie fair. Znowu się roześmiała.

- Trudno, Marcusie, takie już jest życie. Musisz dokładnie zdać sobie sprawę z tego, w co wierzysz, a potem twardo się tego trzymać. To trudne, ale wcale nie jest nie fair. To łatwe do zrozumienia.

Coś tu było nie w porządku, ale nie wiedział dokładnie co. Wiedział tylko, że nie wszyscy tak myślą. Kiedy w szkole mówili o papierosach, wszyscy się zgadzali, że nie należy palić, ale potem wiele osób to robiło. Kiedy mówili o przemocy w filmach, cała klasa się zgadzała, że to obrzydliwe, ale potem oglądali. Mówili jedno, robili drugie i tylko u Marcusa w domu było inaczej. Najpierw się ustalało, co jest niedobre, a potem się tego nie robiło ani nie tykało. Było w tym sporo sensu: uważał, że kradzież i zabijanie są złe, sam więc ani nie kradł, ani nie zabijał. Może więc właśnie tak należało postępować? Tego nie był pewien.

Tak czy owak, to właśnie przede wszystkim decydowało o jego odmienności. Właśnie dlatego nosił rzeczy, z których inni się śmiali - kiedyś rozmawiali o modzie i uznali, że jest głupia - a także słuchał kawałków, o których inni nie słyszeli - kiedyś rozmawiali o muzyce pop i zgodzili się, że to tylko sposób wielkich wytwórni płytowych na zbijanie forsy. To właśnie dlatego nie wolno mu było grać w gry komputerowe przepełnione przemocą, jeść hamburgerów ani robić wielu innych rzeczy. On zaś zgodził się z nią we wszystkich tych sprawach, chociaż właściwie nie tyle się zgodził, ile zabrakło mu argumentów.

- Dlaczego zawsze mi mówisz, co mam robić? Dlaczego zawsze musimy najpierw wszystko omówić?

- Bo chcę, żebyś nauczył się myśleć samodzielnie. - To jest twój plan? - Jaki plan? - Parę dni temu powiedziałaś, że wiesz, co robisz.

- Z czym robię?

- Że wiesz, jak być mamą.

- Tak powiedziałam?

- Tak.

- Aha. No tak, zależy mi na tym, byś myślał samodzielnie. Wszystkim rodzicom zależy.

- Ale zawsze jest tak, że jak się nie zgadzamy, to ja przegrywam i muszę robić to, co ty chcesz. Moglibyśmy sobie odpuścić te dyskusje. Po prostu będziesz mi tylko mówiła, czego mi nie wolno.

- Więc po co ta cała rozmowa?

- Staram się myśleć samodzielnie.

- I bardzo dobrze.

- No to bardzo samodzielnie chcę chodzić do Willa po szkole.

- Ale przecież cię przekonałam, że nie powinieneś.

- Muszę się widywać z kimś jeszcze oprócz ciebie.

- A Suzie?

- Ona jest podobna do ciebie, a Will nie.

- No, ja myślę. Ktoś, kto kłamie, nic nie robi...

- Kupił mi buty.

- W porządku. Bogaty kłamczuch, który nic nie robi...

- Ale on wie, jak jest w szkole. Zna się na tym.

- Nie zna się ani na tym, ani na niczym innym.

- No i widzisz? - Czuł się naprawdę podle. - Myślę za siebie i... i nic z tego. I tak staje na twoim.

- Bo nie wystarczy, że tylko powiesz, że myślisz samodzielnie. Musisz tego jeszcze dowieść

- I jak mam to zrobić?

- Musisz podać dobry powód.

Mógł podać jej powód. Nie był prawdziwy i Marcus będzie czuł się źle, mówiąc to, gdyż mama na pewno się rozpłacze. Ale powód był dobry i zamknie jej usta; był pewien, że w ten sposób przynajmniej raz wygra w dyskusji.

- Bo mnie potrzebny jest ojciec.

To istotnie zamknęło jej usta i spowodowało płacz. Powód okazał się przynajmniej w tej mierze skuteczny.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Dziewiętnastego listopada. Pieprzony dziewiętnasty pieprzonego listopada. Nowy rekord, zauważył Will ponuro. W zeszłym roku to był dwudziesty szósty listopada. Już od dobrych paru lat nie udawało mu się doczekać do grudnia - kiedy dociągnie do pięćdziesiątki czy sześćdziesiątki, pierwsze wykonanie szlagieru Mikołaja supersanki usłyszy już w lipcu lub sierpniu. Tym razem było to u stóp schodów na stacji Angel - młoda, urodziwa skrzypaczka, która najpewniej dorabiała tak do stypendium w szkole muzycznej. Will w spojrzeniu starał się przekazać jej całą swą nienawiść, informację, że nie tylko nie rzuci datku, ale najchętniej rozgniółby na miazgę jej instrument.

Will z oczywistych przyczyn nienawidził Bożego Narodzenia. Ludzie pukali do jego drzwi i wyśpiewywali najbardziej znieawidzoną ze wszystkich melodii i jeszcze oczekiwali, że dostaną za to jakieś pieniądze. Jeszcze gorzej było w dzieciństwie, gdyż także jego ojciec nienawidził tej piosenki, i to także z oczywistych przyczyn (choć z ich natury Will zdał sobie sprawę dopiero dużo później, wtedy bowiem myślał, że ojciec po prostu jak każdy inny dostaje mdłości na dźwięk znajomej melodii): przypominała mu o klęsce, jaką poniósł w życiu. Nader często zjawiali się dziennikarze chcący przeprowadzić wywiad. Kiedy ojciec opowiedział już o Mikołaju supersankach, pytali, czy napisał coś jeszcze, on zaś wtedy pokazywał płyty z innymi piosenkami, a czasami nawet sam je grał. Tamci robili zakłopotane miny, cmokali ze współczuciem, mówili, że trudna jest sytuacja człowieka, który znany jest tylko z jednego osiągnięcia, i to nader dawnego, a potem indagowali jeszcze, czy sławny przebój zrujnował mu życie i czy żałuje teraz, że go napisał. Ojciec wpadał w gniew, kazał nie mówić bzdur, a kiedy dziennikarze znikali, z goryczą żalił się, że piosenka zrujnowała mu życie i wołałby jej nigdy nie napisać. Wywiad z Charlesem Freemanem zainspirował nawet jednego z dziennikarzy do serii artykułów "Jeden strzał w dziesiątkę", poświęconych ludziom, którzy napisali jedną sławną książkę, zagraли jedną wielką rolę czy skomponowali jeden szlagier. Kiedy miał czelność poprosić ojca o jeszcze jeden wywiad, ten, jak nietrudno zgadnąć, z furią odmówił.

Boże Narodzenie było przeto czasem gniewu i goryczy, żalu i wyzwisk, pijackich brewerii i żałośnie nieadekwatnych przedsięwzięć (w którąś Wigilię ojciec od ręki napisał

kompletnie bzdurny musical, aby wykazać, że talent wcale go nie odstąpił). Był to także czas prezentów wpadających przez komin, ale Will z chęcią oddałby wszystkie spirography i batmobile za odrobinę spokoju i pogody.

Potem jednak umarł ojciec, po nim matka, on zaś stracił kontakt z przyrodnim rodzeństwem, które zresztą było stare i nudne, a święta spędzał z przyjaciółmi albo z rodzinami swych chwilowych sympatii, i pozostały tylko Mikołaja supersanki oraz czeki, które na nich sunęły po śniegu. Tak czy owak, wszystko to wylażyło mu uszami. Zastanawiał się niekiedy, czy była jeszcze jakaś inna głupia piosenka, która zawierałaby w sobie tyle żalu, bólu i cierpienia. Raczej nie. Eks - żona Boba Dylana pewnie nie słuchała Blood On The Tracks zbyt często, ale Blood On The Tracks to co innego - były w niej skarga i zniszczenie. Mikołaja supersanki tworzyły zupełnie inne nastroje, a przecież Will czuł gwałtowną potrzebę solidnego drinka, specjalistycznej porady lub chociażby solidnego płaczu, gdy słyszał ją z głośników w urzędzie czy sklepie w tygodniach poprzedzających dwudziesty czwarty grudnia. Może nie on jeden był w takiej sytuacji. Może należałoby stworzyć grupę Ofiar Przeboju; bogaci i zgorzkniali beneficjenci obojga płci zbieraliby się w drogich restauracjach i rozmawiali o uciążliwej codzienności.

Tym razem nie miał na święta żadnych szczególnych planów. Nie miał sympatii, nie było więc i jej rodziców, miał wprawdzie przyjaciół, do których mógłby się wprosić, ale nie czuł na to najmniejszej ochoty. Zostanie w domu, obejrzy milion filmów, upijając się i upalając. Czemu nie? Miał pełne prawo, żeby się uwalić, nawet jeśli nic to nie zmieni.

Kiedy usłyszał skrzypaczkę w metrze, najpierw stanął mu w pamięci ojciec, niejako w roli gwiazdkowego widma, ale zaraz potem, nie wiedząc czemu, Marcus. Niewiele o nim myślał od czasu incydentu z adidasami, nie widział się z nim też po agresywnej wizycie Fiony. Może przyczyną było to, że Marcus był właściwie jedynym dzieckiem, które znał nieco bliżej, tyle że dawno już wyrósł z sentymentalnego pewnika, że Boże Narodzenie, a zwłaszcza Wigilia, to czas dzieci. Raczej więc chodziło o pewną analogię między jego dzieciństwem a dzieciństwem Marcusa. Nie chodziło, rzecz jasna, o to, że był odszczepieńcem w niemodnych butach. Wprost przeciwnie, miał odpowiednie buty, odpowiednie skarpetki, odpowiednie spodnie i odpowiednie koszule, chodził też do odpowiednich fryzjerów, żeby mu odpowiednio ułożyli włosy. Na tym właśnie dla Willa polegała moda - jeśli się jej trzymałeś, byłeś cool, byłeś spoko i nie miałeś nic wspólnego z frajerami, do których Will nigdy nie chciał należeć i z których zresztą sam się naśmiewał.

Było jednak coś, i to wcale niebagatelne, co upodobniało sytuację w domu Willa i w domu Fiony: ten sam nastrój beznadziejności, porażki, zatechłości. To prawda, że Will w przeciwieństwie do Marcusa nigdy nie znał problemu z pieniędzmi, ale okazuje się, że także gdy nie brakuje forsy, można czuć się bezużytecznym. Co to za różnica, że Charles Freeman usiłował się zabić drogą whisky, a Fiona aptecznymi środkami uspokajającymi? Z całą pewnością mieliby o czym rozmawiać na imprezie, gdyby już doszło do rozmowy.

Willowi szczególnie podobały się te analogie, wynikało z nich bowiem, że jeśli ma choć odrobinę sumienia, powinien wziąć Marcusa pod swe skrzydła, skorzystać z własnych doświadczeń z pokręconym rodzicem i pomóc mu jakoś bezpiecznie przebrnąć przez trudny czas dzieciństwa. Tymczasem zupełnie mu się nie chciało: tyle wysiłku, tyle kontaktów z ludźmi, których ani nie rozumiał, ani nie lubił, a na dodatek zdecydowanie wolał oglądać Countdown w samotności.

Zapomniał jednak, że nie do końca kontrolował swoje relacje z Marcusem i Fioną. Cholernego dwudziestego listopada, który nastąpił po cholernym dziewiętnastym, zadzwoniła Fiona i zaczęła od absolutnie bzdurnego stwierdzenia.

- Marcusowi wcale nie jest potrzebny ojciec, a już na pewno nie taki ojciec jak ty.

Will kompletnie nie mógł pojąć, o co chodzi, dlatego też spróbował całkowicie powściągliwego i neutralnego:

- Cześć, a co u ciebie?

- Słucham? Marcusowi chyba się wydaje, że potrzeba mu męskiego towarzystwa, kogoś w rodzaju ojca. W tym kontekście padło twoje imię.

- Posłuchaj, Fiona, powiedzmy sobie coś wyraźnie. To nie jest mój pomysł. Mnie nie potrzeba chłopięcego towarzystwa, kogoś w rodzaju syna. Ponieważ teraz lepiej rozumiem twoje pierwsze zdanie, więc mogę powiedzieć: tak, w tym punkcie się zgadzamy.

- I nie będziesz się z nim więcej widywał, nawet gdyby tego chciał?

- A dlaczego do roli ojca nie wykorzystasz po prostu ojca? Może jestem odrobinę tępy, ale wydaje mi się, że to najprostsze rozwiązanie.

- Ojciec mieszka w Cambridge.

- Cambridge w Australii? Cambridge w Kalifornii? Czy może nasze pocziwe Cambridge przy Mil?

- Trudno, żeby dwunastolatek sam jechał autostradą Mil.

- Zaraz, chwilę. Dzwonisz do mnie, żebym trzymał się z dala od Marcusa. W porządku, informuję cię, że to bardzo odpowiada moim chęciom. Ale wtedy... O co ci właściwie chodzi, bo zaczynam się gubić.

- Zdaje się, że jak najchętniej byś się go pozbył.

- A więc chodzi nie o to, żebym się trzymał od niego z daleka, ale o to, abym wziął go pod kuratelę, tak?

- Czy potrafisz chociażby przez chwilę rozmawiać bez złośliwości?

- To może zechciej mi wyjaśnić, o co ci chodzi, ale bez zmieniania stanowiska w połowie wypowiedzi.

- Widzisz, Will - powiedziała z westchnieniem Fiona rzeczy są bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje.

- I dzwonisz po to, żeby mi to oświadczyć? To może zaczęliśmy od złego końca, bo w pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że chciałaś mnie poinformować, jaki to ze mnie beznadziejny koleś.

- Niełatwo się z tobą porozumieć.

- To się nie porozumiewaj! - Niemal krzyczał do słuchawki. Rozmowa nie trwała jeszcze nawet trzech minut, a on miał już wrażenie, że prowadzą ją od początku świata, że poza kilkoma godzinami, które zużyje najedzenie, odwiedzenie toalety i spanie, resztę czasu zajmie mu wysłuchiwanie Fiony, to stwierdzającej coś, to mówiącej coś przeciwnego. - Odłóż słuchawkę i daj mi święty spokój! Mam już tego dość!

- Chyba musimy o tym porozmawiać na spokojnie.

- O czym chcesz rozmawiać "na spokojnie"? - O całej sprawie. - Nie ma ani całej sprawy, ani połowy!

- Możemy się umówić jutro wieczorem na drinka? Chyba lepiej porozmawiać w cztery oczy, bo inaczej do niczego nie dojdziemy.

Nie było sensu się z nią spierać, podobnie jak nie było sensu nie spierać się z nią. Umówili się, a o poziomie frustracji i stropienia Willa najlepiej mogło świadczyć to, że za spore zwycięstwo uznał jednoznaczne ustalenie miejsca i pory spotkania.

Will jeszcze ani razu nie spotkał się z Fiona sam na sam; zawsze towarzyszył im Marcus, dyktujący, o czym mają mówić, a o czym nie. Tak samo było także owego dnia, gdy skradziono adidasy, chociaż w sensie ścisłym nic właściwie nie powiedział. Umówili się w spokojnym pubie przy Liverpool Road, gdzie, jak wiedział, znajdą miejsce, a w rozmowie nie będzie przeszkadzać szafa grająca, kapela rockowa czy monologista. Zamówił drinki, a mimochodem raz jeszcze stwierdziwszy, że Fiona kompletnie mu się nie podoba, zarazem uświadomił sobie, że chociaż chadza do pubów od ponad dwudziestu lat, to jeszcze ani razu nie zdarzyło mu się znaleźć w takim miejscu z kobietą, która całkowicie nie interesowałaby go seksualnie. Raz jeszcze się zastanowił: czy aby na pewno? No dobrze, spotykał się z Jessicą, swoją eks, która po ich rozstaniu wielokrotnie dawała do zrozumienia, że trochę za nim tęskni. A spotkanie nie było tak całkiem wyzbyte elementów erotycznych, gdyby bowiem dała mu do zrozumienia, że zastanawia się nad jakimś niezobowiązującym związkiem pozamałżeńskim, z całą pewnością podsunąłby do rozważenia swoją kandydaturę.

Tak więc z całą pewnością to był jego pierwszy raz i dlatego nie wiedział, jakie reguły w takiej sytuacji obowiązują. Jasne było przynajmniej tyle, że nie należy brać jej za rękę, spoglądać głęboko w oczy ani też delikatnie wprowadzać do rozmowy tematu seksu, aby pogłębić erotyczny nastrój. Ponieważ nie miał zamiaru spać z Fioną, nie było też potrzeby udawać, że fascynuje go każde jej słowo. O dziwo, słuchał jej jednak z zainteresowaniem. Nie z zainteresowaniem typu: "Ach, nigdy o tym nie słyszałem", Will bowiem był pewien, że chociaż Fiona musiała się znać na różnych rzeczach dla niego tajemniczych, to w większości są one nudne. Natomiast wciągnęła go sama rozmowa jako taka. Słuchał, co mówi, zastanawiał się, odpowiadał. Absolutnie nie mógł sobie, przypomnieć, by kiedykolwiek było podobnie, dlaczego więc tym razem? Czy to kolejny przypadek prawa Murphy'ego - im mniej

ci się ktoś podoba, tym bardziej będzie intrygujący - czy też j rozgrywało się coś, nad czym powinien się zastanowić?

Dzisiaj miała inne nastawienie. Nie zamierzała mu wykazy - i wać, jak bezużyteczne życie prowadzi, ani oskarżać o seksualne i molestowanie jej syna; raczej sprawiała wrażenie osoby, która j zaakceptowała już ich znajomość, co Willowi nie bardzo się podobało z uwagi na kłopotliwe implikacje.

- Przepraszam za wczoraj - powiedziała na wstępie.

- OK, nie ma sprawy.

Will zapalił papierosa, Fiona skrzywiła się i odgoniła dym. Will nie znosił, kiedy ktoś robił tak w miejscach, gdzie wolno było palić. Ani myślał przeproszać za palenie w pubie; wprost przeciwnie - był zdecydowany samodzielnie wyprodukować taką chmurę dymu, że z trudnością będą się w niej dostrzegać.

- Zadzwoiłam podenerwowana. Kiedy Marcus powiedział, że potrzebuje jakiegoś mężczyzny koło siebie, poczułam się, jakby mnie spoliczkował.

- Wyobrażam sobie.

Szczerze mówiąc, nie tylko sobie niczego nie wyobrażał, ale w ogóle nie rozumiał, dlaczego miałby przykładać jakąkolwiek wagę do słów Marcusa.

- Wiesz, jak rozstajesz się z ojcem swego dziecka, to od samego początku myślisz, że chłopakowi będzie brakować męskiego towarzystwa. Ale potem zwycięża zdrowy rozsądek feministki. Od czasu, gdy był już odpowiednio duży, wielokrotnie o tym rozmawialiśmy, a on mnie zapewniał, że to nie problem. I nagle wczoraj... zupełnie znienacka. Dobrze wiedział, jak bardzo się tym martwię.

Will nie chciał mieć nic wspólnego z całą tą sprawą. Co go to obchodziło, czy Marcusowi potrzebna obecność jakiegoś mężczyzny, czy nie? Nie jego sprawa, chociaż - jak się wydawało - jakoś został w nią wplątany. Nie prosił o to, a poza tym był dziwnie spokojny, że nawet jeśli Marcusowi potrzebny jest mężczyzna, to nie taki jak Will. Słuchając Fiony, stwierdzał jednak, że znacznie lepiej niż ona rozumie Marcusa, być może - przyznawał z

ociąganiem - właśnie dlatego, że on był mężczyzną, ona zaś nie, a co więcej, Marcus na swój młodzieńczy i ekscentryczny sposób odstawał od innych, co nie było też obce Willowi.

- No to masz przynajmniej powód - skostatował rzeczowo.

- Jaki powód?

- Dlaczego tak powiedział. Wiedział, że to podziła.

- Na co?

- A skąd mam wiedzieć, o co mu chodziło w tym momencie? Pewnie czekał z tym do chwili, gdy musiał już skorzystać z opcji nuklearnej. O czym rozmawialiście?

- Tłumaczyłam, dlaczego nie powinien się spotykać z tobą.

- O!

Bardzo niedobra wiadomość. Skoro to w związku z nim Marcus zdecydował się na opcję nuklearną, problem sięgał głębiej, niż Will przypuszczał.

- Naprawdę uważasz, że uderzył w moje najczulsze miejsce, aby wygrać spór?

- Tak. Tak myślę.

- Nie, to nie Marcus. Will prychnął.

- Jak tam uważasz.

- Więc ty naprawdę...? - Nie jest głupi.

- Ja martwię się nie o jego inteligencję, lecz... o uczciwość uczuciową.

Will znowu prychnął. Postanowił wprawdzie, że nie będzie w trakcie rozmowy zdradzał się ze swymi uczuciami, one tymczasem wykorzystwały do ekspresji jego nos. Na jakim świecie ta kobieta żyła? Była tak oderwana od rzeczywistości, że jej tendencje samobójcze wydawały się kompletnie niemożliwe; kiedy ktoś szybuje tak wysoko, że śpiewa z zamkniętymi oczyma, czy cokoik wiek jest w stanie go ugodzić? Tymczasem okazywało się, że tak. Siedzieli naprzeciw siebie, gdyż umiejętności dwunastolatka wystarczyły, by

doprowadzić do bolesnej kolizji z ziemią, a skoro potrafił tego dokonać Marcus, potrafił też każdy amant, zwierzchnik czy kontrahent, każdy dorosły, którego nie powstrzymywałyby miłość. Wobec tego była całkowicie bezbronna. I czemuż ci J ludzie tak zaciekle utrudniali sobie życie, które przecież skądinąd było takie łatwiutkie i proste: kochać innych i dać się kochać należało tylko wtedy, gdy miałaś szansę po swojej stronie, ale to nie zdarzało się niemal nigdy. Na świecie żyje jakieś siedemdziesiąt dziewięć trylionów ludzi, i jeśli będziesz mieć szczęście, może cię pokochać piętnaście, góra dwadzieścia osób, ile więc trzeba pomyślunku, żeby dojść do wniosku, że nie warto ryzykować? Zgoda, Fiona popełniła błąd, gdyż miała dziecko, ale to jeszcze nie koniec świata. Na jej miejscu Will nie dałby się tak wodzić za nos.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że Fiona się w niego wpatruje.

- Dlaczego tak reagujesz na każde moje zdanie?

- Jak?

- Wydajesz takie dźwięki... Prychasz.

- Przepraszam. To dlatego, że... Rozumiesz, ja nic nie wiem na temat tych... etapów rozwoju, co dzieci powinny robić i kiedy, wszystkie te sprawy. No może wiem tyle, że nie powinnaś ufać niczemu, co jakikolwiek samiec w jego wieku mówi na temat swoich uczuć. Wpatrzyła się w stojącego przed nią guinnessa.

- A kiedy to się skończy, twoim zdaniem? Była w tych słowach ukryta pewna zjadliwość, którą zignorował.

- Gdy będzie miał jakieś siedemnaście, osiemnaście lat, a wtedy trzeba liczyć się z tym, że będzie ujawniał prawdę w najbardziej nieoczekiwanych momentach, aby ludzi w ten sposób zaszokować.

- No to mnie już wtedy nie będzie na świecie.

- Jasne.

Poszła do baru po następną kolejkę, przyniosła i ciężko opadła na siedzenie.

- Ale dlaczego ty?

- Powiedziałem ci już, że wcale mu nie zależy na męskim towarzystwie, a powiedział tak tylko dlatego, aby cię znokautować.

- Dobrze, dobrze, to zrozumiałam. Ale chciał mnie znokautować, żeby przychodzić do ciebie. Dlaczego?

- Tego już nie wiem.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- To może jednak lepiej, żeby się z tobą nie widywał. Will milczał, bo czegoś się jednak nauczył po wczorajszej rozmowie.

- O czym myślisz?

- O niczym.

- Jak to?

- Nie mam się nad czym zastanawiać, bo to ty jesteś jego matką. Ty decydujesz.

- Ale ty także zostałeś w to wplątany. Ciągłe przychodzi do ciebie do domu. Poszedłeś z nim kupić buty. Jest taki fragment jego życia, nad którym zupełnie nie mam kontroli, zatem ty musisz się nim zająć.

- Nie zamierzam niczego kontrolować.

- Więc lepiej niech się z tobą nie spotyka.

- Już raz dotarliśmy do tego miejsca. Co mam zrobić, kiedy znowu zadzwoni do drzwi?

- Nie wpuszczaj go.

- W porządku.

- Jeśli nie chcesz się nawet zastanowić nad tym, jak pomóc, to trzymaj się z daleka.

- W porządku.

- Wiesz co, kawał z ciebie egoistycznego sukinsyna!

- Nigdzie się nie pcham, taki już jestem. Nie zgłaszam się tylko dlatego, że nie ma innych ochotników.

- No, ale jest jeszcze on. Nie możesz tak całkowicie się odgrodzić.

Myliła się, mógł. Wystarczy nie otwierać drzwi i mogą ci naskoczyć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Marcusowi wcale się to nie podobało, że mama umówiła się na rozmowę z Willem. Jeszcze nie tak dawno temu bardzo by go podnieciła ta perspektywa, teraz jednak nie miał już nadziei, że on, mama, Will, Ned i może jeszcze jakieś dziecko zamieszkają u Willa. Na początek jednak nie było żadnego Neda, na drugi początek, jeśli można tak powiedzieć, Fiona i Will nie przepadali za sobą, a poza tym mieszkanie Willa nie wystarczyłoby dla nich wszystkich, nawet gdyby miało ich być mniej, niż początkowo przypuszczał.

Teraz jednak żadne z nich nie wiedziało wszystkiego, a wiele było rzeczy, przy omawianiu których wolałby nie uczestniczyć. Nie chciał, by Will rozmawiał z mamą o szpitalu, bo to znowu mogłoby ją wprawić w dziwny nastrój; nie chciał, żeby Will powiedział mamie o tym, jak Marcus próbował szantażem zmusić go do umówienia się z nią; nie chciał też, by ona mówiła, jakie programy wolno mu oglądać, bo wtedy Will zacznie wyłączać telewizor po jego przyjściu... Na dobrą sprawę z każdym tematem wiązało się potencjalne niebezpieczeństwo.

Ponieważ po podwieczorku miało jej nie być tylko przez kilka godzin, więc w ogóle nie starała się o opiekunkę. Zamknął drzwi na łańcuch, odrobił lekcje, oglądał trochę TV, a potem grał na komputerze i czekał. Pięć po dziewiątej zadzwoniła do drzwi w umówiony sposób, a on uważnie przyjrzał się jej twarzy, aby ocenić, jak jest zagniewana czy przygnębiona. Ale wyglądała całkiem nieźle.

- No i jak było?

- OK.

- To znaczy jak?

- Nie jest szczególnie sympatyczny, prawda?

- Dla mnie jest. Kupił mi buty.

- Tak czy siak, więcej tam nie pójdziesz.

- A co, będziesz czekała na mnie pod szkołą i zaciągniesz mnie do domu?

- Nie otworzy ci drzwi, więc nie masz co marnować czasu.

- A skąd wiesz, że nie otworzy?

- Sam mi tak powiedział.

Marcus śmiało mógł to sobie wyobrazić, ale zupełnie się nie przejął. Dobrze wiedział, jaki hałas robi dzwonek u Willa w mieszkaniu, a on będzie miał sporo czasu, żeby stać i dzwonić. I dzwonić.

Marcus musiał iść do dyrektorki w sprawie adidasów. Matka złożyła skargę, chociaż Marcus wręcz błagał ją, żeby tego nie robiła. Tak długo się o to spierali, że zabrało to dobrych kilka dni. Teraz miał dwie możliwości: mógł skłamać i powiedzieć, że nie wie, kto ukradł, i w ten sposób wyjdzie na głupka, albo mógł wyjawić sprawców, a wtedy w drodze do domu straci nie tylko buty, ale także kurtkę, koszulę, spodnie, slipy, a być może nawet oko i kawałek ucha. Przewracał się nocą w łóżku i nie mógł zasnąć, myśląc, co zrobić.

Tak jak kazał mu wychowawca, poszedł na początku przerwy obiadowej, ale źle trafił, gdyż pani Morrison akurat krzyczała na kogoś, co dobrze było słyhać przez drzwi. Z początku siedział sam, ale potem pojawiła się Ellie McCrae, naburmuszona, niechlujna dziewczyna z dziesiątej, która sama sobie strzygła włosy i malowała usta na czarno, a teraz usiadła na drugim końcu rzędu krzeseł pod gabinetem. Ellie była słynna, gdyż zawsze miała kłopoty, najczęściej z jakichś brzydkich powodów.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a potem Marcus pomyślał, że powinien się odezwać. Mama nieustannie powtarzała, że powinien rozmawiać z kolegami w szkole.

- Cześć, Ellie - powiedział.

Spojrzała na niego, parsknęła pod nosem, z goryczą pokręciła głową i odwróciła wzrok. Marcus nie poczuł się wcale urażony, a nawet o mało nie wybuchnął śmiechem. Jaka szkoda, że nie ma kamery wideo, z rozkoszą bowiem pokazałby mamie, co się dzieje, kiedy usiłuje zagadać do kogoś w szkole, szczególnie gdy jest to ktoś starszy, i to jeszcze dziewczyna...

- Jak to jest, że każdy sraczek - chłopaczek wie, jak mam na imię?

Marcus nie sądził, by zwracała się tak do niego, a to, co zobaczył kątem oka, upewniło go w tym przekonaniu, Ellie patrzyła bowiem gdzieś w bok. Dlatego postanowił zignorować te słowa.

- Eej, mówię do ciebie! Nie bądź, kurwa, takim chamem!

- Przepraszam, myślałem, że to nie do mnie mówisz. - Ja tu nie widzę żadnego innego sraczka - chłopaczka, a ty?

- Nie - przyznał Marcus.

- No to skąd wiesz, jak mam na imię? Bo ja, kurwa, nie mam pojęcia, coś ty za jeden.

- Wszyscy cię znają. - Wiedział, że popełnił błąd, gdy tylko to powiedział.

- Aż czego? - Nie wiem.

- A właśnie że wiesz. Znają, mnie, bo zawsze mam jakieś problemy.

- Tak.

- Ja pierdolę!

Teraz milczenie było dłuższe. Marcus ani myślał go przerywać, bo skoro niewinne "Cześć, Ellie" spowodowało taką reakcję, to lepiej było nie pytać: "Jak tam weekend?"

- Ciągle mam kłopoty - odezwała się w końcu - chociaż nic nie robię.

- Nic.

- A ty skąd wiesz?

- Bo tak powiedziałaś.

W poczuciu Marcusa była to dobra odpowiedź. Skoro Ellie mówi, że nic nie robi, to nie robi.

- Jak będziesz za dowcipny, to dostaniesz w ryja.

Marcus wolałby, żeby pani Morrison się pospieszyła. Chociaż cały skłaniał się ku przekonaniu, że Ellie nic nie robi, a w szczególności nic złego, rozumiał tych, którzy żywili inne podejrzenia.

- A wiesz, za co teraz mnie wzywa?

- Za nic - stanowczo odparł Marcus.

- Jasne, a wiesz, co jej się przypieprzyło do łba?

- Nic.

Marcus postanowił twardo się trzymać ścieżki negacji.

- Coś jej się musiało przypieprzyć, bo inaczej bym tu nie siedziała, nie?

- No.

- No więc, kumasz, poszło jej o bluzę. Nie chcą, żebym ją nosiła, a ja jej, kurwa, nie zdejmę. No i będzie niezła jazda.

Spojrzał na bluzę. Mieli nosić bluzy z emblematem szkoły, tymczasem na bluzie Ellie widniał facet ze sterczącymi włosami i małą bródką. Z wielkimi oczyma wyglądał trochę jak Jezus, tylko nieco uwspółcześniony i z rozjaśnionymi włosami.

- Kto to? - spytał uprzejmie.

- Musisz, kurwa, wiedzieć.

- Aaa... No tak.

- No to kto?

- Hmm... Zapomniałem.

- Bo, kurwa, wcale nie wiesz.

- Nie.

- Ale plama. To tak, jakbyś nie wiedział, kto jest premierem albo coś takiego.

- Aha. - I Marcus króciutko zachichotał, aby w ten sposób podkreślić, że zdaje sobie sprawę z tego, jakim jest durniem. Więc kto to?

- KirkO'Bane.

- Aha.

W życiu nie słyszał o Kirku O'Banie, ale nie słyszał też o wielu innych osobach.

- A co on robi?

- Gra w Manchester United.

Marcus raz jeszcze przyjrzał się facetowi na bluzie Ellie, chociaż znaczyło to także wpatrywanie się w jej piersi. Miał nadzieję, że zrozumie, iż nie chodzi mu o jej piersi, lecz o Kirka.

- Naprawdę?

O'Bane wyglądał bardziej na wokalistę niż piłkarza. Piłkarze raczej nie byli smutni, a ten był. Marcus nie przypuszczał, że Ellie może się interesować futbolem.

- A jak! W sobotę zaliczył pięć goli.

- Wow! - powiedział Marcus.

Otworzyły się drzwi gabinetu i stanęli w niej dwaj bladzi chłopacy z siódmej.

- Marcus, proszę - wezwała pani Morrison.

- Cześć, Ellie - rzucił Marcus, a dziewczyna znowu powtórzyła spektakl kręcenia głową, najwyraźniej jeszcze bardziej rozgoryczona zasięgiem swej sławy. Marcus nie palił się do tej rozmowy, ale jeśli alternatywą miało być wysiadanie w korytarzu z Ellie, wolałby już codzienne konwersacje z dyrektorką.

Pani Morrison wyprowadziła go z równowagi. Poniewczasie uznał, że to bardzo źle, gdy przestaje się nad sobą panować podczas rozmowy z dyrektorką nowej szkoły, ale cóż, stało się. Była taka namolna, że musiał się tak zachować. Zaczęło się całkiem spokojnie: nie, nie miał wcześniej żadnych kłopotów z tymi, co go okradli, nie, nie wie, kto to, nie, nie czuje się najlepiej w szkole (raptem jedno kłamstwo na trzy odpowiedzi). Potem jednak zaczęła omawiać, jak to nazwała, "strategię przetrwania" i tego nie zdołał znieść.

- Sam już się z pewnością nad tym zastanawiałeś, ale czy nie powinieneś schodzić im z drogi?

Czy naprawdę wszyscy uważali go za takiego durnia? Czy naprawdę sądzili, że budzi się z myślą: "Muszę koniecznie znaleźć tych koleśków, co mnie wyzywają, robią mi świństwa i kradną buty, żeby mi dopieprzyli jeszcze bardziej"?

- Próbowałem.

W tej chwili nie mógł powiedzieć nic innego, bo i tak cały się w środku gotował.

- Ale czy na pewno się starałeś?

Tego było już za wiele. Mówiła tak nie po to, żeby mu pomóc, ale dlatego, że go nie lubiła. W tej szkole nikt go nie lubił, a on nie wiedział dlaczego. Wstał, żeby wyjść.

- Siadaj, Marcusie, jeszcze nie skończyłam z tobą rozmawiać.

- Za to ja skończyłem rozmawiać z panią.

Powiedział to zupełnie bezwiednie i bardzo się temu potem dziwił. Nigdy dotąd nie stawiał się nauczycielom, bo nie było zresztą takiej potrzeby. Zaczął jednak od niedobrego końca. Jak już trzeba mieć jakieś tyły, to chyba lepiej dorabiać się ich powoli i systematycznie, a on zaczął od razu z grubej rury, co chyba było pewnym błędem.

- SIADAJ!

Nie posłuchał, lecz otworzył drzwi i poszedł przed siebie.

Ledwie opuścił gabinet pani Morrison, poczuł się inaczej, lepiej, jak gdyby przestał się trzymać i zaczął frunąć bez oporu. Był to ekscytujący stan, znacznie lepszy niż przedtem,

kiedy musiał się trzymać. Przedtem tak by tego nie określił, ale teraz widział, że tak właśnie było. Udawał, że wszystko jest normalnie - trudno, ale normalnie - ale teraz widział jasno, że wcale nie. To nie jest normalne, że kradną ci buty. To nie jest normalne, kiedy nauczycielka angielskiego mówi o tobie, że jesteś świrem. To nie jest normalne, kiedy obrzucają cię twardymi drażetkami. A tak właśnie działo się w szkole.

I oto był na wagarach. Szedł sobie Holloway Road, podczas gdy w szkole... Teraz akurat jedli obiad, ale nie zamierzał wracać. Jeszcze trochę, a będzie dalej szedł Holloway Road (to znaczy nie dokładnie Holloway Road, gdyż ulica niemal już się kończyła, a przerwa miała jeszcze potrwać jakieś trzydzieści minut), a oni będą siedzieli na historii i to będą już prawdziwe wagary. Był ciekaw, czy zawsze tak zaczyna się kariera wagarowicza, czy zawsze musi być jakaś pani Morrison, której w pewnej chwili nie możesz już wytrzymać i się zrywasz. Sądził, że raczej tak. Dotychczas sądził, że wagarowicze są zupełnie inni od niego, że z natury, by tak rzec, są wagarowiczami, ale najwidoczniej się mylił. Zanim w maju przenieśli się do Londynu, nigdy ani przez chwilę nie pomyślał o wagarowaniu. Chodził do szkoły, uważał na lekcjach, odrabiał prace domowe, nie zamierzał się wyłamywać. Wystarczyło sześć miesięcy, a krok po kroku wszystko się zmieniło.

Pewnie tak samo było z uciezkami z domu. Któregoś dnia ludzie się zrywali, myśleli: a, co tam, dzisiaj prześpię się pod tym sklepem, a kiedy to się już raz stało, coś się w tobie przełamywało i spałeś w różnych miejscach, ale nie jak ci, którzy nie mieli gdzie iść. A przecież tak samo musiało być z przestępcami! I narkomanami! I... Ale dał sobie spokój z takimi myślami. Jeszcze trochę, a uzna, że opuszczenie gabinetu pani Morrison rozpoczęło zupełnie nowy etap w jego życiu, a wcale nie był pewien, czy jest na to przygotowany. Szczerze mówiąc, wcale nie chciał zostać wagarowiczem, włóczęgą, mordercą czy narkomanem. On tylko miał po dziurki w nosie pani Morrison. A to jednak pewna różnica.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Will lubił jeździć po Londynie. Cieszył go ruch, gdyż dzięki niemu mógł sobie wyobrazić, że gdzieś się spieszy, a także mieć jakże rzadkie powody do gniewu i frustracji (inni ludzie szukali sposobu, aby rozładować wewnętrzne napięcie, Will przeciwnie, usiłował jakoś się podkręcić); miał satysfakcję z tego, że zna drogę, miłe było poczucie wessania w rytm miejskiego życia. Nie trzeba nigdzie pracować ani mieć rodziny, żeby jeździć po Londynie; do tego potrzebny jest tylko samochód, a Will dysponował samochodem. Czasami jechał przed siebie bez celu, czasami jechał, żeby posłuchać muzyki nastawionej tak głośno, że w domu nieuchronnie zaraz rozległoby się walenie w ścianę lub w sufit.

Dzisiaj wyjechał na zakupy do Waitrose'a, ale tak naprawdę chciał na cały głos wtórować kawałkom z Nevermind, czego nie mógł zrobić w domu. Bardzo lubił Nirvanę, ale w jego wieku była to przyjemność zmieszana z poczuciem winy. Jeśli chodzi o ten gniew, ból, nienawiść do siebie... Will czasami miał co najwyżej czegoś serdecznie dość, ale przed samym sobą nie usiłował udawać, że chodzi o jakieś silniejsze emocje. Głośna i gniewna muzyka rockowa bardziej zastępowała mu prawdziwe uczucia, niż je wyrażała, co zresztą jakoś przesadnie go nie trapiło. Bo i co niby po prawdziwych uczuciach?

Właśnie zaczynały się kawałki z drugiej strony, kiedy na Upper Street zobaczył Marcusa. Nie widział go od dnia adidasów i nieszczęśliwie chciał zobaczyć, ale zniemacka poczuł jakieś niewyraźne współczucie. Marcus był tak zamyślony, tak niepomny niczego i nikogo poza sobą, jakby nie chciał niczego i domagał się wszystkiego jednocześnie.

Nie było to uczucie na tyle silne, aby Willowi chciało się zatrzymać samochód lub chociażby zatrąbić; po prostu był mu odrobinę mniej obojętny niż wszyscy inni na ulicy, nic poza tym. Zresztą śmiesznie było zobaczyć go za dnia, kiedy tak idzie bez celu... Nagle coś go tknęło. Dlaczego to było śmieszne? Bo dotąd zawsze widział go w szarości zimowego zmierzchu. A dlaczego widywał go w szarości zimowego zmierzchu? Gdyż Marcus zjawiał się dopiero po szkole. A ponieważ teraz była dopiero druga, Marcus powinien być w szkole. Bingo!

Will przez chwilę walczył ze swym sumieniem, sprowadził je do parteru i przysiadł na nim, aż wreszcie przestał słyszeć jego żalosne popiskiwanie. Dlaczego miało go martwić to, czy Marcus jest w szkole, czy też nie? OK, źle postawione pytanie. Bardzo dobrze wiedział, dlaczego powinno go martwić to, czy Marcus chodzi do szkoły. Więc może lepiej: Jak bardzo powinno go to martwić? Odpowiedź: Nie bardzo. Teraz już lepiej. I pojechał do domu.

Była dokładnie 16.15 i dobiegała połowa Countdown, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Gdyby Will wcześniej nie widział j Marcusa, pewnie w ogóle nie zwróciłby uwagi na godzinę, teraz jednak było oczywiste, iż Marcus uznał, że jeśli zjawi się przed 16.15, może to wzbudzić jakieś podejrzenia. I tak nie miało to jednak znaczenia, gdyż Will nie zamierzał otwierać.

Marcus zadzwonił ponownie, a Will ponownie zignorował sygnał. Po trzecim naciśnięciu wyłączył Countdown i wrzucił In Utero w nadziei, że Nirvana skuteczniej zagłuszy hałas niż Carol Yorderman. Kiedy dotarł do Pennyroyal Tea, ósmego czy dziewiątego kawałka na płycie, stało się oczywiste, że Marcus słyszy muzykę i akompaniuje jej dzwonkiem. Okazało się, że Kurt Cobain i Marcus to za wiele dla Willa. Skapitulował.

- Miałeś się tu nie zjawiać.

- Chciałem cię prosić o przysługę - powiedział Marcus, a na jego twarzy nie widać było ani śladu stropienia tym, że przez ponad pół godziny naciskał na dzwonek.

Odrobinę się przepychali w progu; Will usiłował zastawić Marcusowi drogę, ale nieskutecznie.

- O, nie, skończyło się Countdown. Ten grubas znowu wygrał?

- Jaką przysługę?

- Żebyś ze mną i jednym kolegą poszedł na mecz piłkarski.

- Matka może z tobą iść.

- Ona nie lubi futbolu.

- Ani ty.

- Teraz już lubię. Manchester United.
- Dlaczego?
- Podoba mi się O'Bane.
- A kto to taki, do cholery?
- Strzelił w sobotę pięć goli.
- Zremisowali zero - zero z Leeds.
- To może tydzień wcześniej.
- Marcus, żaden O'Bane nie gra w United.
- Może coś źle usłyszałem, ale coś podobnego do O'Bane. Ma długie włosy, brodę i wygląda jak Jezus. Dasz mi colę?
- Nie. Nie ma w Manchesterze nikogo z długimi włosami i brodą, kto wyglądałby jak Jezus.
- To rzuć parę nazwisk.
- Hughes? Cantona? Giggs? Sharpe? Robson ?
- Nie. O'Bane.
- Może O'Kane. Twarz Marcusa rozpogodziła się.
- To z pewnością on.
- Jakieś dwadzieścia pięć lat temu grał w Nottingham Forest. Nie wyglądał jak Jezus. Niczego sobie nie robił z włosami. Nigdy nie strzelił pięciu goli. Jak w szkole?
- OK.
- Dzisiaj też? Marcus zerknął na Willa, zdziwiony pytaniem.

- Tak.

- A co miałeś?

- Historię, a potem...

Will zamierzał wykorzystać historię z wagarami do szantażu, tak jak Marcus wykorzystał historię z Nedem, ale kiedy teraz miał go na haczyku, nie mógł się oprzeć chęci wyciągnięcia i wrzucenia do wiaderka.

- Środa dzisiaj, nie?

- No... tak.

- Zawsze w środę po obiedzie spacerujesz sobie po Upper Street? W oczach Marcusa zobaczył zapowiedź paniki.

- Jak to?

- Widziałem cię dzisiaj.

- W szkole?

- A jak cię miałem zobaczyć w szkole, kiedy cię tam nie było?

- Dzisiaj po południu?

- Dzisiaj.

- Ach, tak, musiałem się zwolnić, bo miałem coś do załatwienia.

- Zwolnić się, powiadasz? I co, jak tylko poprosisz, to tak zaraz cię zwalniają?

- Gdzie mnie widziałeś?

- Zobaczyłem cię, jadąc Upper Street. Nie wyglądałeś jak ktoś, kto ma coś do załatwienia. Powiedziałbym, że raczej szedłeś bez celu.

- To wina pani Morrison.

- Że musiałeś się zwolnić? Czy że poszedłeś na wagary?

- Znowu mi powtarzała, żebym nie wchodził im w drogę.

- Zaraz, zaraz, tracę kontakt. Co to za pani Morrison?

- Dyrka. Jak tylko są jakieś sprawy, to nic, tylko mi każą schodzić im z drogi. Teraz to samo w związku z butami. Marcus zaczął mówić o oktawę wyżej i znacznie szybciej. - To oni za mną łążą, więc jak mam zejść im z drogi?!

- Dobrze, dobrze, wyhamuj. Powiedziałeś jej to?

- Pewnie, że tak. Ale w ogóle nie słuchała.

- Jasne. Więc idź teraz do domu i opowiedz o wszystkim mamie, a nie mnie. Powiedz jej także, że się zerwałeś ze szkoły.

- Niczego jej nie powiem, bo i beze mnie ma dość kłopotów.

- Marcus, ty sam jeden to już wystarczający problem.

- A gdybyś ty do niej poszedł? Do pani Morrison?

- Chyba żartujesz. Dlaczego miałaby chcieć ze wiać?

- Będzie chciała, mówię ci. Ona...

- Marcus, zaraz, posłuchaj. Nie jestem twoim ojcem, wujem, ojczymem, nikim takim. Nie mam z tobą nic wspólnego. Żadna dyrektorka ani wychowawczyni nie będzie chciała ze mną rozmawiać, zresztą nawet nie powinna. Przestań sobie wyobrażać, że mogę na wszystko coś poradzić, bo nie mogę.

- Ale ty wiesz, co i jak. Na przykład, w jakich butach się chodzi.

- Dobra, wiem, i co z tego wyszło? Stały się źródłem bezgranicznego szczęścia, nie? Jakbym ci nie kupił tych adidasów, siedziałbyś dzisiaj w szkole.

- IznaszKirkaO'Bane'a.

- Kogo?

- Kirka O'Bane'a.

- Piłkarza?

- Może to wcale nie piłkarz. Ellie chyba sobie żartowała, tak jak ty czasami.

- Jak ma na imię? Kirk?

- Chyba tak.

- Kurt Cobain, ty pacanie.

- A kto to?

- Śpiewa w Nirwanie.

- Właśnie, tak mi się wydawało, że to powinien być ktoś taki. Jasne włosy? Wygląda jak Jezus?

- Powiedzmy.

- No widzisz - triumfalnie oznajmił Marcus. - Także i jego znasz.

- Wszyscy go znają.

- Ja nie.

- Ty nie, Marcus, ale ty jesteś dziwak.

- Także moja mama nie zna.

- No tak, ona też raczej nie.

- No i sam widzisz, znasz się na różnych takich sprawach. I dlatego możesz pomóc.

Dopiero teraz Will po raz pierwszy zrozumiał, o jaką pomoc chodzi Marcusowi. Fiona zasugerowała, że chłopakowi potrzebny jest ktoś w rodzaju ojca, kto pomógłby mu w

powolnym, spokojnym dojrzewaniu. Tymczasem prawda wyglądała inaczej: Marcus potrzebował kogoś, kto pomógłby mu być dzieckiem, a nie dorosłym. I na nieszczęście Willa to właśnie była pomoc, do której się znakomicie nadawał. Nie potrafił doradzić Marcusowi, jak dorastać, jak poradzić sobie z samobójczymi skłonnościami matki ani w niczym takim, z pewnością jednak mógł wyjaśnić Marcusowi, że Kurt Cobain nie gra w Manchester United, a dla dwunastolatka uczęszczającego w roku 1993 do niezbyt przyjaznej szkoły była to może najważniejsza informacja na świecie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Następnego ranka Marcus pojawił się w szkole. Nikt chyba nawet nie zauważył jego popołudniowej nieobecności; wychowawca wiedział, że na przerwie obiadowej miał stawić się przed panią Morrison, a historyk, pan Sandford, nigdy nie zauważał jego istnienia. Ktoś z klasy mógł spostrzec jego nieobecność, ale ponieważ i tak nigdy się do niego nie odzywali, więc skąd mógł wiedzieć?

Na przerwie natknął się na Ellie przy automacie z napojami. Miała na sobie bluzę z Kurtem Cobainem i stała z koleżanką z klasy.

- Kurt Cobain wcale nie gra w Manchester United - wypalił natychmiast, a koleżanka zanosła się histerycznym śmiechem.

- O, nie! - z udanym przerażeniem powiedziała Ellie. A co, wywalili go?

Marcus stropił się na chwilę; a jeśli Ellie naprawdę myślała, że to piłkarz? Ale zaraz domyślił się, że to jeden z tych kawałów, których nie łąpał.

- Ha, ha, ha - powiedział bez odrobiny rozbawienia w głosie, a jednocześnie poczuł błogi dreszcz, że przynajmniej raz zachował się jak należy. - On gra, ale w Nirvanie.

- O kurczę, dzięki, że mi powiedziałaś.

- Nie ma sprawy. Mój znajomy ma ich płytę. Nevermind.

- To ma każdy. Ale na pewno nie ma najnowszej.

- Może mieć. Ma dużo płyt.

- Aż której jest? Wydawało mi się, że nikt tutaj nie słucha Nirwany.

- Już jest po szkole. Jest dość stary. Nirvana to grunge, nie? Sam nie wiem, co o tym myśleć.

Bo i nie wiedział. Wczoraj Will puścił mu trochę Nirvany, a Marcus nigdy dotąd czegoś podobnego nie słyszał. Z początku nic nie mógł rozróżnić w hałasie i krzykach, ale potem było kilka spokojniejszych kawałków, a na koniec mógł nawet wychwycić melodię. Nigdy mu się chyba nie spodobała tak jak Joni, Bob czy Mozart, ale wydawało mu się, że rozumie, dlaczego taką muzykę może lubić ktoś taki jak Ellie.

Obie dziewczyny spojrzały po sobie i roześmiały się jeszcze głośniejszym niż za pierwszym razem.

- No a jak ci się wydaje? - spytała ta druga.

- Dużo huku - powiedział Marcus - ale niezły rytm, a poza tym ciekawa okładka. - Na okładce było zdjęcie niemowlaka, który pod wodą wyciąga rękę do banknotu jednodolarowego. Will mówił coś na ten temat, ale Marcus nie mógł sobie dokładnie przypomnieć. - Chyba o coś w niej chodzi. Coś ze społeczeństwem.

Dziewczyny popatrzyły na niego, potem na siebie i zaśmiały się.

- Śmieszny jesteś - uznała koleżanka Ellie. - Jak się nazywasz?

- Marcus.

- Marcus. Cool.

- Naprawdę? - spytał, bo chociaż dużo się nie zastanawiał nad swoim imieniem, to nigdy nie przyszło mu do głowy, że jest cool.

- Nie - powiedziała tamta i znowu wybuchnęły śmiechem. - Nara, Marcus.

- Cześć.

Była to najdłuższa rozmowa, jaką od tygodni przeprowadził z kimkolwiek w szkole.

- No to zaliczyliśmy pierwsze punkty - skomentował Will opowieść Marcusa o Ellie i jej koleżance. - Ale na mistrzostwo bym nie liczył, raczej trzeba walczyć o utrzymanie się.

Marcus czasami kompletnie nie rozumiał, o co Willowi chodzi, a wtedy po prostu go ignorował.

- Powiedziały, że jestem śmieszny.

- Bo jesteś. Komiczny. Ale na tym daleko nie zajdziesz.

- A mogę tutaj zaprosić Ellie?

- Wątpię, żeby chciała, Marcus.

- A dlaczego.

- Bo... nie wiem, czy... Ile ona ma?

- Nie wiem. Piętnaście?

- Nie sędzę, żeby piętnastolatka chciała się zadawać z dwunastolatkiem. Idę o zakład, że jej chłopak ma dwadzieścia pięć lat, jeździ harleyem davidsonem i pewnie jest technicznym w jakiejś grupie rockowej. Złomocze cię. Zgniecie jak pluskwę.

Tego Marcus nie wziął pod uwagę.

- Ja nie chcę się z nią umawiać. Wiem, że ze mną nie będzie chciała. Ale może przyszlibyśmy tutaj i posłuchali Nirvany, co?

- Na pewno zna już wszystkie ich płyty. Will zaczynał irytować Marcusa. Dlaczego nie chciał mu pomóc w nawiązaniu przyjaźni?

- W porządku, nie to nie. Nie ma sprawy.

- Posłuchaj, Marcus. Bardzo się cieszę, że zagadałeś do tej Ellie, naprawdę. Ale dwie minuty rozmowy z kimś, kto się z ciebie nabija... To nie rokuje dłuższej znajomości, rozumiesz?

Marcus właściwie nie słuchał Willa. Ellie i jej koleżanka powiedziały, że jest śmieszny, a jak raz udało mu się je rozbawić, to uda się i drugi.

Nazajutrz zobaczył je znowu przy automacie. Oparły się o niego i głośno omawiały każdego, komu starczyło charakteru, by podejść i wrzucić monetę.

- Cześć, Ellie!

- Marcus! Mój koleś!

Marcus nie zastanawiał się nad możliwymi znaczeniami tego okrzyku.

- Ellie, ile lat ma twój chłopak?

Zadał tylko jedno pytanie, a one już pokładały się ze śmiechu. Więc potrafił.

- Sto dwa.

- Ha, ha, ha.

I znowu jak należy.

- Dziewięć.

- Ha, ha, ha.

- Po co ci to? I skąd w ogóle wiesz, że mam chłopaka? - Mój przyjaciel Will powiedział, że ten chłopak ma pewnie dwadzieścia pięć lat, jeździ harleyem davidsonem i zgniecie mnie jak pluskwę.

- Ej, Marcus! - zawołała Ellie, chwyciła go za kark i zmierzwiła włosy z tyłu głowy. - Nie dałabym mu.

- To fajnie, dzięki. Bo jak to powiedział, to zrobiło mi się trochę głupio.

I znowu śmiech. Koleżanka Ellie wpatrywała się w niego tak, jakby był najbardziej interesującą osobą na świecie.

- A ile lat ma twoja dziewczyna? Żeby i ona nie chciała mnie zabić!

Chichotały przez cały czas; trudno było powiedzieć, gdzie kończył się jeden śmiech, a zaczynał drugi.

- Nie zabije, bo nie mam żadnej.

- Nie ściemniaj. Taki fajny chłopak? Będziemy musiały się tym zająć.

- Nie, nie chcę na razie żadnej, bo nie wiem, czy jestem gotów.

- Dobrze mówisz.

Znienacka pojawiła się przy nich pani Morrison.

- Ellie, proszę do mojego gabinetu.

- Nie zmienię bluzy.

- Porozmawiamy we właściwym miejscu.

- Nie ma o czym.

- Chcesz się ze mną kłócić na oczach wszystkich? Ellie wzruszyła ramionami.

- Mnie tam wszystko jedno gdzie.

Ellie naprawdę się nie przejmowała; widać to było po niej. W szkole wiele osób udawało, że niczego się nie boi, ale wystarczyło, że odezwał się nauczyciel, a zaraz miękli. Tymczasem z Ellie pani Morrison była bezsilna, chociaż mogła jej narobić wiele kłopotów. Koleżanka Ellie dobrze to rozumiała i nie miała ochoty się stawiać. Ellie miała coś, czego im brakło, a może to oni mieli coś, czego nie miała Ellie - Marcus nie wiedział, która z tych okoliczności zachodzi.

- Zoe, Marcus, chcę pomówić z Ellie na osobności. A poza tym, Marcusie, my jeszcze musimy o czymś porozmawiać, prawda?

- Tak, proszę pani.

Powiedział to takim głosem i z taką miną, że - jak zobaczył kątem oka - Ellie się uśmiechnęła. Na krótką chwilę poczuł, że stanowią trio, czy może raczej trójkąt, z Ellie jako górnym wierzchołkiem, a nim i Zoe u podstawy.

- W takim razie żegnam. Więc sobie poszli.

Ellie i Zoe same go odszukały podczas przerwy obiadowej. Siedział przy stole i jadł kanapkę, słuchając, jak Frankie Bali i Juliet Lawrence rozmawiają o jakimś łąpku z dziewiątej.

- O, tu jest!

- U - u! Marcus!!!

Wszyscy w klasie zamarli i patrzyli w osłupieniu. Na wszystkich twarzach można było odczytać tę samą myśl: "Ellie i Marcus?????" Nawet Nicky i Mark, którzy nie odezwali się do niego od kilku tygodni i udawali, że w ogóle go nie znają, podnieśli oczy znad gameboya. Marcus miał nadzieję, że co najmniej jeden się udławi. Czuł się wspaniale. Nawet gdyby w klasie, szukając Marcusa, zjawił się sam Kurt Cobain, usta nie otworzyłyby się szerzej.

- No i co się tak gapicie? Marcus to nasz przyjaciel, co nie, Marcus?

- Jasne - odpowiedział Marcus. Cokolwiek miało tu znaczyć słowo "przyjaźń", jego odpowiedź była cool.

- To chodź do naszej klasy, będziesz tu siedział całą przerwę z tymi pierdołami? Szkoda czasu.

Marcus zobaczył, jak na kilku twarzach pojawia się rumieniec, ale nikt się nie odezwał. Inaczej trzeba byłoby podjąć pojedynek z Ellie, a tego nikt nie chciał. Bo i po co? Pani Morrison nie miała szans z Ellie, więc co dopiero mówić o Frankiem Ballu i całej reszcie.

- Dobra, ale poczekajcie chwilę, OK?

Nie miał niczego szczególnego do zrobienia, ale bardzo pragnął, aby ta chwila trwała jak najdłużej. Nie wiedział, czy Ellie i Zoe kiedykolwiek jeszcze zjawią się po niego, a nawet jeśli tak, to czy obwieszczą całemu światu, że jest ich przyjacielem, a cała reszta klasy to pierdoły. To byłoby aż za piękne. Żeby czymś zająć ręce, zaczął grzebać w plecaku.

- Wziąć coś ze sobą?

- Jakąś flaszeczkę? - spytała Zoe. - A masz?

- Nie, ale...

- Ach, gumkę?! - zawołała Ellie. - O to ci chodzi? Nie, Marcus, nie da rady się pieprzyć u nas w klasie, chociaż ja to bym z chęcią strzeliła jakiś numerek. Za dużo ludzi.

Zoe śmiała się jak opętana, aż spod zamkniętych powiek wyciekły małe łezki.

- Nie, to znaczy...

Sam Marcus mało się nie udławił językiem. To nie był najlepszy pomysł kazać im czekać. Moment triumfu zamienił się w chwilę straszliwego speszenia.

- Dawaj, Marcus, zostaw graty, najważniejsze, żebyś sam się zabrał.

Wiedział, że stoi cały w pąsach i że z tym kondomem to Ellie przesadziła, a on teraz na oczach całej klasy musiał przejść do drzwi, gdzie czekały Ellie i Zoe. Kiedy podszedł, Ellie pocałowała go w usta, a chociaż wiedział, że się z niego nabija, to jednak na kogo jeszcze w klasie Ellie chciałyby chociażby splunąć, a co dopiero pocałować? I to w usta! "Źle czy dobrze, ważne, żeby o tobie mówili", powiedział kiedyś, dawno temu, ojciec, kiedy Marcus zapytał, dlaczego aktorzy pozwalają, żeby Noel Edmonds wygadywał o nich te wszystkie bzdury. Dopiero teraz Marcus zrozumiał prawdziwość tego zdania. Ellie też się z niego nabijała, ale wcale nie miał jej tego za złe.

Klasa Ellie była piętro wyżej, więc ten cudowny spektakl "Ja cię pieprzę, Ellie i Marcus!!!" potrwał jeszcze dłużej. Jeden z nauczycieli nawet ich zatrzymał i spytał Marcusa, czy wszystko jest OK, jeśli bowiem ktoś z młodszej klasy był w towarzystwie Ellie, musiało to znaczyć, że został porwany albo był zamulony.

- Adoptowałyśmy go - oznajmiła Ellie.

- Nie ciebie pytałem, Ellie, tylko jego - powiedział nauczyciel ze zmarszczonymi brwiami.

- One mnie adoptowały - rzekł Marcus, a chociaż nie sądził, że to dowcip - po prostu sądził, że najlepiej powtórzyć po Ellie - wszyscy się roześmiali.

- No rzeczywiście, trudno o bardziej odpowiedzialnych rodziców - pokiwał głową nauczyciel.

- Ha, ha, ha - powiedział Marcus, chociaż nie był pewien, czy tym razem było to tak samo na miejscu jak poprzednio.

- Bardzo pan miły - powiedziała Ellie i dygnęła, co u niej wyglądało dość zabawnie. - Zaopiekujemy się nim. Żeby był w domu przed północą i te rzeczy.

- Przed północą i w j edny m kawałku - mruknął na odchodnym nauczyciel.

Ellie kazała mu poczekać przed klasą i słyszał, jak krzyczy:

- E, zamknijcie dzioby na chwilę! Przedstawiam wam Marcusa, jedyne oprócz mnie fana Kurta Cobaina w całej tej pierdolonej budzie. Marcus, dawaj!

Wszedł. W sali nie było wiele osób, ale wszyscy na jego widok gruchnęli śmiechem.

- No, może nie jestem takim wielkim fanem - powiedział. - Mają fajny rytm i niekiepską okładkę.

Znowu wybuch śmiechu. Ellie i Zoe po obu jego stronach stały dumne, jakby był magikiem, który właśnie wykonał trik, w co nikt wcześniej nie chciał uwierzyć. Miały rację; czuł się, jakby go adoptowano.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Will starał się nie myśleć o Bożym Narodzeniu, ale coraz mniej odpowiadał mu pomysł, żeby spędzić je na oglądaniu setek filmów i wypalaniu tysięcy blantów. Niewiele w tym było odświętności, a tej nie chciał poniechać zupełnie, chociaż łączyła się z nią konieczność co jakiś czas wysłuchania Pieśni. Fakt jest faktem, że sposób, w jaki spędzasz święta Bożego Narodzenia, jest bardzo wyrazistym komunikatem wobec świata, w jak głębokiej jamie ugrzązłeś, dlatego też spędzenie trzech dni w całkowitej izolacji mówiło o tobie więcej, niż sam chciałbyś powiedzieć.

Święta należało zatem spędzić na łonie rodziny, oczywiście nie jego, bo tej nie posiadał, więc na łonie jakiejś rodziny. Była jedna, której chciał uniknąć za wszelką cenę: ani myślał zajadać pieczoną cukinię, rezygnować z TV i śpiewać kolęd z zamkniętymi oczyma. Należało jednak zachować czujność, wystarczyła bowiem chwila nieuwagi, aby prąd porwał go w stronę katarakty i w żaden sposób nie uda mu się już wtedy popłynąć w przeciwną stronę.

Jeśli zważyć na stanowczość postanowienia, by nie zjawiać się na święta u Fiony i Marcusa, zdziwić może, że nieoczekiwanie dla siebie przyjął zaproszenie.

- Spędziłbyś z nami święta? - spytał Marcus, zanim jeszcze przestąpił próg.

- Eeee. Dzięki, to miłe z waszej strony.

- Świetnie.

- Zaraz, powiedziałem tylko, że to miła propozycja.

- Ale przyjdziesz.

- Nie wiem.

- Dlaczego?

- Bo...

- Nie masz ochoty?

- Oczywiście, że mam, ale... A co z twoją mamą?

- Też będzie.

- Coś takiego zakładałem, ale przecież chyba nie chce mego towarzystwa.

- Rozmawiałem już z nią o tym. Spytałem, czy mogę zaprosić przyjaciela, a ona, że
OK.

- Ale nie powiedziałaś, że to ja?

- Na pewno się domyśliła.

- Jak?

- Przecież nie mam innych przyjaciół.

- Wie, że ciągle do mnie przychodzisz?

- Chyba tak. Przestała mnie pytać, więc chyba przestała się przejmować.

- I na pewno nie ma nikogo innego, kogo mógłbyś zaprosić?

- Jasne, że nie, a poza tym nawet jakbym miał, to każdy idzie w ten dzień do siebie do domu, chyba że już mieszka u siebie, to nie musi nigdzie iść.

- Jeszcze nie wiem, co będę robił.

- A masz gdzie iść?

- Nie, ale...

Pojawiające się w rozmowie luki bezzwłocznie wypełniał sam Marcus, któremu dowolne "eee" czy "ale" wystarczały jako pretekst do całkowitej zmiany tematu, tym razem jednak z jakiegoś powodu zarzucił swą technikę i bez słowa wpatrywał się w Willa.

- Co się tak gapisz?

- Nie gapię się, tylko czekam, aż odpowiesz na pytanie.

- Powiedziałem: "Nie".

- Powiedziałeś: "Nie, ale...", więc czekałem, co będzie dalej.

- Nic. Nigdzie nie idę na święta.

- To możesz przyjść do nas.

- Tak, ale...

- Ale co?

- Przestań mnie, do cholery, ciągle pytać: "Ale co"!

- Dlaczego?

- Bo... bo to niegrzeczne.

- Dlaczego?

- Bo... Bo mam swoje powody, Marcus, i dlatego ciągle jest jakieś "ale". Nie jestem na sto procent przekonany, że chcę przyjść do ciebie na święta.

- Dlaczego?

- Słuchaj, żarty sobie robisz?

- Nie.

Co było prawdą, bo Marcus nigdy nie żartował rozmyślnie. Willowi wystarczyło spojrzeć na jego twarz, żeby się przekonać, iż Marcus pyta tylko z czystej, niczym nie zmaconej ciekawości. Rozmowa już i tak wyszła daleko poza granice, w których chciał ją zamknąć Will; zaczynał się niepokoić, czy nie zostanie zmuszony do wyjawienia okrutnej prawdy: że i matka, i syn mieli nie po kolei w głowie, a poza tym należeli do ludzi, którzy zawsze przegrywali, trudno więc o bardziej ponure towarzystwo przy świątecznym stole. Szczerze mówiąc, Will wolałby raczej powrócić do dawnego projektu ukrycia się przed światem, wcześniej zaopatrując się w komplet filmów z braćmi Marx, niż zasiąść z nimi

do świątecznego posiłku, a taką właśnie decyzję podjąłby na jego miejscu każdy rozsądny człowiek. Skoro chłopak nie chwycił aluzji, to jakie jeszcze zostawało mu rozwiązanie? Chyba że...

- Przepraszam, Marcusie. To ja właściwie zachowałem się niegrzecznie. Z przyjemnością przyjdę do was na święta.

Oto i inne rozwiązanie. Nie takie, na które wpadł z radością, ale inne.

Na miejscu okazało się, że wcale nie będzie ich troje, co nieco poprawiło sytuację. Oczekiwał na kolejne wystąpienie Fiony nie dbającej o reguły logiki, tymczasem w progę powitało go spojrzenie wyraźnie oznajmiające, że nie życzy sobie żadnych nieprzyjaznych aktów przy gościach. Goście: ojciec Marcusa, Clive, jego dziewczyna, Lindsey, i jej matka, cisnęli się przy rozstawianym stole. Will nie miał pojęcia, że takie układy są możliwe. Jako pochodzący z końca lat sześćdziesiątych produkt drugiego małżeństwa obojga rodziców żył w przekonaniu, że kiedy małżeństwo się rozpada, jego konstytutywne elementy przestają ze sobą rozmawiać, tutaj jednak sprawy przedstawiały się odmiennie. Fiona i jej eks pojmowali, jak się zdaje, małżeństwo jako coś, co ich połączyło, a nie coś, co się schrzaniło i ich rozdzieliło. Można było odnieść wrażenie, iż dzielenie domu i łóżka oraz prokreację da się porównać do zajęcia sąsiednich pokoi w hotelu czy chodzenia do tej samej klasy w szkole: szczęśliwe zrządnienie losu, które uzasadnia późniejsze okazyjne spotkania.

To nie mogło być zjawisko powszechne, myślał Will, inaczej bowiem ROSR tworzyłyby radosne, choć będące w separacji pary, które na wyścigi poznawałyby partnerów byłych, nowych i dzieci pochodzące z najróżniejszych związków. A tymczasem czuło się tam słuszny gniew, rozgoryczenie i wiele nieszczęścia. To, co Will zobaczył podczas kilku spotkań, kazało wątpić, by wiele rozbitych rodzin zebrało się dziś wokół choinki, aby razem pośpiewać.

Nawet jeśli nie zdarzało się to często, rozgrywało się właśnie tutaj, co zrazu wydało się Willowi niesmaczne. Jeśli już ludzie nie mogą ze sobą wytrzymać, powinni być przynajmniej na tyle szczerzy, aby siebie nie lubić. Wraz jednak z upływem czasu i drinków zaczynał skłaniać się do przekonania, że podejmowana raz do roku próba spotkania się w przyjaźni i harmonii nie zasługiwała na całkowite potępienie. Wszyscy starali się być jak najmiłsi dla Marcusa i nawet Will nie był na tyle cyniczny, by życzyć mu czegokolwiek

innego niż wesołych świąt. Do sylwestra zdąży odzyskać wiele ze swego sceptycyzmu, na razie jednak dłaczegóż nie miał postępować na modłę rzymian: uśmiechać się do ludzi, nawet jeśli źle się o nich myśli. Jeśli uśmiechasz się do kogoś, wcale to nie oznacza, że macie zostać na wieki przyjaciółmi, prawda? Zresztą jeszcze tego dnia, kiedy powrócił zdrowy rozsądek i zaczęły się sprzeczki, stwierdził, że uśmiech wcale nie oznacza przyjaźni na cały dzień, niemniej jednak przez kilka godzin trwał w odmiennym niż zazwyczaj poglądzie na świat.

Kupił prezenty dla Fiony i Marcusa. Jemu dał analogową płytę Nevermind, gdyż nie mieli odtwarzacza CD, a także koszulkę z Kurtem Cobainem, żeby mógł trzymać front z Ellie; Pionie podarował zgrabny i całkiem drogi wazon szklany, gdyż po powrocie ze szpitala skarżyła się, że nie wie, co robić z kwiatami. Od Marcusa dostał poradnik krzyżówkownicza, żeby miał pod ręką ściągę do Countdown, Fiona sprezentowała mu Poradnik samotnego rodzica, podkreślając, że to żart.

- A co w tym śmiesznego? - zainteresowała się Lindsey.

- Nic, nic - szybko zapewnił Will, ale sam poczuł, że nie zabrzmiało to przekonująco.

- Udawał, że ma syna, żeby chodzić na zebrania samotnych rodziców - poinformował Marcus.

- O! - mruknęła Lindsey, a cała trójka: ona, jej matka i Clive wpatrzyli się w Willa z zainteresowaniem, ten jednak nie zamierzał udzielać żadnych dalszych wyjaśnień, a tylko uśmiechnął się tak, jakby sugerował, że każdy by postąpił identycznie w tej sytuacji.

Dawanie prezentów nie trwało długo i w większości były to zwyczajne rzeczy, jeśli zważyć na skomplikowaną sieć układów wiążących osoby, które znalazły się w pokoju. Czekolada w kształcie penisa była wprawdzie zabawna (właściwie wcale tak nie uważał, ale usiłował być tolerancyjny: żyj i pozwól żyć), ale czy na pewno jest to najstosowniejszy prezent dla aktualnie pozostającej bez partnera i w celibacie dziewczyny twego obecnego partnera? Nie wiedział na pewno, niemniej wydało mu się to trochę nieodpowiednie - czy nie lepiej w tej sytuacji w ogóle nie poruszać tematu penisa? - i nie sądził, by Fiona należała do i kobiet przepadających za czekoladkami w kształcie męskiego przyrodzenia, choć ona śmiała się głośno.

Rósł stos pustych opakowań, a Will dochodził do wniosku, że w tych warunkach na dobrą sprawę każdy prezent mógł wydać się nieodpowiedni czy dwuznaczny. Fiona dała Lindsey jedwabną bieliznę (jak gdyby mówiąc: "Figę mnie to obchodzi, czy się z niej dla niego rozbierasz"), Clive'owi zaś książkę pod tytułem j Sekretna historia, jakby chciała podkreślić wagę pewnej historii wcale nie sekretnej. Clive obdarował Fionę kasetą Nicka Drake'a a chociaż najprawdopodobniej nic nie wiedział o historii ze szpitalem, to jednak dziwne wydawało się raczenie muzyką mogącą skłaniać do samobójstwa kogoś, kto do samobójstwa miał pewne predylekcje.

Prezenty Clive'a dla Marcusa - gry komputerowe, bluza, l czapeczka baseballowa, płyta Mr Blobby'ego - były zdecydowanie niekontrowersyjne, osobliwie jednak kontrastowały z nieefekowną kupką rzeczy, które Marcus wcześniej dostał od Fiony: obwisła bluza, która z pewnością nie zachwyci nikogo w szkole, kilka książek i zeszyty z nutami, które subtelnie wytykały, że jakiś czas temu zarzucił lekcje gry na pianinie. Marcus pokazał Willowi wszystko z entuzjazmem i dumą, które wprost łamały serce "Spójrz, jaka fajna bluza, książki chyba fajne, a nuty, bo... bo jak tylko będę miał więcej czasu, to muszę się znowu do tego zabrać". Dotąd Will widział właściwie tylko tę ekscentryczną, kłopotliwą stronę osobowości Marcusa, ale teraz pokazywał mu się jako po prostu dobry syn. Nie dobry w banalnym znaczeniu: posłuszny i układny, lecz dobry w tym sensie, że patrzył na kupę chłamu, ale ponieważ wiedział, że wybrano go starannie i z miłością, samo to mu wystarczyło. I nawet nie było problemem to, jak oceniać szklankę: do połowy pełna czy do połowy pusta, gdyż dla Marcusa jego szklanka wręcz się przelewała i z niedowierzaniem spozjrzałby na kogoś, kto by mu usiłował wytłumaczyć, że niektóre dzieci cisnęłyby bluzę i nuty w twarz ofiarodawcy i zażądałyby Nintendo.

Will dobrze wiedział, że to możliwość przed nim zamknięta. Nigdy nie wpatrywałby się w workowatą bluzę, żeby dojrzeć, dlaczego miałyby być akurat dla niego i dlaczego miałyby w niej chodzić piątek i świątek. Spozjrzałby na nią i uznał, że dawać coś takiego musi kompletny dupek. Ten krytycyzm nigdy go nie odstępował. Kiedy na Upper Street widział dwudziestopięciolatka na rolkach, szpanującego w czarnych goglach, w głowie stawała mu jedna z trzech myśli: a) Ale dupek; b) Jak ci się wydaje, koleś!, jak wyglądasz?; c) Ile masz lat? Czternaście?

Jego zdaniem wszyscy Anglicy myśleli tak samo. Nikt na widok gościa na rolkach i w goglach nie myślał: "O, to jest cool, facet sobie tak ćwiczy", a wszyscy myśleli: "Ale fiut!" Z

wyjątkiem Marcusa. Marcus albo by koleś nie zauważył, albo zastygłby z ustami rozwartymi w podziw i zachwycie. I wcale nie wynikało to z faktu, że był dzieckiem; Marcus bowiem aż za dobrze wiedział, że wszyscy jego koledzy myśleli w takiej sytuacji: "Ale dupek". Wynikało to z faktu, że był Marcusem, synem Fiony. Za dwadzieścia lat będzie śpiewał z zamkniętymi oczyma i łykał butelki prochów, ale na razie cieszył się badziewnymi prezentami świątecznymi. Niełatwo było uznać, że to dobra rekompensata za późniejsze lata.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

To dobra sytuacja, gdy mama i tata nie podejmują wspólnych decyzji, myślał Marcus, wtedy bowiem na święta możesz mieć to, co najlepsze w świecie, od każdego z nich. Dostajesz bluzę i nuty, bo tak trzeba, ale także gry komputerowe i inne fajne rzeczy, bo tak jest przyjemnie. A gdyby jego mama i tata byli razem, jakie by ich w tym roku czekały święta? Zapewne śmiertelnie nudne. A tak, z Willem i Lindsey, mieli coś w rodzaju party; mama Lindsey była Marcusowi obojętna, ale tak czy owak, jedna osoba więcej.

Po prezentach przyszedł czas na jedzenie. Mama podała coś w rodzaju wielkiego obwarzanka polanego śmietaną, a wypełnionego bardzo dobrym sosem grzybowym, potem pudding z pięć - centówkami w środku (Marcus w swojej porcji znalazł dwie), a jeszcze później nałożyli kapelusze i dmuchali w papierowe tubki i tylko Will szybko pozbył się kapelusza, gdyż, jak powie - dział, swędziało go od niego głowa.

Następnie w telewizji obejrzeni królową (nikt tak naprawdę tego nie chciał z wyjątkiem matki Lindsey, ale starzy ludzie, zdaniem Marcusa, zawsze dostają to, czego chcą). Clive skręcił sobie jointa i wtedy wybuchła kłótnia. Lindsey miała do niego pretensje z powodu swojej matki, która zresztą była niczego nieświadoma, dopóki nie zaczęła się sprzeczka, a Fiona z powodu Marcusa, który zresztą robienie blanta widział już chyba z milion razy.

- Setki razy robiłem to przy nim - powiedział Clive, a ponieważ stało się to przyczyną dalszych oskarżeń, Marcus był rad, że nie on poczynił tę uwagę.

- Szkoda, że to powiedziałeś - obruszyła się Fiona. Wolałabym nie wiedzieć!

- A co ty sobie wyobrażałaś? Że z chwilą, jak się rozstali - śmy, rzuciłem zioło? Niby dlaczego?

- Marcus był wtedy młodszy. A robiłeś skręty dopiero, jak już był w łóżeczku.

- Ja nigdy nie paliłem, mamó. Tata by mi nie pozwolił.

- A, to kamień z serca. Jeśli tylko nie wpycha ci do ust jointów, niech sobie do woli popisuje się przed tobą swoim nałogiem.

- Ha, ha, ha - powiedział Marcus, wszyscy przyjrżeli mu się z uwagą, a potem wrócili do kłótni.

- Nałóg? Nazwałabyś nałogiem to, że sobie od czasu do czasu zapalę?

- Nie tylko nazwałabym, ale i nazwałam przed chwilą.

- Możemy o tym porozmawiać kiedy indziej? - spytała Lindsey. Jej matka jak na razie się nie odzywała, ale przysłuchiwała się wszystkiemu z wielkim zainteresowaniem.

- A dlaczego? Bo twoja matka jest z nami? - Marcus nigdy dotąd nie widział, by Fiona sprzeczała się z Lindsey, ale teraz zabrała się i do niej. - Niestety, tak się składa, że z jakichś tajemniczych powodów nie mam okazji porozmawiać z ojcem Marcusa bez towarzystwa twojej matki. Więc musisz się z tym jakoś pogodzić.

- W porządku, odkładam jointa, OK? Teraz niech się wszyscy uspokoją i dalej oglądają International Velvet.

- To nie International Velvet - sprostował Marcus - ale Indiana Jones.

- Nie wtrącaj się, Marcus! Nie o to chodzi!

Marcus nie odezwał się, ale wewnętrznie wyraził sprzeciw. Może nie była to jedyna rzecz, o którą chodziło, niemniej jedna z kilku.

- Ja wiem, że on bierze narkotyki - odezwała się zniecierpliwiona matka Lindsey. - Nie jestem taka tępa.

- Ja... NIE BIORĘ NARKOTYKÓW! - z naciskiem oznajmił Clive.

- A jak to nazywasz? - zainteresowała się starsza pani.

- To żadne branie narkotyków, maryśka to... coś normalnego. Narkomania jest czymś innym.

- A myśli pani, że robi to sam? - wypaliła Fiona. - Że pani córka siedzi sobie tylko i się przypatruje?

- O co ci chodzi, moje dziecko?

- O nic, mamó. Moim zdaniem, propozycja Clive'a jest znakomita. Zostawmy tę sprawę i zajmijmy się... ja wiem... szaradami, krzyżówkami, czymkolwiek - wtrąciła Lindsey.

- Nic nie mówiłem o żadnych szaradach. Chciałem oglądać International Velvet.

- To nie International... - zaczął Marcus, ale przerwał mu zgodny okrzyk:

- Marcus, zamknij się!

I wszyscy się roześmieli. W ten sposób skończyła się kłótnia, która jednak zmieniła atmosferę. Clive i Fiona postanowili przy najbliższej okazji porozmawiać o marihuanie, Fiona i Lindsey kilka razy sobie przygryzły i nawet Will wydawał się inny, chociaż żadna ze spornych spraw go nie dotyczyła. Przedtem Marcus sądził, że jego starszy przyjaciel dobrze się bawi i poniekąd stał się częścią dużej rodziny, ale potem wyraźnie trzymał dystans. Można nawet było odnieść wrażenie, że szyderczo bawi się kłótnią, ale dlaczego, tego Marcus nie był już w stanie pojąć. Na kolację było mięso dla zjadaczy mięsa i nawet Marcus spróbował kawałek, tylko żeby zobaczyć minę mamy. A jeszcze później pojawiła się Suzie ze swą córką i teraz przyszedł czas nabijania się z Willa.

Marcus nie miał pojęcia, że Will nie widział się Suzie od czasu, gdy wyszła na jaw historia z Nedom i ROSR. Nikt nic nie wspomniał o całej sprawie, ale to o niczym nie świadczyło Marcus bowiem żył w przekonaniu, że kiedy udawał się do szkoły czy do sypialni, dorośli robili wszystko to, o czym nie chcieli mu mówić, ale w tym przypadku okazało się, że to nieprawda, i zaczynał podejrzewać, czy oni w ogóle mają jakieś sekretne życie. Kiedy Suzie stanęła w progu, stało się jasne, że jest to moment nader niezręczny dla Willa: wstał, usiadł, wstał, zacerwienił się oznajmił, że musi już lecieć, a kiedy Fiona powiedziała mu, żeby się nie wygłupiał, znowu opadł na krzesło. Ponieważ jedyne wolne miejsce było obok Willa, Suzie musiała usiąść koło niego.

- I jak, Suzie, przyjemnie upłynął dzień? - spytała Fionaj

- Tak, świetnie. Właśnie wracamy od babci. - A jak się czuje babcia? - spytał Will. Suzie już otwierali usta, żeby odpowiedzieć, ale potem zmieniła zdanie i całkowicie go zignorowała. Była to jedna z najbardziej fascynujących rzecz jakie Marcus widział w życiu, i jedna z najbardziej ekscytujących jakie rozegrały się w jego domu. (Mama i Dzień Martwej Kaczki się nie liczyły. To były zdarzenia okropne, a nie ekscytujące! Suzie olewała Willa, tak się na to mówiło w szkole. Marcus śledził to rozemocjonowany, chociaż i odrobinę przestraszony.

Will ponownie podniósł się i usiadł. Gdyby naprawdę chciał pójść, myślał Marcus, nikt nie mógłby go zatrzymać. To znaczy, mogliby, gdyby wszyscy uwiesili się na nim (Marcus uśmiechnął się do siebie na myśl o matce Lindsey siedzącej Willowi na głowie), ale tego na pewno by nie zrobili. Dlaczego więc nie wstał zdecydowanie i nie wyszedł? Czemu tylko tak podskakiwał w górę i w dół, jak na jakiejś sprężynie? Może z olewaniem wiązało się coś, o czym Marcus nie miał pojęcia, może trzeba siedzieć i to znosić, nawet gdyby ci się nie podobało.

Megan zsunęła się z kolan matki i podeszła do choinki.

- Może są tam jakieś prezenty, Megan - powiedziała Fiona.

- Ach, Megan, prezenty! - wykrzyknęła Suzie.

Także Fiona stanęła przy choince i sięgnęła po jeden z leżących tam pakunków, a potem podała go Megan, która, z pakunkiem w ręku, rozejrzała się po pokoju.

- Nie wie, komu to dać - oznajmiła Suzie. - Strasznie się dzisiaj cieszyła i z rozpakowywania prezentów, i z ich wręczania.

- Ach, jakie to słodkie! - zawołała matka Lindsey.

Wszyscy patrzyli na Megan i czekali, na kogo padnie jej wybór, a ona jakby uznała, że należy się jakaś rekompensata za olewanie, stanęła przed Willem i podała mu prezent. Ten się nie ruszył.

- Weź to od niej, durniu - syknęła Suzie.

- To nie mój cholerny prezent - burknął Will.

Marcus w duchu mu pogratulował. Niech i on trochę poolewa. Kłopot jedynie w tym, że w tym momencie Will olewał Megan, a nie Suzie, Marcus zaś był zdania, że raczej nie należy olewać kogoś, kto nie ma nawet trzech lat. Bo niby dlaczego? Na Megan jednak nie robiło to wrażenia, uparcie bowiem stała z wyciągniętymi rączkami.

- No i co teraz? - spytał nachmurzony Will, kiedy wreszcie wziął prezent.

- Otwórz razem z nią - nieco łagodniej powiedziała Suzie, zresztą także Will wydawał się teraz spokojniejszy. Nawet jeśli mieli się pokłócić, to nie zamierzali robić tego na oczach wszystkich.

Will pomógł Megan odwinąć papier i ukazała się plastikowa zabawka wygrywająca melodie.

- I co dalej? - spytał Will.

- Baw się z nią! - prychnęła Suzie. - Zgadnijcie, kto w tym towarzystwie nie ma dzieci!

- Weź się ty z nią pobaw. - Will cisnął zabawkę Suzie. Nie znam się na tym.

- To może byś się trochę pouczył!

- Ciekawe po co?

- No, przy twoim zajęciu umiejętność zabawy z dziećmi bardzo by się przydała.

- A czym się zajmujesz? - spytała grzecznie Lindsey, jak podczas normalnej, układnej rozmowy towarzyskiej.

- On nic nie robi - wyręczył go Marcus. - Jego tata napisał Mikołaja supersanki, więc teraz zarabia milion funtów na minutę.

- Udaje, że ma dziecko, żeby wkroczyć do grupy samotnych rodziców i podrywać samotne matki - oznajmiła Suzie.

- Ale za to mu nie płacą - rzeczowo skomentował Marcus. Will podniósł się ponownie, ale teraz już nie usiadł.

- Bardzo dziękuję za poczęstunek i wszystko - powiedział.

- Czas już na mnie.

- Nie musisz się od razu obrażać, Will - zauważyła Fiona.

- Suzie ma prawo wypowiedzieć swoją opinię.

- Więc ją wypowiedziała, a ja z kolei mam prawo udać się do domu.

Zaczął się przepychać do drzwi pomiędzy prezentami, zastawą i ludźmi.

- To mój przyjaciel - znenacka odezwał się Marcus. - Ja go zaprosiłem i to ja powinienem mu powiedzieć, kiedy ma iść do domu.

- Nie jestem pewien, czy dokładnie na tym polega gościnność - rzekł Will.

- Ale nie chcę, żeby już szedł - upierał się Marcus. - To nie fair. Dlaczego zostaje mama Lindsey, której nikt nie zapraszał, a jedyna osoba, którą zaprosiłem, idzie, bo wszyscy są dla niego okropni?

- Zaczniemy od tego - powiedziała Fiona - że to ja zaprosiłam mamę Lindsey, a to także mój dom. Poza tym nikt nie był okropny dla Willa, natomiast Suzie jest na niego zła, do czego ma zupełne prawo, i właśnie mu o tym powiedziała.

Marcus miał wrażenie, że to jakaś gra. Stał on, stał Will, podniosła się także Fiona, natomiast Lindsey, jej matka i Clive z otwartymi ustami siedzieli rzędem na sofie.

- O rany, przez kilka tygodni udawał, że ma syna, wielka sprawa. Kogo to obchodzi? W szkole codziennie dzieją się znacznie gorsze rzeczy.

- Problem w tym, Marcusie, że Will już dawno skończył szkołę i powinien wyrosnąć z nabierania innych.

- Dobrze, już dobrze, ale przecież potem się poprawił!

- Czy teraz mogę już wyjść? - spytał Will, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

- A co niby takiego zrobił? - wojowniczo spytała Suzie.

- Wpuszczał mnie do domu codziennie, chociaż wcale nie chciał, żebym przychodził. Kupił mi buty i przynajmniej on jeden chce posłuchać, dlaczego nie lubię szkoły. Bo ty tylko każesz mi się do tego przyzwyczaić. A poza tym zna Kirka O'Bane'a.

- Kurta Cobaina - sprostował Will.

- A co, ty zawsze robisz wszystko OK? - Marcus wiedział, że teraz musi być ostrożny. Nie powinien zbyt wiele mówić o sprawie ze szpitalem, a najlepiej, gdyby nic nie powiedział. Bo jak w ogóle poznałem Willa?

- Głównie z tego powodu, że zabiłeś kaczkę kawałkiem cholernej bagietki.

Marcus kompletnie się nie spodziewał, że Will może podjąć teraz ten temat. Mowa miała być o tym, co oni robią źle, ale nie o tym, jak on zabił kaczkę. Jednak kiedy Fiona i Suzie parsknęły śmiechem, Marcus zrozumiał, że Will dobrze wie, co robi.

- Marcusie, to prawda? - spytał ojciec.

- Z tą kaczką coś było nie w porządku - mruknął. - Myślę, że i tak by zdechła.

Suzie i Fiona roześmiały się jeszcze głośniej. Towarzystwo na sofie patrzyło na niego w osłupieniu. Will znowu usiadł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Will zakochał się w sylwestra, a dopadło go to zupełnie nieoczekiwanie. Na imię miała Rachel, ilustrowała książki dla dzieci, a przypominała odrobinę Laurę Nyro z okładki Gonna Take A Miracle - nerwowa, pełna czaru, dynamiczna, bystra Czeszka, z ciemnymi kręconymi włosami.

Will wcale nie chciał się zakochiwać. Kiedy przydarzało się to znajomym, zawsze sprawiało wrażenie czegoś nieprzyjemnego: bezsenność, chudnięcie na potęgę, głębokie nieszczęście, gdy było to uczucie bez wzajemności, oraz podejrzanie durne uszczęśliwienie, gdy uczucie było odwzajemnione. Zakochani stawali się ludźmi nie panującymi nad sobą, nie wystarczało im już własne mieszkanie, nowa marynarka, torba trawy i kolejny odcinek The Rockford Files.

Wiele osób marzyłoby oczywiście o tym, żeby usiąść obok osoby jakby wyczarowanej przez komputer jako idealny partner życia, Will jednak, jako realista, natychmiast zrozumiał, że są powody do paniki. Zaczął podejrzewać, iż Rachel przyprawi go o mnóstwo zgryzot, przede wszystkim z tej racji, że nie rozporządzał niczym, co - jak sądził - mogłoby ją zainteresować.

Jeśli była jakaś skaza na życiu, które sobie wybrał, życiu bez pracy, zmartwień, trudności i mitręgi, życiu bez kontekstu i treści, to dopiero teraz ją dostrzegł. Kiedy na zabawie sylwestrowej poznał inteligentną, kulturalną, ambitną, piękną, dowcipną, samotną kobietę, to sam sobie wydał się pustym ekranem, osobą, której życie upływało na oglądaniu Countdown i jeżdżeniu po mieście przy muzyce Nirvany.

Gdy rozpaczliwie zastanawiał się, co z jego doświadczenia! mogłoby zaciekawić tę dziewczynę, zdał sobie sprawę z faktu, iż jego zdecydowanie niezły wygląd i niejaka swoboda wypowiedzi rodziły fałszywe oczekiwania. Zapewniały mu wstęp na przyjęcie, z którego powinien być wywalony przez barczystych bram - karzy o szerokich karkach. Był przystojny i wygadany, ale o tym zadecydowały genetyka, środowisko i wykształcenie, podczas gdy we wnętrzu był nieciekawym mrukiem. Może powinien poddać się operacji plastycznej w przeciwnej intencji, niż robi się to zazwyczaj - żeby odebrać rysom regularność,

oczy zbliżyć albo może oddalić. A może powinien się roztyć, wyhodować kilka podbródków, nabrać tyle ciała, by poccił się przy najmniejszym wysiłku. No i, oczywiście, mógłby zacząć pochrząkiwać jak warchlak.

Sprawa bowiem przedstawiała się tak, że kiedy znaleźli się z Rachel obok siebie przy sylwestrowym stole, pierwsze pięć minut było wspaniałe i dało mu posmakować przez chwilę, jak mogłoby wyglądać życie. Szczerze mówiąc, byłoby lepiej, gdyby tego nie posmakował. Co mu to właściwie dało? Nie będzie spał z Rachel. Nie pójdzie z nią do restauracji, nie obejrzy jej mieszkania ani nie będzie słuchał, jak romans ojca z najlepszą przyjaciółką matki ukształtował jej pogląd na posiadanie dzieci. Nienawidził tych pięciu minut, w trakcie których otworzyła się wizja jakiejś innej możliwości. Koniec końców, myślał, byłoby znacznie lepiej, gdyby, spojrzawszy na niego, odwróciła się z obrzydzeniem i nie zaszczyciła już uwagą do końca wieczoru.

Zatęsknił za Nedom. Ned dodawał jego życiu dodatkowy wymiar, stanowił jakieś // ne sait quoi, które bardzo by się przydało przy takiej okazji jak ta. Tak czy owak, nie zamierzał na powrót powoływać go do życia. Niech spoczywa w pokoju.

- Skąd znasz Roberta? - spytała Rachel.

- Tak jakoś... - Robert był producentem i obracał się w kręgu aktorów, pisarzy i reżyserów. Większość znajomych Roberta to ludzie znani, cieszący się szacunkiem i budzący zazdrość innych. Willa bardzo kochało, by odpowiedzieć, że napisał muzykę do ostatniego filmu Roberta, załatwił z nim świetny interes lub chciał z nim porozmawiać na temat kretyńskiej polityki kulturalnej rządu. Chociaż go kochało, nie powiedział nic takiego. Powiedział natomiast: - Dawno, dawno temu kupowałem od niego trawę.

Co akurat było prawdą. Robert, zanim został producentem telewizyjnym, był dilerem. Nie dilerem z kijem baseballowym i pit - bullem, ale po prostu kimś, kto miał swoje dojścia i rozprawdzał trochę po znajomych, a do nich należał także Will, gdyż chodził wtedy z jedną z koleżanek Roberta... Mniejsza zresztą z tym, co go łączyło z Robertem w połowie lat osiemdziesiątych, teraz bowiem Rachel wiedziała przynajmniej tyle, że Will niczego nie kręci, nie pisze ani w niczym nie gra.

- Aaaa - powiedziała. - No, ale dalej pozostajecie w kontakcie.

Może nawet nie tak trudno byłoby na poczekaniu wymyślić historyjkę, która tłumaczyłaby, czemu nadal widują się z Robertem, a zarazem przedstawiała Willa w jakimś korzystniejszym świetle, czyniła z niego osobę odrobinę bardziej skomplikowaną, ale nie zrobił tego.

- Mhm... chociaż, prawdę mówiąc, nie wiem dlaczego.

Tak właśnie wyglądała prawda. Will nie wiedział, dlaczego nadal utrzymywali kontakty z Robertem. OK, fajnie im się rozmawiało, ale Robertowi fajnie się rozmawiało z większością osób obecnych na imprezie. Czemu właśnie Will utrzymał się na wszystkich zakrętach kariery Roberta? Może - co brzmiało absurdalnie, ale mogło tkwić w tym ziarno prawdy - Robert chciał podkreślić, jak wielką drogę przebył, zatrzymując przy sobie jako żywy okaz z epoki przedmedialnej nieudacznika o powierzchowności na tyle miłej, by nie odstraszać innych.

Rachel zaczęła rozmawiać z osobą siedzącą po jej drugiej stronie. Czym mógłby przyciągnąć jej uwagę? Czy miał jakiś choćby najmniejszy talent, który mógłby przedstawić teraz w pewnym wyolbrzymieniu? Potrafił ugotować to i owo. Ale kto tego nie potrafi? Czy nie zapomniał o jakiejś zarzuconej powieści? W czym był dobry w szkole? W ortografii. "Ej, Rachel, wiesz jak się pisze »pszenica«?" Na pewno wiedziała. Beznadziejna sprawa. Zorientował się, że na dobrą sprawę jedynym interesującym elementem jego życia był Marcus. Tylko to go odróżniało od innych. "Przepraszam, że przerywam, Rachel, ale wiesz, jest taka ciekawa sprawa, że przyjaźnię się z dwunastoletnim chłopcem. Chciałabyś może o tym posłuchać?" Zgoda, temat wymagał jeszcze dopracowania, ale nareszcie coś miał.

Rachel zauważyła, iż Will z nikim nie rozmawia, spróbowała go zatem włączyć do prowadzonej właśnie konwersacji o tym, czy w ogóle może się pojawić coś nowego pod słońcem, a zwłaszcza w muzyce pop. Rachel oznajmiła, że dla niej Nirvana brzmi całkiem jak Led Zeppelin.

- Znam dwunastolatka, który zabiłby cię za takie porównanie - rzekł Will.

Nie była to, oczywiście, prawda. Jeszcze kilka tygodni temu Marcus był przeświadczony, że wokalista Nirvany gra w Manchester United, trudno więc przypuścić, aby nawiedzały go jakieś mordercze odruchy, gdy ktoś zarzucał wtórność tej kapeli.

- Znam i ja taką osobę - powiedziała z ożywieniem Rachel. - Może powinni się spotkać. Jak ma na imię twój dwunastolatek?

"Może nie całkiem mój", zastrzegł w duchu Will, a głośno oznajmił:

- Marcus.

- Mój ma na imię Ali. Skrót od Alistair.

- No proszę.

- I Marcus też szaleje za deskorolką, rapem i Simpsonami! Will spojrzął w sufit i zachichotał. Nie czuł, by popełnił jakieś istotne nadużycie w tej rozmowie. Ani razu nie skłamał. Zbyt może przesadnie określił ewentualną reakcję Marcusa, a przewrócenie oczyma i chichot mogły sugerować niejakie znużenie rodzicielskie, niemniej jednak Will nie powiedział wyraźnie, iż Marcus to jego syn. W stu procentach była to jej interpretacja. A z pewnością w więcej niż pięćdziesięciu procentach. A z całą pewnością sytuacja wyglądała inaczej niż w ROSR, gdy przez cały wieczór łął jak najęty.

- A jest tutaj dzisiaj matka Marcusa?

- Mmm... - Will zerknął w prawo i lewo, jakby się upewniał. - Nie.

I to nie było kłamstwo! Nigdzie tu nie było matki Marcusa.

- Więc nie spędzacie razem sylwestra? - spytała Rachel, marszcząc brwi i patrząc wzdłuż nosa dla podkreślenia, iż zdaje sobie sprawę z wagi tego pytania.

- Nie. My... nie żyjemy razem.

Owe półprawdy stopniowo coraz bardziej oddalały się od jawnego kłamstwa, a zbliżały do niedomówienia, gdyż nie tylko nie żył teraz z Fioną, ale nie żył też nigdy przedtem i nie zamierzał żyć w przyszłości.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. A ojciec Alego?

- Nie ma go tutaj, ani w mieście, ani w kraju. Kiedy wyjeżdża, zostawia mi numer telefonu.

- Rozumiem.

Rozmowa weszła w nowe stadium. Zanim zagrał kartą "Marcus", pozostawał na dobrą sprawę w miejscu. Teraz miał wrażenie, że staje przed nim bardziej wspinaczka skalna niż marsz po lodowcu. Trzeba było rozejrzeć się za następnym stopniem.

- A gdzie jest teraz?

- W Stanach. W Kalifornii. Wolałabym może Australię, ale i tak dobrze, że to Zachodnie Wybrzeże.

Miał przed sobą dobrych pięćdziesiąt siedem wariantów kontynuacji tej rozmowy, ale znał ogólny kierunek i wiedział, jak się posuwać. Przez ostatnie półtorej dekady nie dokonał może niczego szczególnego, niemniej jednak wiedział, jak cmokać ze współczuciem, gdy niewiasta mówiła, jak wstrętny był jej eks. Miało to jeszcze tę niewątpliwą zaletę, iż niepodobna było uznać, że kogokolwiek wprowadza w błąd. Wedle standardów ROSR historia Rachel była typowa: nienawidziła byłego męża za to, czym był, a nie za jakiś konkretny postępek.

- To po jaką cholere miałas z nim dziecko? Był pijany, rozluźniony, kończył się stary rok. Roześmiała się.

- Dobre pytanie. I bez odpowiedzi. Zaczynasz inaczej patrzeć na ludzi. A jak ma na imię matka Marcusa?

- Fiona.

Co było prawdą.

- Zaczęłaś inaczej ją odbierać?

- Raczej nie.

- Więc co się stało?

- Czyja wiem.

Wzruszył ramieniem i jakoś udało mu się wyprodukować minę człowieka nadal trwającego w stanie osłupienia. I słowa, i zachowanie wyrosły z niejakiej desperacji, ale, o dziwo, podziałały.

Rachel uśmiechnęła się i przyjrzała końcowi noża.

- "Czyja wiem" to chyba najuczciwsza odpowiedź. Bo i ja musiałabym skłamać, gdybym chciała powiedzieć coś innego.

O północy odszukali się i pocałowali gdzieś pomiędzy policzkiem a ustami, co było niejednoznaczne i obiecujące. Zanim Rachel oddaliła się koło pierwszej, postanowili, że trzeba się umówić, aby ich dwunastolatki mogli wymienić opinie na temat deskorolek, czapeczek baseballowych i świątecznego odcinka Simpsonów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Ellie była u Suzie na zabawie sylwestrowej. Marcus w pierwszej chwili pomyślał, że to tylko ktoś podobny do Ellie, kto na dodatek nosi bluzę z Kurtem Cobainem, wtedy jednak Ellie dostrzegła go, wykrzyknęła: "Marcus!", podbiegła, objęła i pocałowała w czoło, co rozwiało wątpliwości.

- Co tu robisz? - spytał.

- Zawsze tu jestem na sylwestra - odpowiedziała. - Suzie jest dobrą przyjaciółką mojej mamy.

- Nigdy cię tu nie widziałem.

- A byłeś tu kiedyś na sylwestra?

To prawda. Często odwiedzał Suzie, ale nigdy nie było to z okazji jakiegoś przyjęcia. Dopiero teraz mama mu na to pozwoliła. Dlaczego zawsze musiał przy Ellie powiedzieć coś głupiego?

- A która to jest twój a mama?

- Lepiej nie pytaj.

- A dlaczego?

- Bo teraz tańczy.

W kącie, gdzie zwykle stał telewizor, tańczyła mała grupa. Były tam trzy kobiety i jeden mężczyzna, ale tylko jedna osoba sprawiała wrażenie, iż się bawi: potrząsała włosami i tak machała rękami, jakby boksowała powietrze. Jeśli Marcus odgadł, że to matka Ellie, to nie z racji podobieństwa - nikt nie był podobny do Ellie, a już szczególnie nikt z dorosłych, kto bowiem przystrzygłby sobie włosy nożyczkami i pomalował wargi na czarno? - ale z tej przyczyny, że Ellie była wyraźnie zażenowana, a tylko ta tancerka mogła wprawić kogoś w zażenowanie. Inni tancerze sami byli zakłopotani, robili niewiele więcej poza

przytupywaniem, a o tym, że tańczą, świadczył fakt, iż byli zwrócenii do siebie twarzami, chociaż nie rozmawiali ze sobą, a nawet nie patrzyli sobie w oczy.

- Chciałbym umieć tak tańczyć - powiedział Marcus. Ellie wydeła wargi.

- Tak to każdy potrafi. Wystarczy nie myśleć i mieć gównianą muzykę.

- A mnie się podoba. Dobrze się bawi.

- A kogo to obchodzi, czy się dobrze bawi, czy nie. Chodzi o to, że wygląda na kompletną kretynkę. - To co, nie lubisz swojej mamy?

- Spoko, jest OK.

- A tata?

- Też jest OK. Tyle że nie mieszkają razem.

- Żałujesz?

- Nie. Chociaż może czasami. Nie chcę o tym rozmawiać. No, Marcus, dobry był dla ciebie ten dziewięćdziesiąty trzeci?

Marcus po chwili zastanowienia uznał, że to był bardzo kiepski rok. Mógł go porównać ledwie z dziesięcioma czy jedenastoma latami, z których zresztą trzech czy czterech i tak by raczej nie zidentyfikował, trudno jednak przypuścić, by ktokolwiek cieszył się z dwunastu miesięcy takich, jakich on doświadczył. Zmiana szkoły, szpital mamy, nowi koledzy... Wszystko bez sensu.

- Nie.

- Musisz się napić - powiedziała Ellie. - Co chcesz? Przyniosę ci, a potem mi opowiesz, ale jak będziesz przynudzał, to sobie pójdę.

- OK.

- To co pijesz?

- Colę.

- To musi być prawdziwy drink.

- Nie wolno mi.

- Ja ci pozwalam. Ustalamy, że na ten wieczór jesteś moim chłopakiem i chcę, żebyś miał porządnego drinka. Należę ci coś do coli. OK?

- OK.

Ellie zniknęła, a Marcus rozejrzał się za mamą; rozmawiała z jakimś mężczyzną, szczerze się przy tym śmiejąc. Bardzo go to ucieszyło, gdyż lękał się tego wieczoru. Will kazał mu uważać na matkę, a chociaż dokładniej tego nie wyjaśnił, Marcus wiedział dlaczego: wiele nieszczęśliwych osób zabijało się ostatniego dnia roku. Widział to w jakimś programie, może w Casualty, dlatego też postanowił, że ukradkiem będzie ją obserwował, tak aby w oczach, gestach czy słowach dostrzec zapowiedź nowej katastrofy, ale nic takiego nie nastąpiło. Podobnie jak wszyscy inni śmiała się, coraz bardziej podchmielona. Czy zdarzyło się, by ktoś popełnił samobójstwo kilka godzin po tym, jak zaśmiewał się wniebogłosem? Sądził, że raczej nie. Kiedy się śmiałeś, byłeś o mile od takich decyzji i w ogóle cała ta sprawa wydawała mu się teraz bardzo odległa. Od Dnia Martwej Kaczki samobójcza próba wydawała mu się czymś w rodzaju skraju przepaści - kiedy mama wyglądała na smutną czy roztargnioną, miał wrażenie, iż podsuwali się nazbyt blisko krawędzi, ale w takie dni jak Boże Narodzenie czy dzisiejszy czuł się, jakby jechali środkowym pasem autostrady. A tamtego dnia dwa koła zawisły nad urwiskiem i strasznie piszczały hamulce.

Ellie przyniosła plastikowy kubek z czymś, co wyglądało jak cola, ale inaczej pachniało.

- Co to?

- Sherry.

- To się pije? Colę z sherry?

Spróbował ostrożnie: smaczne, słodkie, gęste, rozgrzewające.

- To dlaczego rok był do dupy? Mnie możesz powiedzieć Cioteczka Ellie wszystko zrozumie.

- Sam nie wiem... Straszne rzeczy się działy.

Nie chciał mówić Ellie dokładniej, bo nie wiedział, czy naprawdę przyjaciółmi. Z nią wszystko mogło potoczyć się różnie: mogła być fajna i dyskretna, ale z drugiej strony, kto zaręczy że nie wejdzie do klasy i od progu wszystkiego głośno obwieści? Nie warto ryzykować.

- Twoja mama próbowała się zabić, nie?

Marcus zerknął na nią, pociągnął duży łyk i mało nie zwrócił go na stopy Ellie. Rozkaszlał się, a kiedy udało mu się skierować sherry na powrót do żołądka, odrzekł:

- Nie.

- Na pewno?

- Nie. Tak. To znaczy nie udało się. Wiedział, że zabrzmiało to głupio, i zaczerwienił się, ale Ellie wybuchnęła śmiechem. Już zapomniał, jak bardzo rozśmiesz Ellie, i przepełniała go radość.

- Prze... przepraszam, Marcus, wiem, że to poważna sprawa, ale ty jesteś taki śmieszny.

Także i on zaczął chichotać: wydobywało się z niego cichej gulgotanie, pełne smaku sherry.

Nigdy dotąd nie rozmawiał poważnie z kimś w swoim wieku. Na serio rozmawiał oczywiście z mamą, tatą, poniekąd z Willem, bo z dorosłym tak się właśnie rozmawiało, a i tak trzeba było uważać, co się mówi. Tymczasem okazywało się, że łatwiej rozmawiać z Ellie, chociaż: a) była dziewczyną; b) była starsza | od niego; c) trochę go peszyła.

Wiedziała o samobójstwie od dawna, gdyż podsłuchiwała rozmowę swojej mamy z Suzie, chociaż dopiero później skojarzyła tę opowieść z Marcusem.

- I wiesz, co wtedy pomyślałam? Wiem, że to teraz zabrzmiało okropnie, ale to było coś takiego: „Jak chce się zabić, to dlaczego jej nie pozwolą?”

- Ale ma jeszcze mnie.

- Wtedy nie wiedziałam.

- No dobra, ale powiedz, czy by ci się podobało, gdyby to twoja mama się zabiła?

- Co? W ogóle by mi się nie podobało, bo ją lubię, ale wiesz, to w końcu jej życie.

Marcus zastanowił się nad tym. Nie był pewien, czy to życie jego mamy czy nie.

- A jak sama będziesz miała dzieci? To już nie będzie tylko twoje życie, co?

- Ale przecież masz jeszcze ojca, nie? On by się tobą zajął.

- Tak, ale...

W tym, co mówiła Ellie, było coś nie w porządku. Zupełnie jakby chodziło o to, że mama może na przykład umrzeć na gripę, a wtedy zastąpi ją ojciec.

- Zobacz, jakby ci się zabił ojciec, nikt by nie powiedział: "O kurczę, przecież powinien się zajmować synem!" Ale jak zrobi to kobieta, ludzie zaraz się oburzają. To nie fair.

- To tylko dlatego, że z nią mieszkam. Jakbym mieszkał z tatą, także nie byłoby to tylko jego życie.

- Przecież z nim nie mieszkasz. Ile nas jest? W szkole chyba z milion dzieci, których rodzice nie mieszkają z sobą, a kto z nich został z ojcem?

- Stephen Wood.

- OK. Stephen Wood. Punkt dla ciebie.

Mówili wprawdzie o okropnych rzeczach, ale Marcusowi podobała się ta rozmowa. To zupełnie jakbyś mógł obejrzeć sprawę od innej strony, co nigdy się nie zdarzało, jak pytało się po prostu: "Oglądałeś wczoraj Top of the Pops? Nad czym tu się zastanawiać? Mówiłeś "tak" albo "nie" i po wszystkim. Zaczynał rozumieć, dlaczego mama wybierała sobie znajomych i nie zaprzyjaźniała się od razu z każdą nowo poznaną osobą ani też nie nawiązywała bliższych kontaktów tylko dlatego, że ktoś lubił tę samą drużynę futbolową czy podobnie się ubierał (a

tak najczęściej było w szkole). Z Suzie mama na pewno prowadziła takie właśnie rozmowy, gdy każda rzecz, którą powiedziała druga osoba, ukazywała ci coś nowego.

Chciał podtrzymać tę rozmowę, ale nie bardzo wiedział jak, bo to dzięki Ellie wszystko tak zaiskrzyło. Może i dobrze odpowiadał, nie miał jednak pojęcia, jakie stawiać pytania, a nie przypuszczał, by starczyło mu sprytu, aby powiedzieć coś takiego, co da jej podobną jak jemu korzyść. Budziło to w nim strach, gdyż byłoby znacznie lepiej, gdyby występowali na tym samym poziomie, ale do tego pewnie nigdy nie dojdzie, bo ona zawsze będzie od niego starsza. Może kiedy on będzie miał trzydzieści dwa lata, a ona trzydzieści pięć, przestanie to już mieć aż takie znaczenie, ale w tej chwili miał poczucie, że jeśli w ciągu najbliższych kilku minut nie powie czegoś błyskotliwego, to Ellie zostawi go samego na resztę wieczoru, a co dopiero mówić o następnych dwudziestu latach. Chociaż więc wszystko w nim wzdragało się przed tym pytaniem, to jednak je postawił, gdyż bał się, że w przeciwnym razie za chwilę zobaczy Ellie rozmawiającą z kimś innym.

- Chcesz zatańczyć, Ellie?

Popatrzyła na niego oczyma szerokimi ze zdumienia.

- O rany, Marcus! - Wybuchnęła głośnym śmiechem. Ty to jesteś! Pewnie, że nie! Nie wiem, czy potrafiłabym w tej chwili wymyślić coś gorszego!!!

Powinien był natychmiast postawić jakieś dobre pytanie, o Kurta Cobaina czy politykę, tyle że Ellie zniknęła na dymka, poszedł więc poszukać mamy. O północy Ellie go odnalazła i uściskała, wiedział więc przynajmniej, że chociaż jest głupi, to nie na tyle, żeby nie można mu było tego wybaczyć.

- Szczęśliwego Nowego Roku, kochanie! - powiedziała, a on się zaczerwienił.

. - Dzięki! I żeby dla ciebie był szczęśliwy!

- Żeby ten dziewięćdziesiąty czwarty był lepszy dla nas wszystkich od dziewięćdziesiątego trzeciego. Ej, chcesz zobaczyć coś naprawdę obrzydliwego?

Marcus nie był pewien, czy na pewno chce, ale Ellie nie zostawiła mu wyboru, gdyż chwyciła go za rękę i przez tylne drzwi pociągnęła do ogrodu. Usiłował się dowiedzieć, dokąd idą, ale go uciszyła.

- Ciiii! Popatrz - wyszeptła.

Usiłował dostrzec coś w ciemności. Dwie osoby namiętnie się całowały; mężczyzna przyciskał kobietę do ogrodowej altanki, a jego ręce wędrowały po całym jej ciele.

- Kto to? - szepnął Marcus.

- Moja mama i taki jeden, Tim Porter. Upiła się. Robią to co roku i zupełnie nie rozumiem, po co ona odstawia potem takie szopki. Budzi się rano i mówi: "Oj, chyba znowu wyszłam w nocy z Timem Porterem". Ohyda! OHYDA!

Ostatnie słowo krzyknęła na cały głos, tak że nie sposób było jej nie usłyszeć. Matka Ellie odepchnęła Portera i popatrzyła w ich kierunku.

- Ellie? To ty?

- Powiedziałaś, że tym roku nie będziesz z nim tego robiła.

- To nie twój interes, co robię. Wracaj do środka.

- Nie.

- Rób, co ci każę.

- Nie. Jesteś żalosna. Czterdzieści trzy lata, a obmacujesz się w ogrodzie.

- Mogę raz w roku zachować się tak, jak ty przez pozostałych trzysta sześćdziesiąt cztery dni. I nie przeszkadzaj mi. Wracaj!

- Chodź, Marcus. Niech sobie to STARE PUDŁO robi, co jej się podoba.

W ślad za Ellie Marcus wrócił do domu. Nigdy nie widział, by jego mama tak się zachowywała, i nawet nie potrafił sobie tego wyobrazić, ale innym matkom widocznie się to przydarzało.

- Bardzo się tym przejmujesz? - spytał Ellie, gdy byli już w środku.

- Nie, bo niby czym? Niech ma chociaż na sylwestra trochę radochy.

Chociaż, mimo wojowniczych okrzyków, Ellie się tym nie przejęła, to przejął się Marcus. Nie potrafiłby tego nawet wypowiedzieć. Coś takiego było zupełnie niemożliwe w Cambridge, zastanawiał się jednak, czy dlatego, że Cambridge to nie Londyn, czy też dlatego, że jego rodzice mieszkali wtedy razem, więc i życie było prostsze: żadnego obściskiwania się z kimś obcym na oczach dziecka i wykrzykiwania obraźliwych słów pod adresem matki. Tutaj nie było żadnych reguł, a przynajmniej tyle już wiedział, że tam, gdzie nie ma reguł, wszystko się komplikuje.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

- Nic nie rozumiem - oznajmił Marcus.

Razem z Willem szli pograć na automatach na Angel, a potem mieli odwiedzić Angel Funhouse, którego epileptyczne światła, zawodzące syreny, eksplozje i wyskakujące postacie wydawały się dostatecznie widmową scenografią dla trudnej rozmowy, która czekała Willa. Chodziło o to, by zmiękczyć Marcusa i wycisnąć z niego małe "tak".

- A co tu rozumieć?

Prawdę mówiąc, wiele tu było rzeczy niezrozumiałych, i to szczególnie z punktu widzenia Marcusa.

- Dlaczego jej powiedziałaś, że jesteś moim ojcem?

- Niczego jej nie mówiłem, sama jakoś tak uznała.

- To dlaczego jej nie powiedziałaś: "Bardzo przepraszam, ale to nie tak"? Przecież by się nie obraziła. Bo co ją to obchodzi, czy jesteś moim ojcem, czy nie.

- Nigdy ci się nie zdarzyło, że ktoś w rozmowie coś sobie wyobrazi, a potem już trudno mu powiedzieć, że się myli? Powiedzmy, ktoś myśli, że masz na imię Mark, i tak cię wita za każdym razem, a ty sobie myślisz: "Cholera, teraz nie mogę mu powiedzieć, że nazywam się Marcus, bo byłoby mu głupio, że przez pół roku mylił moje imię".

- Pół roku!

- Czy ile by to tam trwało.

- Od razu za pierwszym razem bym mu powiedział.

- Nie zawsze da się to zrobić.

- Ale dlaczego ma się nie dać, kiedy ktoś przekreśla twoje imię?

- Bo...

Will znał takie sytuacje z własnego doświadczenia. Jeden z sąsiadów, miły starszy pan, lekko przygarbiony, mający okropnego teriera, nazywał go Billem i najpewniej tak już zostanie aż do śmierci. Willa to irytowało, w najmniejszym bowiem stopniu nie poczuwał się do bycia Billem. Niepodobna, żeby Bili palił jointy i słuchał Nirvany. Dlaczego więc pozwalał, by to nieporozumienie trwało? Dlaczego cztery lata temu nie powiedział: "Przepraszam, ale na imię mam Will"? Marcus miał oczywiście rację, ale z posiadania racji niewiele wynika, jeśli cała reszta świata się myli.

- Tak czy owak - ciągnął tonem, który sugerował, żeby nie tracić czasu na bezpłodne dywagacje - ona uważa, że jesteś moim synem.

- To powiedz jej, że nie jestem.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- O rany, Marcus, czy musimy ciągle do tego wracać? Dlaczego nie możesz tego przyjąć po prostu jako fakt?

- Jeśli ty nie możesz, to ja jej powiem. Mnie to rybka.

- Miło, że proponujesz, Marcusie, ale to nie będzie dobre rozwiązanie.

- Dlaczego?

- Chryste Panie! Bo ma taką rzadką chorobę, że kiedy coś jej się przywidzi, a ty ją poprawisz, to mózg zaczyna jej się gotować i może umrzeć.

- Jak ci się wydaje, ile mam lat, że mi wstawiasz takie kity? Cholera. Przez ciebie straciłem jedno życie.

Will zaczynał dochodzić do wniosku, że wbrew swemu przekonaniu nie jest dobrym łgarzem. Kłamał z entuzjazmem, ale entuzjazm to nie to samo co skuteczność i oto teraz znalazł się w sytuacji, gdy z powodu niewinnej półprawdy musiał się zniżyć do upokarzającej prawdy. Dobry łgarz nigdy by się nie znalazł w takiej sytuacji; już dawno przekonałby

Marcusa, że jest tysiąc i jeden dobrych powodów, aby udawał syna Willa, ten jednak widział już tylko jeden.

- Marcus, posłuchaj. Bardzo mnie interesuje ta osoba, a wydawało mi się, że jeśli coś w ogóle może ją zainteresować we mnie, to to, że jesteś moim synem. Więc tak powiedziałem. Przepraszam. I przepraszam, że od razu tak ci nie przedstawiłem sprawy.

Marcus zmarszczył nos, gdyż na ekranie właśnie unicestwiał go stwór będący połączeniem Robocopa i Godzilli. Pociągnął długi łyk coli i ostentacyjnie beknął.

- Nic z tego nie rozumiem - powtórzył.

- Daj spokój. Już to przerabialiśmy.

- Co to znaczy, że cię interesuje? Co w niej takiego ciekawego?

- No... - Will jęknął zrozpaczony. - Marcus, pozwól mi zachować chociaż odrobinę godności. Nie żądam wiele, tylko mały skrawek godności.

Marcus rzucił mu spojrzenie, jakby Will zniecierpliwiony zaczął mówić w urdu.

- A co ma godność do tego, że ona cię interesuje?

- W porządku, dajmy sobie spokój z godnością. Może istotnie nie zasługuję na żadną. Ona mi się podoba. Chciałbym z nią chodzić. Chcę, żeby została moją dziewczyną.

Nareszcie Marcus oderwał na dłużej wzrok od ekranu. Will dojrzał w jego oczach fascynację i radość.

- Naprawdę?

- Tak.

Naprawdę, naprawdę! Od początku roku nie myślał o niczym innym (temat zresztą nie był szczególnie rozbudowany: imię, niejasne wspomnienie długich ciemnych włosów i wiele przelotnych durnych wizji: pikniki, dzieci, ofiarne teściowe, szerokie hotelowe łóżka), z prawdziwą więc radością mówił teraz komuś o Rachel, nawet jeśli tym kimś był Marcus, a słowa nie całkiem odpowiadały jego myślom. Chciał, żeby Rachel została jego żoną,

kochanką, centrum całego świata, podczas gdy słowo "dziewczyna" sugerowało, że będzie się z nią widywał od czasu do czasu, a pomiędzy tymi chwilami będzie wiódł niezależną egzystencję, czego wcale nie chciał.

- Skąd wiesz?

- Skąd wiem co?

- Skąd wiesz, że chcesz, żeby została twoją dziewczyną?

- Jakby to... Po prostu tak czuję. Gdzieś w trzewiach.

Bo istotnie tam czuł. Nie w sercu, nie w głowie, nawet nie w kroczu; to trzewia natychmiast tak się ścisnęły, że nie chciały przyjmować nic ponad dym papierosowy. Jeśli się do niego ograniczy, bardzo straci na wadze.

- I widziałeś ją tylko raz? W sylwestra?

- Tak.

- I to już wystarczy? Od razu pomyślałeś, że chciałbyś taką dziewczynę? Dasz mi jeszcze pół funta?

Will z roztargnieniem wręczył Marcusowi monetę jednofuntową. To prawda, że coś stało się z nim natychmiast, tam na miejscu, ale wielkie znaczenie miała uwaga Roberta, do którego zadzwonił dwa dni później, aby powiedzieć, że przyjęcie było świetne. "Spodobałeś się Rachel". Słowa te sprawiły, że zaczął śnić na jawie, a chociaż nie była to solidna podstawa, aby budować na niej przyszłość, Willowi nie trzeba było więcej. Nawet sugestia wzajemności natychmiast rozplomieniła wyobraźnię.

- A co? Jak długo, twoim zdaniem, powinienem się z nią wcześniej spotykać?

- Nie jestem raczej ekspertem w tej dziedzinie. - Willa rozśmieszyło to sprytnie użycie przez Marcusa frazy, a także specyfika sytuacji, w jakiej została wykorzystana. Każdy, kto przysłuchiwałby się tej rozmowie, prędzej za eksperta uznałby dwunastolatka. - Ja, kiedy poznałem Ellie, wcale nie chciałem, żeby była moją dziewczyną. To przyszło dopiero później.

- To, powiedziałbym, dowód dojrzałości. - Informacja o Ellie była prawdziwą niespodzianką dla Willa i nagle zrozumiał, że to w tym kierunku sterowali od samego początku. Chcesz, żeby Ellie była twoją dziewczyną?

- Tak.

- A nie po prostu koleżanką?

- No właśnie. - Marcus wrzucił monetę i uruchomił automat. - Chciałem cię zapytać, na czym właściwie polega różnica.

- Zabawny jesteś, Marcusie.

- Wiem, wszyscy mi to powtarzają, aleja się nie przejmuję. To teraz mi odpowiedz.

- OK. Czy masz ochotę jej dotknąć? To pierwsza kwestia. Marcus tak się skupił na likwidacji potwora, że można by pomyśleć, że nie usłyszał pytania.

- No?

- Nie wiem, właśnie się zastanawiam. Co dalej?

- Nic. To właśnie to.

- Cała różnica?

- Powiedzmy. Słyszałeś przecież o seksie, nie? To naprawdę poważna kwestia.

- Wiem, nie jestem idiotą. Ale nie mogę uwierzyć, że nie chodzi o nic więcej. O cholera! - Marcus stracił kolejne życie. - Rozumiesz, nie jestem pewien, czy chcę ją dotykać, czy nie, ale wiem, że chcę, żeby była moją dziewczyną.

- W porządku, w takim razie co chciałbyś zmienić?

- Chcę więcej z nią być. Chyba chciałbym cały czas, a nie tylko jak wpadniemy na siebie. A, i chciałbym pozbyć się Zoe. Zoe jest całkiem fajna, ale wolałbym mieć Ellie tylko dla siebie. Chciałbym też jej pierwszej mówić o wszystkim, a nie mamie. No i żeby nie miała

innego chłopaka. Jakby było to wszystko, to chyba byłoby mi obojętne, czy jej dotykam, czy nie.

Will potrząsnął głową i zrobił gest, który umknął Marcusowi, gdyż ten nie odrywał oczu od ekranu.

- Zobaczysz, Marcusie, to się jeszcze zmieni.

Później jednak, już w domu, kiedy słuchał takiej muzyki, jaką preferował w podobnych momentach, muzyki wyszukującej w nim bolące miejsce i uparcie je podrażniającej, przypomniało mu się to, co Marcus wyliczył jako najważniejsze. Tak, z pewnością chciał dotykać Rachel (najniewątpliwiej wiązały się z tym wizje szerokiego łóża hotelowego), ale w tym momencie zadowoliliby się nawet tym, co wymienił Marcus.

Rozmowa przy automatach przynajmniej wytworzyła atmosferę wzajemności: poczynili wyznania o tym, czego pragnęli, a ich chęci gdzieś się pokrywały, aczkolwiek ich obiekty były wyraźnie odmienne. Opis Marcusa nie pozwolił Willowi wyrobić sobie wyraźnego obrazu Ellie - miał jakąś wizję chmury gniewnej energii z czarną szminką, czegoś pomiędzy wokalistką Siouxsie and the Banshees i Roadrunners - był jednak pewien, że z całą pewnością nie mogłaby uchodzić za rodzoną siostrę Rachel. Głównie za sprawą owej wspólnoty interesów udało się jakoś przekonać Marcusa, że okazałby się skrajnie niełojalny, a może nawet zagroził realizacji własnych pragnień, gdyby nie zgodził się wystąpić jako syn Willa. Z łomoczącym sercem Will zadzwonił do Rachel i zaprosił ją z synem na sobotni obiad. Marcus zjawił się u niego tuż po dwunastej, w obwisłej bluzie, prezentowanej mu na Boże Narodzenie przez Fionę, i w kanarkowych spodniach sztruksowych, które uroczo mogłyby wyglądać najwyżej na czterolatku. Will miał na sobie ulubioną koszulkę od Paula Smitha i czarną skórzaną kurtkę, w której, jak mniemał, był trochę podobny do Matta Dillona z Drugstore Cowboy. Zdaniem Willa, Marcus ostentacyjnie zamierzał się odciąć od jego dandysostwa, aby podkreślić własną niezależność. Dlatego też Will stłumił uczucie dumy i zignorował przemożne pragnienie zabrania "syna" na zakupy.

- Co powiedziałaś mamie? - spytał w samochodzie, gdy jechali do Rachel.

- Że chciałeś mi pokazać swoją nową dziewczynę.

- I przyjęła to spokojnie?

- Nie. Uważa, że zwariowałaś.
- Wcale się nie dziwię. Po co miałbym ci pokazywać swoją nową dziewczynę?
- A po co miałbyś mówić nowej dziewczynie, że jestem twoim synem? Następnym razem możesz wymyślić jakieś inne wyjaśnienie, jak to ci się nie podoba. Posłuchaj, mam dla ciebie parę pytań. Ile ważyłem po urodzeniu?
- Nie wiem. To ty się rodziłeś.
- Tak, ale powinieneś wiedzieć, co nie? Jak już masz być moim ojcem.
- No, ale od czasu urodzin upłynęło już trochę czasu, prawda? Gdybyś miał dopiero dwanaście tygodni, to co innego, ale dwanaście lat?
- Dobra, kiedy mam urodziny?
- Marcus, ona nie podejrzewa, że nie jesteśmy ojcem i synem. Nie będzie wypytywać o takie detale.
- A jak do tego dojdzie? Załóżmy, że powiem: "Tata obiecał mi nowe Nintendo na urodziny", a ona do ciebie: "Którego to jest?"
- Dlaczego miałaby pytać mnie, a nie ciebie?
- Ale załóżmy.
- OK, kiedy masz urodziny?
- Dziewiętnastego sierpnia.
- Zapamiętam, obiecuję. Dziewiętnastego sierpnia.
- A co najbardziej lubię jeść?
- Powiedz mi.
- Makaron z pieczarkami i sosem pomidorowym, jaki robi mama.

- Jasne.

- Gdzie po raz pierwszy pojechałem za granicę?

- Nie wiem. Grenoble? Marcus prychnął ze wzgardą.

- Phi. Po co miałbym tam jechać? Do Barcelony.

- Dobra, już pamiętam. Barcelona, - A kim jest moja mama?

- Słucham?

- Kim jest moja mama?

Pytanie było tak fundamentalne, że Will na chwilę poczuł się zbity z pantałyku.

- No... twój ą mamą.

- Byliście małżeństwem, a potem rozwiedliście się.

- Niech będzie.

- A czy żałuję tego? Albo ty?

Nagle uderzyła ich absurdalność tego pytania i Marcus zachichotał. Było to wysokie popiskiwanie, niepodobne do żadnego z dźwięków wydawanych przez istotę ludzką, ale, jak się okazało, bardzo zaraźliwe. Will także zaniósł się chichotem.

- Ja nie żałuję. A ty? - wystękał wreszcie. Ale Marcus nadal nie był w stanie odpowiedzieć z powodu śmiechu.

Już pierwsze zdanie Rachel sprawiło, że rozsypała się cała misterna konstrukcja ich wspólnej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

- Cześć. To Will, a to... Mark, tak?

- Marcus - powiedział chłopak i znacząco szturchnął Willa.

- No to wchodźcie i poznajcie Alego.

Will pamiętał dokładnie wszystko, co Rachel opowiedziała mu tamtego wieczoru o sobie. Pamiętał tytuły książek, które ilustrowała - chociaż nie pamiętał, czy pierwsza nazywała się Droga do lasu czy Droga przez las, będzie musiał sprawdzić imię jej eks - męża, gdzie teraz był, co zrobił i tak dalej. Niepodobna, żeby nie zapamiętał imienia Ali, Alistaire; bo to byłoby tak, jak zapomnieć, kiedy Anglia zdobyła piłkarskie mistrzostwo świata albo jak się nazywał prawdziwy ojciec Luke'a Skywalkera. Nawet gdybyś próbował, to takich rzeczy się nie zapomina. Ona tymczasem zapomniła imię jego syna - Mark, Marcus to dla niej wszystko jedno - a to wyraźnie dowodziło, że ostatnich dziesięciu dni bynajmniej nie spędziła bezsennie na wspomnieniach i wyobrażeniach. Był załamany. Właściwie mógł już ogłosić kapitulację. To były dokładnie te uczucia, których się obawiał i z powodu których uważał, iż zakochanie to nieszczęście, ale oto i niespodzianka: nieszczęście - nieszczęściem, ale za późno już na żale!

Rachel mieszkała przy Camden Lock, w wąskim wysokim domu, pełnym książek, starych mebli i sepiowych fotografii, przedstawiających romantycznych i dramatycznych przodków z Europy Wschodniej. Przez chwilę Will poczuł wdzięczność dla warunków sejsmicznych północnego Londynu, dzięki którym ich mieszkania nigdy się nie spotkają. Dom Rachel był ciepły i gościnny, jego - zimny i cool, co teraz przeppełniło go wstydem.

- Ali! - zawołała w kierunku schodów. - ALI! - Popatrzyła na nich obu i wzruszyła ramieniem. - Pewnie ma słuchawki na uszach. Pójdziemy na górę?

- Nie będzie miał nic przeciwko temu? - Will w wieku dwunastu lat miałby co nieco przeciwko temu, z powodów, o których niekoniecznie chciał pamiętać.

Drzwi do sypialni Alego nie miały żadnych znaków szczególnych: nic w rodzaju czaszek, puszczeli, napisów: "Nie wchodzić!", graffiti; wewnątrz jednak nie pozostawiało żadnych wątpliwości, że właściciel na początku roku 1994 znajduje się w trudnej fazie przejściowej między dzieciństwem a młodością. Wszystko tam było: plakaty z Ryanem Giggssem, Michaeliem Jordanem, Pamelą Anderson, Super Mario... Przyszły historyk cywilizacji j bezbłędnie określiliby czas i pochodzenie znaleziska z dokładnością do dwudziestu czterech godzin. Will zerknął na Marcusa, który wyglądał na oszołomionego. Postawienie Marcusa przed plakatami z Ryanem Giggssem i Michaeliem Jordanem równało ustawieniu przeciętnego dwunastolatka przez portretami Tudorów w National Portrait Galler).

Sam Ali ze słuchawkami uszach siedział zgarbiony przed komputerem, nieświadom, że ma gości. Kiedy matka klepnęła go po ramieniu, podskoczył.

- Ach, sorry.

Wstał, a Will natychmiast zrozumiał, że nic z tego nie będzie.

Ali był cool: sportowe buty, obwisłe spodnie skatowskie, postrzępione włosy w stylu grunge, kolczyk w uchu; zdawało się, że twarz mu trochę spochmurniała, kiedy spojrzał na bluzę Marcusa i kanarkowe sztruksy.

- Marcus - Ali, Ali - Marcus - dokonała prezentacji Rachel. Marcus wyciągnął dłoń, którą Ali uściskał z jakąś ironiczną ceremonialnością. - Ali - Will, Will - Ali - dokończyła formalności Rachel. Will uniósł tylko brwi w kierunku Alego, gdyż sądził, iż tamten może docenić brak wylewności.

- To co, chłopcy, zaznajomcie się przez chwilę - powiedziała Rachel i zaczęła wycofywać się z pokoju.

Marcus zerknął na Willa, a kiedy ten króciutko kiwnął głową, bąknął:

- Dobra.

W tej chwili Will go po prostu kochał.

Rachel i Will zeszli na parter, ale po dziesięciu minutach co było dla Willa wystarczającym czasem, by ujrzeć całą ich czwórkę wynajmującą na lato domek w Hiszpanii - rozległ się trzask drzwi wyjściowych. Rachel wyszła sprawdzić, co się stało, i po sekundzie była z powrotem.

- Obawiam się, że Marcus poszedł do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Marcus naprawdę chciał spróbować. Wiedział, że Willowi bardzo zależy na lunchu z Rachel, a przypuszczał też, że jeśli dobrze spisie się dzisiaj, Will może się poczuć zobowiązany, żeby mu jakoś pomóc z Ellie. Tyle że Ali nie dał mu najmniejszej szansy. Kiedy Will i Rachel zeszli na dół, patrzył na niego przez kilka sekund, a potem warknął:

- Nic, kurwa, z tego.

- Tak? - spytał Marcus, głównie, żeby zyskać na czasie, najwyraźniej bowiem coś umknęło jego uwagi...

- Powiem ci. Jak twój stary będzie się umawiał z moją matką, to masz, kurwa, przesrane. Mówię poważnie. Nie żyjesz.

- Ale on jest w porządku.

Ali spojrzał na niego jak na wariata.

- Gównu mnie obchodzi, czy jest w porządku. Nie chcę, żeby się dobierał do mojej starej. Nie chcę więcej widzieć tutaj ani ciebie, ani jego. Jasne?

- To nie bardzo zależy od mnie - powiedział Marcus.

- Lepiej niech zależy, bo inaczej cię zabiję.

- Mogę obejrzeć komputer? Jakie masz gry? Marcus wiedział, że zmiana tematu nie zawsze pomaga. Czasami tak, ale raczej nie wtedy, kiedy ktoś grozi, że cię zabije.

- Co ty, kurwa, głuchy jesteś?

- Nie, ale niby co mam zrobić. Mamy iść na lunch, a Will, to znaczy mój ta... stary, ale mówię do niego Will, rozmawia teraz z Rachel, to znaczy z twoją ma... starą...

- Nie musisz mi, kurwa, mówić, jak się nazywa moja stara!

- No więc rozmawiają tam na dole, ona mu się podoba, a kto wie, może i on ją zainteresuje...

- NIE ZAINTERESUJE! TYLKO JA JĄ INTERESUJĘ!!!

Marcus zaczynał podejrzewać, że ma do czynienia ze świrem, a nie bardzo wiedział, jak się w tej sytuacji zachować. Zastanawiał się, czy coś podobnego rozegrało się tu już kiedyś i czy dzieciak, którego to dotyczyło, gdzieś się tu znajduje - na przykład zakopany pod podłogą albo związany w szafie, gdzie raz na dzień dostaje resztki z kolacji Alego. Musiał zresztą ważyć góra czterdzieści funtów, skoro dał się gdzieś tu upchnąć, a mówił najpewniej językiem tylko dla siebie zrozumiałym, tak że rodzice nawet nie zauważyli jego braku.

Starannie rozważył możliwości. Najmniej atrakcyjna i zresztą najmniej prawdopodobna to zostać tutaj, spędzić jakiś czas z Alim, porozmawiać o tym i owym, pośmiać się, pograć na komputerze. To nie mogło nastąpić. Mógł zejść na dół i dołączyć do Rachel i Willa, ale ten najwyraźniej chciał, żeby został tutaj, a poza tym pojawienie się na parterze wymagałoby powiedzenia, że Ali jest psychem, gotowym odrąbać mu ręce i nogi, a to byłoby nieco kłopotliwe. Nie, najlepiej było zejść po cichutku, wymknąć się bezszelestnie i wrócić autobusem do domu. Jeszcze przez moment się zastanawiał, a potem dokładnie tak postąpił.

Will odnalazł go na przystanku. Poczucie kierunków miał nie najlepsze, stał więc po przeciwnej, niż należało, stronie ulicy i czekał na autobus, który wywiózłby go na West End, chyba więc dobrze się stało, że podjechał Will i kazał mu wsiadać do samochodu.

- Co ty wyrabiasz? - rzucił zagniewany.

- Coś zepsułem? - spytał Marcus, a potem dodał, jako że myśl ta nasunęła mu się pierwsza: - Ale i tak pomożesz mi z Ellie, co?

- Co tam się stało na górze?

- On ma nie po kolei w głowie. Powiedział, że mnie zabije, jak będziesz się z nią spotykał. Uwierzyłem mu, ale chyba każdy by uwierzył. To naprawdę groźny psychol. Gdzie jedziemy?

Padają, Camden pełne było samochodów i ludzi. Gdziekolwiek spojrzał, wszędzie widział mężczyzn i kobiety z długimi włosami w strąkach; wyglądali tak, jakby grali w Nirvanie albo innym zespole, który podoba się Ellie.

- Z powrotem do Rachel.

- Mowy nie ma.

- A jednak.

- Wyjdę przy niej na kretyna.

- Nie.

- Dlaczego?

- Przypuszczała, że może dojść do czegoś takiego. Mówi, że Ali czasami potrafi być trudny.

- Ha, ha, ha! - W śmiechu Marcusa nie było ani odrobiny wesołości. - Trudny? Zagroził, że mnie zwiąże, zamknie w szafie i będzie karmił raz na dzień.

- Tak powiedział?

- Może odrobinę krócej.

- A teraz płacze.

- Naprawdę?

- Szłocha jak trzylatek.

To natychmiast rozweseliło Marcusa. Z największą chęcią wracał do domu Rachel.

Jak się potem okazało, wyjście z domu było najlepszym rozwiązaniem, jakie Marcus mógł znaleźć. Gdyby wiedział, jak się wszystko skończy, zupełnie inaczej powitałby Willa na przystanku - pomachałby do niego, puścił oko i powiedział: "Pożyjemy, zobaczymy". Kiedy znaleźli się na powrót u Rachel, sytuacja zupełnie się zmieniła. Nikt nie udawał, że cała ta historia z lunchem jest tylko po to, żeby Ali i Marcus pograli sobie na komputerze.

- Ali chciałby ci coś powiedzieć, Marcusie - oznajmiła Rachel, gdy tylko stanęli w progu.

- Przepraszam, Marcus - chlipnął Ali. - Nie chciałem powiedzieć tego wszystkiego.

Marcus nie bardzo pojmował, jak można grozić komuś śmiercią niechcący, ale nie zamierzał rozwijać tego tematu. Widok łkającego Alego napełnił go wielkodusznością.

- W porządku, Ali.

- To teraz podajcie sobie ręce - zakomenderowała Rachel, co też zrobili, aczkolwiek dziwne to było uściśnięcie dłoni. Potrząsali nimi w górę i w dół, aż Will i Rachel wybuchnęli śmiechem, co zirytowało Marcusa. On dobrze wiedział, jak to robić, tylko ten idiota zaczął potrząsać.

- To trudna sytuacja dla Alego.

- Dla Marcusa także. Prawda, że tak samo to odbierasz?

- Co?

Odrobinę stracił wątek, zastanawiał się bowiem nad związkiem między łzami Alego i jego groźbami. Czy z faktu, że płakał, można było wnosić, że żaden z niego twardziel, czy też raczej był to psychol, który łkając, odrywałby ci jednocześnie głowę? Może cały ten płacz był tylko dla picu, a Marcus w istocie znalazł się w znacznie większym niż przedtem niebezpieczeństwie?

- No wiesz... Takie sytuacje.

- Tak. Dokładnie tak samo - stanowczo potwierdził Marcus. Z pewnością i tak rychło się okaże, o jakie konkretnie sytuacje chodzi.

- Wiesz, jeśli istnieje jakiś układ, każda nie znana osoba, która się pojawia, jest odbierana jako zagrożenie - podrzucił Will.

- Właśnie. A poprzedni facet... - Rachela stropiła się. Przepraszam, nie porównuję cię z... Nie chodzi o to, że my... Zaplątała się zupełnie.

- Nie ma sprawy - uśmiechnął się Will, a Rachel spojrzała na niego i odpowiedziała uśmiechem. Marcus nagle zrozumiał, dlaczego takie osoby jak Rachel czy Suzie mogły lubić Willa. Patrzył teraz tak, jak nigdy nie spoglądał na Marcusa; w jego wzroku była jakaś taka miękkość, która musiała działać na każdego. Słuchając rozmowy, Marcus zarazem usiłował naśladować to spojrzenie: trzeba nieco zmrużyć oczy i patrzeć dokładnie w twarz. Czy to się spodoba Ellie? Raczej mu przyłoży.

- W każdym razie poprzedni znajomy, z którym się spotykałam, nie bardzo widział w tym wszystkim miejsce dla Alego i skończyliśmy... Powiedzmy, że nie na przyjacielskiej stopie.

- Świr - zwięźle oznajmił Ali.

- Bardzo mi przykro, że wszystko się tak pokomplikowało - powiedziała Rachel. - Nie miałam pojęcia, że... Wiesz, podczas sylwestra miałam wrażenie... - Skrzywiła się. - To takie niezręczne, a wszystko przez ciebie, Ali. Lepiej w ogóle zostawmy ten temat.

- Nie ma sprawy - wtrącił się Marcus. - Podobasz mu się, sam mi powiedział.

- Robi ci się coś z oczami? - spytała Ellie.

- Nie wiem, może tak - odparł Marcus, gdyż za nic by się nie przyznał, że wypróbowuje na niej wzrok Willa.

- Może potrzebne ci nowe okulary?

- Może...

- To mogą być jeszcze mocniejsze? - spytała Zoe, nie ze złośliwości, a z czystej ciekawości.

Wracali ze szkoły, po drodze mieli wstąpić do kiosku, a nie rozmawiali o niczym szczególnym. Will i Rachel siedzieli naprzeciw siebie i mówili głównie o tym, jak się nawzajem lubią. Kiedy jednak szło się ulicą, wtedy Marcus, żeby wykonać "sztuczkę Willa, musiał patrzeć w bok, co sprawiało, że wyglądał dosyć dziwnie, ale co zrobić, skoro nigdy nie siadali z Ellie naprzeciw siebie. Spotykali się przy automacie albo - tak jak dzisiaj umawiali

się po szkole, żeby się trochę przejść. I jak się zachować? Jak spojrzeć komuś w oczy, skoro ciągle widzisz tylko uszy?

W kiosku pełno było uczniów, a właściciel darł się na niektórych i kazał wychodzić. To nie tak jak pan Patel, który nigdy nie krzyczał i nikogo nie wypraszał.

- Nigdzie nie idę - powiedziała Ellie. - Jestem klientką, a nie dzieckiem.

Oglądała gablotę ze słodyczami, stukaniem podkreślając, które lubiła najbardziej.

- W takim razie ty - zwrócił się sprzedawca do Marcusa. - Proszę na zewnątrz.

- Marcus, nie słuchaj - rzuciła Ellie. - On łamie prawa człowieka. Ponieważ jesteś młody, traktuje cię jak złodzieja. Można go za to pozwać do sądu.

- Nie, nie, poczekam na ulicy - oświadczył Marcus. - < I tak niczego nie chcę.

Wyszedł na zewnątrz i zaczął czytać ogłoszenia. "PANTERKI Z DEMOBILU", "PUMA NR 5 DLA STRIKERA! JESZCZE NIE ROZPAKOWANE!"

- Jesteś zboczony, Marcus!

Lee Hartley z kolegami. Ostatnio nie miał z nimi problemów, może dlatego, że przebywał głównie w towarzystwie Ellie i Zoe.

- Co?

- Założę się, że nie wiesz, co tu pisze.

Niezależnie od niegramatyczności, Marcus nie widział związku między jednym zdaniem a drugim; właśnie gdyby był zboczony, dobrze rozumiałby sens reklam. Mniejsza z tym, w takich sytuacjach nie należało przesadnie zwracać uwagi na drobiazgi. Jeden z kumpli Lee Hartleya ściągnął mu okulary i sam nałożył.

- O kurwa - powiedział. - Jasne, że nie wie, co się dzieje.

Chłopak rozejrzał się z udaną bezradnością, a potem z wyciągniętymi rękami zaczął sztywno kuśtykać to w jedną, to w drugą stronę, sugerując niedowład umysłowy właściciela szkieleł.

- Oddaj, bo ja bez nich prawie nic nie widzę - poprosił Marcus.

- Spierdalaj! - odrzekł kumpel Lee Hartleya. W drzwiach sklepu nagle pojawiły się Ellie i Zoe.

- E, kurdupel! - powiedziała Ellie. - Oddaj mu, bo inaczej zarobisz w dziób!

Tamten zwrócił okulary, ale i tak zarobił w dziób: Ellie walnęła go gdzieś pomiędzy nosem a okiem.

- Ale cię przerobiłam - powiedziała, a Zoe gruchnęła śmiechem. - A teraz spadajcie, zanim się naprawdę wkurwię.

- Zdziiry - rzucił Lee Hartley, ale zrobił to cicho i już w trakcie odwrotu.

- Dlaczego jak komuś przypieprzę, to jestem zdzira? zastanowiła się na głos Ellie. - Faceci są dziwni. No, może z wyjątkiem ciebie, Marcus. Ty też jesteś dziwny, ale inaczej.

Marcus jednak nie słuchał, bez reszty zachwycony Ellie - jej stylem, urodą i umiejętnością walenia w dziób.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Dwadzieścia cztery godziny później Marcus nadal cały się trząsł, a Will nie bardzo wiedział, jak do niego przemówić. Był zdania, że chłopak popełnia błąd, uznając, iż napaść Ellie na kumpla Lee Jakiegoś - tam świadczy o żarliwym uczuciu do Marcusa; raczej przeciwnie, osoba, której na ulicy muszą bronić dziewczyny, nie jest raczej atrakcyjna dla nikogo. Może jednak Will podchodził do tego nazbyt tradycyjnie; może sprawy tak teraz wyglądały, że dziewczyną warto się było zainteresować dopiero wtedy, gdy w twoim imieniu przygrzała komuś w oko. Tak czy siak, Will nigdy jeszcze nie widział Marcusa tak rozentuzjasmowanego.

- Ach, szkoda, że jej nie widziałeś!

- Chyba mogę sobie wyobrazić.

- Bach! W dziób! Marcus nie posiadał się z radości.

- W dziób. Jeśli tak chcesz to określić.

- Jest fantastyczna!

- Tak, ale widzisz... - Will czuł, że musi jakoś wyjaśnić Marcusowi, że jego status ofiary nie przyczynia się do powiększenia atrakcyjności erotycznej czy chociażby romantycznej, ale widział, że czeka go wyboista droga. - A jak ci się zdaje, co ona myśli w tym układzie o tobie?

- Jak to?

- Rozumiesz, to nie jest częsta sytuacja.

- Jasne i dlatego jest taka świetna.

- Nie byłbym taki pewien. Posłuchaj. Ellie raczej nie będzie uważała za swego chłopaka kogoś, komu zabierają okulary, kiedy wejdzie sobie kupić marsa, a potem ona musi odgrywać Jean - Clauda Van Damme'a.

- Kto to taki Jean - Claude Van Damme?

- Mniejsza z tym. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- To co mam zrobić? Zapisać się na karate?

- Chciałbym powiedzieć tylko tyle, że może sprawy między wami nie ułożą się tak, jakbyś chciał. Z mojego doświadczenia wynika, że romanse rozgrywają się trochę inaczej. Tutaj to raczej niańka i wychowanek niż dziewczyna i chłopak.

- I fajnie - oznajmił radośnie Marcus.

- Zaraz... Chcesz być traktowany jak dzieciak?

- Nie, pewnie, że nie. Ale najważniejsze, że bym był z nią.

Marcus powiedział to z takim przekonaniem i tak kompletnym brakiem próżności, że Will chciał przygarnąć go i mocno uścisnąć Will ani myślał odtwarzać z Rachel modelu Ellie - Marcus, a chociaż dostrzegał prostotę i niewinność pragnień Marcusa, jego własne nie były ani proste, ani niewinne. Postanowił, że musi nad tym popracować. Ellie przynajmniej wiedziała, kim i czym jest Marcus - który zresztą niewiele mógł w tym zmienić: dziwny okularnik, któremu dali popalić pod kioskiem. Nie było w tym żadnego udawania. Tymczasem facet, który na umówiony obiad przyszedł z dwunastoletnim synem, to bynajmniej nie był Will; ktoś - a ktoś by inny, jak nie Will - tu udawał. Któregoś dnia, myślał, dostanie bolesną nauczkę, bo wymyślanie sobie osobowości to strategia na kaczych nóżkach, użyteczna najwyżej w sporadycznych kontaktach. Konduktorowi w autobusie czy taksówkarzowi można wciskać, jakie się chce, kity, jeśli tylko nie jest to daleka podróż; pragnąc natomiast spędzić z kimś całe życie, można wręcz być pewnym, że owa druga osoba prędzej lub później wykryje wszystkie łgarstwa.

Will postanowił, że wszelkie błędne wrażenia, jakie mógł wywołać, naprawiać będzie stopniowo i systematycznie, ale już w trakcie pierwszej randki w cztery oczy przypomniał mu się stary dowcip, jak to w Wielkiej Brytanii postanowiono zmienić ruch na prawostronny - stopniowo i systematycznie. Albo się kłamało, albo mówiło prawdę; jakkolwiek stan pośredni wydawał się nader trudny do utrzymania.

- O!

Taka była pierwsza reakcja Rachel, kiedy jej oznajmił, że nie jest naturalnym ojcem Marcusa. Usiłowała pałeczkami podnieść do ust kłębek wodorostów.

- Tak naprawdę to nie są wodorosty - dorzucił zaraz, miał bowiem płonną nadzieję, że w ten sposób da do zrozumienia, iż poczynione przed chwilą wyznanie nie jest niczym szczególnym. - To jakiś rodzaj kapusty, którą szatkują, smażą, potem dodają cukru i...

- To kto jest jego naturalnym ojcem?

- Kto? - powtórzył zdetonowany Will. Pytanie dosyć oczywiste, gdyż jeśli nie on był naturalnym ojcem Marcusa, to musiał nim być ktoś inny, Willowi jednak dość często ufoykały oczywiste pytania. - Facet ma na imię Clive i mieszkuje w Cambridge.

- Aha. I między tobą i nim wszystko jest OK?

- Tak. Wspólnie spędziliśmy Boże Narodzenie.

- Przepraszam za pytanie, ale może jestem za tępa: jeśli nie jesteś naturalnym ojcem Marcusa ani nie mieszkacie razem, to w jakim w ogóle sensie jesteś jego ojcem?

- Ha, ha, dobre pytanie. Wiem, co masz na myśli. Z zewnątrz to musi wyglądać bardzo dziwnie.

- To powiedz mi, jak wygląda od wewnątrz.

- Po prostu powstał taki układ. Jestem dostatecznie stary, żeby być jego ojcem, on jest dostatecznie młody, żeby być moim synem, więc...

- Na moje oko mógłbyś być ojcem każdego chłopaka poniżej dwudziestki, więc dlaczego właśnie ten?

- Sam nie wiem. Czasami po prostu tak się dzieje. Przejdziemy teraz do wina czy zostajemy przy chińskim piwie? I powiedz mi coś o układzie między tobą a Alim. Jest tak samo skomplikowany jak mój z Marcusem?

- Nie. Spałam z jego ojcem, a dziewięć miesięcy później urodziłam Alego. To wszystko. Tak proste, jak to zazwyczaj bywa.

- Tak. Zazdroszczę ci.

- Przepraszam, że tak uparcie do tego wracam, ale czegoś tu ciągle nie rozumiem. Więc jesteś ojczymem Marcusa, ale nie mieszkasz ani z nim, ani z jego matką.

- Właściwie można to tak ująć.

- A jak można by jeszcze?

- Hm, rozumiem, co masz na myśli - powiedział w zadumie, jakby dopiero teraz zorientował się, że można tę sprawę widzieć tylko w jeden sposób.

- A w ogóle żyłeś z matką Marcusa?

- A dokładniej?

- Czy miałeś w jej domu zapasowe skarpetki? Albo szczoteczkę do zębów?

A gdyby tak Fiona dała mu pod choinkę parę skarpetek, a on by je zostawił i zapomniał odebrać? Wtedy mógłby powiedzieć nie tylko, że kiedyś miał w jej domu zapasowe skarpetki, ale że nadal ma. Na nieszczęście Fiona dała mu nie skarpetki, ale tę idiotyczną książkę, której zresztą nawet nie zostawił. Tak więc wyimaginowany scenariusz ze skarpetkami był... właśnie - wyimaginowany.

- Nie.

- Po prostu... nie?

- Tak.

Wziął ostatni naleśnik, zanurzył w sosie chili i zaczął żuć tak, jakby miało mu to zabrać najbliższych kilka minut, uniemożliwiając jakąkolwiek odpowiedź. Mówić będzie musiała Rachel i najprawdopodobniej zmieni temat. Bardzo by chciał, żeby opowiedziała o książce, którą właśnie ilustruje, o planowanej wystawie albo o tym, jak bardzo chciała go zobaczyć. O takich rozmowach marzył, natomiast serdecznie dosyć miał dywagacji na temat zmyślonych dzieci, a jeszcze bardziej o tym, dlaczego je zmyślił.

Rachel jednak siedziała spokojnie i czekała, aż przełknie, chociaż więc odwlekał ten moment najdłużej, jak się dało, nie mógł pałaszować niewielkiego naleśnika w nieskończoność. Wreszcie powiedział jej prawdę, co i tak zamierzał, ona zaś była kompletnie zaszokowana, jak zresztą powinna.

- Nigdy właściwie nie powiedziałem, że to mój syn. Nigdy moje usta nie wypowiedziały słów: "Marcus jest moim synem". To ty tak przyjąłeś.

- Jasne. Jestem fantastką, tak bardzo chciałam uwierzyć w to, iż masz syna, że moja wyobraźnia zupełnie zszikowała.

- A wiesz, że to bardzo interesująca teoria. Pamiętam, czytałem kiedyś w gazecie o takim jegomościu, który bajerował kobiety w średnim wieku i pozbawiał je życiowych oszczędności, a wszystko tylko dlatego, iż uważały go za bogacza. Nie musiał niczym tego udowadniać. Po prostu chciały wierzyć.

- Ale mówił im, że jest bogaty, a zatem kłamał. Na tym polega różnica.

- Rozumiem, co masz na myśli. Tutaj się kończy paralela, tak?

- Bo ty nie skłamałeś. Ja wszystko dorobiłam. Pomyślałam: "Ciekawy koleś, gdyby tak jeszcze miał fajnego syna, najlepiej kilkunastolatka", a potem zjawiasz się u mnie w domu z Marcusem i - bingo! Z powodu jakiejś głębokiej potrzeby sama założyłam wszystkie potrzebne kłamry.

Nie było tak źle, jak Will mógł się obawiać. Dostrzegła w całej historii jakąś zabawną stronę, chociaż bez wątplenia uważała go za pokręconego.

- Nie powinnaś brać sobie tego tak do serca. Każdemu mogłoby się zdarzyć.

- Ej, nie prowokuj szczęścia. Jeśli chcę być wyrozumiała i tolerancyjna, to moja sprawa. Ale jak na razie nie jest to szczebel, na którym ty także mógłbyś żartować.

- Przepraszam.

- Ale w którym momencie pojawia się Marcus? Najwyraźniej nie wynajęłeś go tylko na to popołudnie. Jest między wami jakiś bliższy związek.

Miała oczywiście rację, a Will uniknął potencjalnej katastrofy, szczerze przedstawiwszy jej wszystko, co było do przedstawienia. Czy też prawie wszystko. Nie wyznał tylko tego, że trafił na Marcusa, gdyż znalazł się w ROSR. Nie wyznał dlatego, iż tego typu oświadczenie mogło zabrzmieć bardzo źle. Nie chciał, by pomyślała, że ma jakiś problem.

Po obiedzie Rachel zaprosiła go do siebie na kawę, Will jednak wiedział, że żaden seks nie wchodzi w grę. Nie, żeby nie było go w powietrzu - był, ale jedynie za jego sprawą, więc to się nie liczyło. Rachel podobała mu się tak bardzo, że na sam jej widok zaczynał erotycznie wibrować, od niej jednak emanowało lekkie rozbawienie i ostrożna tolerancja, a chociaż uważał, że to i tak więcej, niż mógł się spodziewać, to czuł zarazem, że intymność, do której wstępem mogłyby być takie uczucia, nie wykraczała poza żartobliwe zwichrzenie włosów.

Rachel zrobiła kawę w dużych niebieskich designerskich filiżankach i zajęli miejsca naprzeciw siebie. Rachel swobodnie ułożyła się na sofie, Will zapadł w stary fotel z jakąś azjatycką narzutą.

- Dlaczego uznałeś, że Marcus uczyni cię bardziej interesującym? - zapytała potem, gdy już zamieszała, upili pierwszy łyk, podmuchali, zrobili więc wszystko, co można zrobić z filiżanką kawy.

- A byłem bardziej interesujący?

- Tak, chyba tak.

- Dlaczego?

- Bo... mam powiedzieć prawdę?

- Tak.

- Pomyślałam sobie, że jesteś płytki - nic nie robiłeś, niczym się nie interesowałeś, jakbyś miał niewiele do powiedzenia - więc kiedy powiedziałeś, że masz syna...

- Nie powiedziałem.

- OK, mniejsza z tym. W każdym razie pomyślałam: "O cholera, ale się pomyliłam co do faceta".

- No to sama masz odpowiedź na swoje pytanie.

- Ale ja istotnie źle cię oceniłam.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz?

- Bo coś między wami jest. Nie wymyśliłeś do końca tej sprawy z Marcusem. Jest na poważnie, troszczysz się o niego, rozumiesz go, starasz się mu pomagać... No więc nie jesteś takim mydłkiem, za jakiego cię uznałam.

Will wiedział, że Rachel mówi tak, aby poprawić jego samopoczucie, ale nic to nie dało. Przede wszystkim, znał Marcusa zaledwie od kilku miesięcy, słowa Rachel kazały więc brutalnie zapytać o pozostałe trzydzieści sześć lat, które przeleciały między palcami. Poza tym nie chciał, by o jego ocenie decydował Marcus. Chciał własnego życia i własnej tożsamości, chciał być interesujący sam przez się. Gdzie usłyszał ten zarzut? W ROSR, oczywiście. Udało mu się podszyć pod samotnego rodzica bez trudów i kłopotów ojcostwa. Trudno jednak było się teraz uskarżać. Za późno; musiał ponieść konsekwencje tego, że zlekceważył własną radę, która tak dobrze mu służyła przez całe dorosłe życie. Wedle jego dawniejszego poglądu, marna kondycja członków ROSR nie wynikała z faktu, że mieli dzieci, lecz z tego, że znacznie wcześniej zaczęli się kimś przejmować i w ten sposób się odsłonili. Teraz Will popełnił ten sam błąd i zbierał razy, na które sobie zasłużył. Jeszcze trochę, a zacznie śpiewać z przymkniętymi oczyma; co gorsza, nie potrafił temu zapobiec.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Przez trzy albo cztery tygodnie - nie mogło to trwać dłużej, chociaż potem Marcus będzie miał wrażenie, że były to całe miesiące czy wręcz lata - nic się nie działo. Spotykał się z Willem, spotykał się w szkole z Ellie i Zoe, Will kupił mu nowe okulary, zafundował fryzjera, a także zapoznał z piosenkarzami i grupami innymi niż Joni Mitchell i Bob Marley, którzy jemu się podobali, a których Ellie znała i co najmniej akceptowała. Zmieniał się na ciele i zmieniało mu się w głowie, a tymczasem mama znowu zaczęła płakać.

Podobnie jak przedtem nie było żadnych widocznych powodów i podobnie jak przedtem wszystko rozwijało się powoli: na początek lekkie pochlipywanie po kolacji, które pewnego razu przerodziło się w wielki wieczorny szloch, na który nie pomagały słowa i uściski Marcusa, potem łzy przy śniadaniu i teraz Marcus wiedział już, że sytuacja jest poważna i niebezpieczna. I Zmieniła się jednakże jedna rzecz. Kiedy po raz pierwszy J pojawił się płacz, jakieś sto lat temu, był zdany tylko na siebie, a teraz miał wokół siebie mnóstwo osób. Miał Willa, miał Ellie, miał... No, dobrze, miał przynajmniej tych dwoje, dwoje przyjaciół, i dzięki temu było odrobinę lepiej. Mógł pójść do któregośkolwiek z nich i powiedzieć: "Z mamą znowu się zaczęło", a oni będą wiedzieli, o co mu chodzi, i doradzą coś sensownego.

- Z mamą znowu się zaczęło - powiedział Willowi po drugim rozszochanym poranku. (Po pierwszym nic nie powiedział, bo mogło się przecież okazać, że to tylko przelotna depresja, nazajutrz jednak zrozumiał, że nadzieje są płonne).

- Co się zaczęło?

Marcus poczuł w pierwszej chwili rozczarowanie, ale zaraz potem pomyślał, że nie dał Willowi zbyt wielu informacji. Trudno powiedzieć, by jego mama była bardzo przewidywalna, dlatego mogły się z nią zacząć różne rzeczy. Mogła się czepiać wizyt Marcusa u Willa albo tego, że nie grał już na pianinie, albo mogła sobie znaleźć faceta, który Marcusowi nie bardzo by się podobał (kiedyś opowiedział Willowi o dziwnych koleśkach, którzy pojawiali się u jej boku po tym, jak rodzice się rozstali)... Nawet dość mu się to podobało, że mógł mieć na myśli tak wiele różnych spraw, kiedy mówił: "Z mamą znowu się

zaczęło", znaczyło to bowiem, że jest osobą interesującą i skomplikowaną, jaką bez wątpienia była.

- Płacz.

- Aha. - Robili sobie właśnie grzanki, co stało się zwyczajem czwartkowego popołudnia. - I niepokoisz się o nią?

- Pewnie. Jest teraz tak samo jak wtedy. A nawet gorzej.

Co nie było prawdą. Nic nie mogło być gorsze od tamtej sytuacji, tamta ciągnęła się bowiem i ciągnęła, a ostatecznie zwięzczył ją Dzień Martwej Kaczki. Chciał jednak, by Will potraktował sprawę poważnie.

- I co zrobisz?

Marcusowi nie przyszło do głowy, że on sam mógłby coś zrobić - po części dlatego, że nic nie robił poprzednim razem (ale poprzednim razem wszystko rozegrało się fatalnie, może więc nie należało tego używać do żadnego przykładu), po części dlatego, że oczekiwał jakiejś inicjatywy ze strony Willa. Na to liczył. Od tego są przyjaciele, czyż nie?

- Co ja zrobię? Co TY zrobisz!

- Co ja zrobię? - Will zaniósł się śmiechem, ale zaraz sobie przypomniał, że temat rozmowy nie był szczególnie zabawny. Marcus, przecież ja nic nie mogę zrobić.

- Mógłbyś z nią porozmawiać.

- A dlaczego miałaby mnie słuchać? Kim ja jestem dla niej? Nikim.

- Nie jesteś nikim. Jesteś...

- Posłuchaj, przecież dlatego tylko, że zachodzisz tutaj po szkole na herbatę, nie mogę powstrzymać twojej matki... Nie mogę jej rozweselić. Wiem, że tego nie potrafię.

- Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

- O kurwa! Przepraszam. - Will sparzył się przy wyjmowaniu grzanek. - Tak byś to określił? Przyjaciółmi?

Wydawało mu się to zabawne, a w każdym razie się uśmiechał.

- Tak. A jak ty byś to określił?

- OK, przyjaciele, to brzmi nieźle.

- To z czego się śmiejesz?

- A to nie śmieszne? Ja i ty?

- Może. - Marcus chwilę się zastanowił. - A dlaczego?

- Taka różnica wzrostu między nami.

- O!

- To żart.

- Ha, ha, ha. Will zostawił smarowanie grzanek Marcusowi, który uwielbiał to robić. To znacznie lepsze niż przy grzankach z tostera, bo tam, jeśli masło było za twarde albo za zimne, to podczas smarowania usuwało brązową skorupkę, a o nią przecież chodziło najbardziej. Kiedy grzanki były z grilla, wystarczyło położyć na nie masło i poczekać, aż się rozpułynie. Jedna z nielicznych sytuacji w życiu, gdy wszystko udaje się za każdym razem.

- Chcesz coś na nie?

- Mhm.

Marcus sięgnął po miód, włożył nóż do słoika i zaczął obracać.

- Posłuchaj - odezwał się Will. - Masz rację. Jesteśmy przyjaciółmi. I właśnie dlatego nie mogę pomóc twojej mamie.

- Jak to?

- O tej różnicy między nami powiedziałem żartem, ale nie do końca. Może powinieneś spojrzeć na to od tej strony. Jesteśmy kumplami, a ja jestem dobrą stopę wyższy od ciebie. I w tym rzecz.

- Nic nie kumam - obruszył się Marcus.

- Miałem w szkole kolegę wyższego ode mnie o stopę. Był olbrzymem. Już w drugiej klasie miał sześć stóp wzrostu.

- U nas nie ma drugiej.

- OK, w ósmej.

- No i co?

- Jak bym miał jakiś kłopot, nigdy nie poprosiłbym go o pomoc. Rozmawialiśmy o piłce, o Mission Impossible, o takich sprawach. Teraz powiedzmy, że ja jestem zdania, że Peter Osgood powinien grać w reprezentacji, on - że nie, i nagle ja do niego: "Och, Phil, weź pogadaj z moją mamą, bo ona nic, tylko płacze cały czas". Pewnie uznałby, że dostałem świra. Miał dwanaście lat i co takiego niby miałby powiedzieć: "Przepraszam, pani Freeman, ale czy nie pomogłyby pani czasem środki uspokajające?"

- Nie wiem, co to za Peter Osgood. Nie znam się na piłce.

- Marcus, przestań udawać głupka. Chcę ci powiedzieć coś takiego: OK, jestem twoim przyjacielem, ale nie jestem twoim wujkiem, nie jestem twoim ojcem, nie jestem twoim starszym bratem. Mogę ci powiedzieć, kim jest Kurt Cobain i gdzie dostać dobre buty, ale to wszystko. Zrozumiałeś?

- Tak.

- To dobrze.

Ale w drodze do domu Marcus rozpamiętywał ton, jakim Will powiedział: "Zrozumiałeś?". Miał on znaczyć: "Koniec rozmowy", a tak chyba nie postępują przyjaciele. Tak mogli się zachowywać nauczyciele, rodzice, ale nie przyjaciele, obojętne, jakiego byliby wzrostu.

Marcus jednak nie był bardzo rozczarowany Willem. Gdyby go spytać, kto jest jego najlepszym przyjacielem, powiedziałby: "Ellie". Nie tylko dlatego, że ją kochał i chciał z nią przebywać, ale także dlatego, że zawsze była dla niego fajna, jeśli nie liczyć tego pierwszego razu, kiedy go nazwała "sraczek - chłopaczek", bo wtedy wcale nie była fajna. Nie byłoby w porządku, gdyby twierdził, że Will w ogóle nie był dla niego miły, bo przecież były i buty, i te grzanki na grillu, i dwie gry komputerowe, ale czasami nie był zbyt szczęśliwy, że widzi Marcusa, szczególnie gdy wpadał cztery, pięć dni z rzędu. Ellie natomiast zawsze go obejmowała, obściskowała, a to przecież musiało coś znaczyć, prawda? Dzisiaj jednak nie była jakoś szczególnie zachwycona jego widokiem. Siedziała zgarbiona i ponura i nie zareagowała ani słowem - a co dopiero mówić o jakichś uściskach - kiedy na przerwie zajrzał do jej klasy. W ławce obok Ellie siedziała Zoe i trzymała ją za rękę.

- Co się stało?

- Nie słyszałeś? - spytała Zoe.

Marcus nienawidził, kiedy ktoś tak się do niego zwracał, bo nigdy nie słyszał o tym, czym inni bardzo się przejmowali.

- Chyba nie.

- Kurt Cobain.

- Co z nim? - Usiłował się zabić. Przedawkował.

- A teraz już w porządku?

- Mamy nadzieję. Płukali mu żołądek.

- To dobrze.

- Wcale nie - sprzeciwiła się Ellie.

- No tak, nie, ale...

- On to zrobi! - z pasją powiedziała Ellie. - W końcu to zrobi. Bo zawsze tak jest. On chce umrzeć. To nie było wołanie o pomoc. On nienawidzi tego świata.

Marcusowi nagle zrobiło się niedobrze. Od chwili, gdy wyszedł od Willa, nieustannie wyobrażał sobie tę dzisiejszą rozmowę z Ellie i to, jak będzie próbowała go rozweselić, czego Will nigdy nie potrafił zrobić w takim stopniu, a tymczasem wszystko potoczyło się inaczej. Klasa zaczęła powoli wirować, a wszystkie kolory gasnąć.

- Skąd wiesz? Skąd wiesz, że się nie pomylił? Na pewno nie zrobi tego jeszcze raz!!!

- W ogóle go nie znasz - prychnęła Ellie.

- Ani ty! - krzyknął Marcus. - On nie jest prawdziwy. To tylko piosenkarz. Jest tylko na bluzie. To nie to samo co czyjaś mama.

- Nie, bo jest ojcem, ty głupku - odpowiedziała Ellie. Jest ojcem Frances Bean. Ma piękną małą córeczkę, a mimo to chce umrzeć. Teraz rozumiesz?

Teraz Marcus rozumiał. Odwrócił się i wybiegł z klasy.

Postanowił odpuścić następne dwie lekcje. Gdyby poszedł na matematykę, siedziałby zamyślony, a gdyby nauczyciel go wyrwał do odpowiedzi, cała klasa zarykiwałaby się, podczas gdy on próbowałby odpowiedzieć na pytanie postawione godzinę temu, a może przed miesiącem, a może w ogóle nie postawione. Musiał być sam, żeby wszystko dobrze przemyśleć, bez żadnych niepotrzebnych ingerencji, poszedł więc do męskiej toalety i zamknął się w ostatniej kabinie po prawej stronie, wzdłuż jej ściany biegły bowiem rury z ciepłą wodą, na których od biedy można było przysiąść. Po kilku minutach ktoś wszedł i zaczął kopać w drzwi.

- Marcus, jesteś tu? Przepraszam, zapomniałam o twojej matce. OK, ona nie jest jak Kurt.

- Skąd wiesz?

- Bo miałaś rację. On nie jest naprawdę.

- Mówisz tak tylko po to, żeby mnie pocieszyć.

- Dobra, jest naprawdę, ale to inny rodzaj prawdziwych ludzi.

- Jaki?

- Nie wiem, po prostu inny. On jest jak James Dean i Marilyn Monroe, i Jimi Hendrix, i wszyscy inni. Wiesz, że umrze i że to będzie OK.

- Dla kogo? Dla tej... jak jej tam?

- Frances Bean?

- Tak. Dlaczego to ma być dobre dla niej ? Dla niej na pewno nie jest, to dla ciebie jest OK.

Do toalety wszedł chłopak z klasy Ellie.

- Spadaj - powiedziała głosem tak obojętnym, jakby robiła to już setki razy, a tamten nie miał prawa zrobić siusiu. Rozmawiamy teraz. - Chciał protestować, ale zdawszy sobie sprawę, z kim się chce kłócić, posłusznie wyszedł. - Wpuścisz mnie? - spytała.

- Jak się zmieścisz.

Przycupnęli obok siebie na gorącej rurze, Ellie zaś zamknęła drzwi na zasuwę.

- Ja nie wiem, jak to jest - powiedziała. - Tak naprawdę nic o tym nie wiem. Nie wiem, czemu tak się czuje on czy twoja mama. Nie wiem, jak ty musisz się czuć. Pewnie się boisz, co ona robi.

- Tak. - I wtedy się rozplakał. Łzy napłynęły do oczu i potoczyły się po policzkach, bezgłośnie wprawdzie, ale i tak był speszony. Nigdy by nie przypuścił, że rozbeczy się przy Ellie.

Otoczyła go ramieniem.

- Nie słuchaj, co mówię. Wiesz o tym więcej od mnie. To ty mi powiedz.

- Nie wiem, co o tym powiedzieć.

- To o czymś innym. Przez jakiś czas jednak nie rozmawiali o niczym, a tylko siedzieli na rurze, poprawiali się, gdy się zrobiło za gorąco, i czekali, aż będą gotowi wrócić do świata.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Will nie lubił patrzeć w dół, gdyż miał zawroty głowy. Czasami było to jednak nieuniknione. Zdarzało się, że ktoś coś powiedział, on patrzył w dół i - odczuwał gwałtowną chęć skoczenia. Pamiętał ostatni raz, gdy to nastąpiło. Kiedy rozstał się z Jessicą, ta zadzwoniła do niego którejś nocy i powiedziała, że jest beznadziejny, bezwartościowy, że nigdy nic nie osiągnie, że z nią miał przynajmniej jakąś szansę - użyła przy tym jakiejś niezrozumiałej frazy, chyba "posypać sól" - gdyż mógł czegoś dokonać, na przykład założyć rodzinę. Ona mówiła, a jemu coraz bardziej kręciło się w głowie i ogarniała go panika, gdyż wiedział, że niektórzy istotnie mogą go tak oceniać, a on nie mógł na to nic poradzić.

Bardzo podobne uczucie nawiedziło go teraz, gdy Marcus poprosił, aby pomógł Pionie. Oczywiście, że mógł coś zrobić, cała ta gadka, że jest taki sam jak Marcus, a różnią się tylko wzrostem, stanowiła jedynie wykręt. Był starszy, wiedział więcej... Z którejkolwiek strony spojrzeć, zawsze ta sama sugestia: rusz się, pomóż chłopakowi, nie zostawiaj go samego.

I właściwie chciał pomagać, w jakiś sposób nawet to robił, ale za nic nie chciał się mieszać do żadnej depresji. Mógł sobie w głowie odtworzyć całą rozmowę, słyszeć ją niczym z jakiegoś wewnętrznego radia, ale im bardziej to robił, tym bardziej mu się nie podobała. A szczególnie nie podobały mu się dwa słowa. To one sprawiały, że chciał zakrywać uszy rękami, zawsze tak było i zawsze będzie, jak długo jego życie obraca się wokół Countdown, Home and Away oraz nowych sandwiczów z Marksa i Spencera. Otóż w rozmowie z Fioną na temat jej depresji w żaden sposób nie udało się uniknąć tych dwóch słów: "Po co?" Mogło występować w różnych mało kłopotliwych frazach: "Po co ci nowa płyta?", "Po co idziesz do pubu?", ale w rozmowie o życiu musiały wystąpić w tej cholernej postaci: "Po co to wszystko?", a na to pytanie Will nie znał odpowiedzi. Czasami nie było to paraliżujące, jak na przykład w sytuacji, gdy magiczne grzyby wszystko ci w głowie poprzestawiają, a jakiś koleś leżący na podłodze ze słuchawkami na uszach pyta: "Po co to wszystko?", to ty luźniutko odpowiadasz: "Po nic, zamknij się, palancie". Trudno w ten sposób odpowiedzieć ludziom, którzy są tak nieszczęśliwi i zagubieni, że chcieliby połknąć całą fiolkę środków nasennych,

żeby już się więcej nie budzić. Powiedzenie komuś takiemu jak Fiona, że wszystko po nic, było właściwie równoznaczne z morderstwem, a chociaż Will mógł nie pałać do niej żadnym namiętym uczuciem, to jednak nie miał też najmniejszej chęci jej mordować.

Mordować - nie, ale osoby tego typu ogromnie go irytowały, gdyż wszystkim psuły szyki. To przecież wcale nie takie proste ślizgać się po powierzchni życia: trzeba do tego charakteru i umiejętności, a kiedy słyszysz o kimś, kto chce ze wszystkim skończyć, także i ciebie może to wciągnąć pod powierzchnię. A przecież, zdaniem Willa, chodziło tylko o to, żeby się trzymać na wierzchu. O to chodziło tym wszystkim, którzy mieli powód do życia: praca, związki, zainteresowania, dzięki czemu trzymali się na powierzchni. Mógł im w tym przeszkodzić tylko jakiś osobliwy wypadek, niezwykła fala z maszyny powodującej falowanie. A teraz Will miał kłopoty. Znalazł się tuż nad głębiną i łapały go kurcze; może rozpoczął kąpiel zbyt wcześnie po posiłku, w każdym razie bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak z wody wyciąga go jakaś blond ratowniczką, ale co z tego, skoro jego płuca już są pełne chlorowanej wody. Potrzeba mu było jakiegoś korkowego pływaka, a nie ołowianego ciężaru w rodzaju Fiony. Trudno, tak właśnie wszystko się przedstawia. Jak dobrze, że jest Rachel - ktoś, kto nie tonie i nie pozwala utonąć. Właśnie szedł na spotkanie z nią.

Jego układ z Rachel był dziwny, a w każdym razie wedle jego standardów, bo pewnie nie wedle miarek Davida Cronenberga czy tego, kto napisał *The Wasp Factory*. Dziwne było to, że chociaż spotykali się już od paru tygodni, nigdy nie doszło do czegoś więcej. Ten temat po prostu ani razu się nie pojawił. Will był niemal pewny, że Rachel go lubi, zawsze cieszyła się na jego widok, nigdy też nie brakło im tematów do rozmowy, z drugiej strony był bardziej niż pewny, że ją lubi, cieszył się na jej widok, chciał być z nią już do końca życia, a nie potrafił na nią patrzeć, by źrenice mu się nie rozszerzały do komicznych - jak przypusz - J czał - rozmiarów. Słusznie jednak byłoby powiedzieć, że lubili się na odmiennie sposoby.

(Zdumiewające było to, że pojawiała się w nim odruchowa chęć pocałowania jej, ilekroć powiedziała coś interesującego, co Will uważał za zdrowy objaw - nigdy dotąd podobny impuls nie pojawiał się z takiego powodu - na co jednak Rachel zaczęła patrzeć nieco podejrzliwie, chociaż - jak przypuszczał - nie orientowała się, co się dzieje. Z humorem, pasją i błyskotliwością opowiadała o Alim, muzyce czy swych ilustracjach, on zaś pogrążał się w jakichś wizjach przede wszystkim romantycznych, nawet jeśli miały podtekst seksualny, a gdy urywała, pytając, czy jej słucha, potwierdzał z żywością, która raczej sugerowała, iż śmiertelnie się nudził. Był w tym jakiś podwójny paradoks, gdyż oto zachwycał się rozmową

z Rachel do tego stopnia, że: a) oczy zachodziły mu mgłą; b) nader chętnie by jej przerwał, zamykając jej usta swoimi. Rzecz nie przedstawiała się dobrze i coś z tym trzeba było zrobić, nie miał jednak pojęcia co, jako że nigdy dotąd nie znalazł się w podobnej sytuacji).

Przyjaźń z kobietą właściwie całkiem mu odpowiadała, ale nadal czuł się jakoś nieswojo, gdy na przykład w trakcie spotkania z Rachel uświadamiał sobie, że po raz pierwszy utrzymuje kontakty z niewiastą bez neodczownej potrzeby przespania się z nią. Czy właściwie inaczej: chciał spać z Rachel, nawet bardzo, ale nie był pewien, czy przez następne dziesięć lub dwadzieścia lat - ile mogły trwać przyjaźnie z kobietami - zniesie wysiadywanie na sofie i słuchanie naładowanej mimowolnym erotyzmem opowieści o problemach z rysowaniem myszy. A ściśle mówiąc, nie był pewien, czy zniosą to jego źrenice. Nie zaczną w końcu boleć? Był niemal pewien, że całe to rozszerzanie i zwężanie nie wyjdzie im na dobre, ale dopiero w ostateczności wspomniałby Rachel o bólu oczu; może nawet zdecydowałaby się z nim przespać, gdyby uznała, iż istotnie grozi mu ślepotą, niemniej jednak wolałby znaleźć bardziej konwencjonalną i romantyczną drogę do jej łóżka. Czy też do swojego. Gdyby już miało do tego dojść, to naprawdę obojętne, w którym łóżku. Tyle że nie dochodziło.

Aż wreszcie się zdarzyło pewnego wieczoru, bez żadnych wyraźnych zapowiedzi, chociaż z perspektywy czasu nasunęło mu się kilka dość niepokojących spostrzeżeń. W jednej chwili rozmawiali, w następnej się całowali, a w jeszcze następnej prowadziła go po schodach jedną ręką, podczas gdy drugą rozpinającą dzinsową koszulę. Najciekawsze, że nie było żadnej atmosfery seksu - przynajmniej on żadnej nie wyczuwał: po prostu wpadł do przyjaciółki, gdyż czuł się marnie. Oto i pierwsza z niepokojących obserwacji: skoro do seksu doprowadziła sytuacja, w której on nie wyczuwał żadnych erotycznych elementów, to znaczy, że kiepsko był wyczulony na seks. Jeśli w efekcie najwyraźniej pozbawionej treści erotycznych rozmowy piękna kobieta zaczyna cię ciągnąć do sypialni, po drodze rozpinając bluzkę, to znaczy, że coś musiałeś przeoczyć.

Mieli trochę szczęścia, na co również nie zwrócił od razu uwagi: nie było Alego, który miał przenocować u szkolnego kolegi. Gdyby Rachel zwierzyła mu się kiedyś wcześniej, że jej syn ma wyraźny kompleks Edypa, jego nieobecność na pewno by go zaalarmowała, dzisiaj jednak nawet tego nie zauważył. Poszli do kuchni, Rachel robiła kawę, a zanim woda się zagotowała, on już zdążył wprowadzić ją w problem Fiony, Marcusa i zasadniczego pytania: "Po co".

- Po co? - powtórzyła Rachel. - O rany.

- I tylko nie odpowiadaj mi: Ali. Ja nie mam Alego.

- Ale masz Marcusa.

- Trudno w nim upatrywać jakiś cel czy sedno życia. Wiem, że to okropne tak mówić, ale to prawda. Poznałaś go.

- Jest może odrobinę zakręcony, ale uwielbia cię.

Willowi nie przyszło dotąd do głowy, że Marcus może żywić wobec niego jakieś szczególne uczucia, i to na dodatek widoczne dla postronnego obserwatora. Wiedział, że Marcus lubi do niego przychodzić i nazywa go przyjacielem, ale uważał to za przejaw młodzieńczej ekscentryczności i samotności. Uwaga Rachel niekąd zmieniła całą sytuację, tak jak czasami zdarza się, kiedy odkrywasz, że spodobałaś się kobiecie, na którą wcześniej nawet nie zwróciłeś uwagi, ale teraz powracasz wspomnieniem do minionego momentu i osoba ta wydaje ci się o wiele bardziej zajmująca, niż gdybyś bezpośrednio się nią zainteresował.

- Tak sądzisz?

- Oczywiście.

- Ale i tak nie mogę powiedzieć, że on jakoś rozwiązuje problem. Gdybym zdecydował się włożyć głowę do piecyka, a ty byś mi powiedziała, że Marcus mnie uwielbia, nie sądzę, bym z tego powodu zmienił decyzję. Rachel wybuchnęła śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło?

- Nie wiem, chyba sama myśl o takiej sytuacji. Jeśli na zakończenie wspólnego wieczoru postanowiłbyś włożyć głowę do piecyka, to raczej nie należałoby tego wieczoru uznać za udany.

- Ja... - Will urwał, a potem podjął z tak wielką powagą, na jaką potrafił się zdobyć, a w tej wielkości niezbyt pasującą do sytuacji: - Nigdy nie włożyłbym głowy do piecyka na zakończenie wieczoru z tobą.

Ledwie to powiedział, natychmiast zrozumiał swój błąd. Wygłoszone zdanie dobrze oddawało stan jego uczuć, wywołało jednak salwy śmiechu Rachel, której łzy napłynęły do oczu.

- To... - wyrzucała z siebie pomiędzy jednym atakiem a drugim - to... najbardziej... romantyczne... wyznanie... jakie kiedykolwiek... słyszałam.

Will siedział speszony i czuł się jak największy głupek na świecie, ale kiedy śmiech już umilkł, znaleźli się jakby w odrobinę innej okolicy, gdzie mogli być bardziej ciepłi i mniej spięci. Rachel zrobiła kawę, znalazła śmietankę i także usiadła przy stole.

- Nie musisz tak strasznie szukać dla siebie celu.

- A mnie się wydaje, że jest zupełnie inaczej.

- Posłuchaj, chodzi mi o ciebie samego. Nie musisz tak strasznie główkować, żeby zrobić to, co robisz.

- Słucham? - Przez chwilę Will czuł się kompletnie ogłuszony. "Główkować"? "To, co robisz"? Nie przypominał sobie, żeby ktoś kiedyś powiedział o nim coś takiego. Co on, do cholery, powiedział Rachel o swoich zajęciach? Że pracuje w kopalni? Uczy nastolatków, którzy weszli w konflikt z prawem? Zaraz jednak przypomniał sobie, że nie opowiadał jej żadnych kłamstw, więc i stropienie przybrało odrobinę inny charakter.

- A co ja takiego robię?

- Nic. To zgadzało się z jego opinią o sobie.

- Więc dlaczego niby miałbym nad czymś główkować?

- Bo... większość ludzi uważa, iż cel musi się wiązać z pracą, dziećmi, rodziną czy czymś takim. Ty nie masz nic z tych rzeczy. Mogłoby się wydawać, że w twojej sytuacji już tylko mały krok do rozpaczki, a tymczasem wcale nie robisz wrażenia osoby zrozpaczonej.

- Jestem zbyt tępy.

- Wcale nie jesteś tępy, ale w takim razie dlaczego nigdy nie włożyłeś głowy do piecyka?

- Czy ja wiem. Może nowa płyta Nirvany, na którą czekasz, albo w Nowojorskich gliniarzach wydarzy się coś takiego, że chcesz obejrzeć następny odcinek.

- Otóż to.

- Po to? Żeby oglądać Nowojorskich gliniarzy"? Chryste Panie!

- Nie, nie. Chodzi o to, co sprawia, że chcesz jeszcze, chcesz dalej. Nie wiem, czy kiedykolwiek o tym myślałeś, ale jakbyś usiadł i zastanowił się na spokojnie, to raczej powiedziałbyś, że życie nie jest złe. Lubisz drobne rzeczy. Telewizję. Muzykę. Jedzenie. - Popatrzyła badawczo. - Pewnie kobiety. Co może znaczyć, że lubisz także seks.

- Tak.

Powiedział to tonem osoby na czymś przyłapanej i Rachel się uśmiechnęła.

- Ja w tym nie widzę nic złego. Ci, którzy lubią seks, najczęściej też nie są w tym partaczami. Ale dobrze, nie rozwódźmy się nad tym. Jestem taka sama. To znaczy, lubię różne rzeczy. Inne niż ty. Poezję. Obrazy. Swojąpracę. Mężczyzn. Seks. Przyjaciół. Alego. Jestem na przykład ciekawa, z czym jutro wyskoczy.

Sięgnęła po herbatnik, aby go rozłamać, ale ciastko pokruszyło jej się w palcach.

- Widzisz, kilka lat temu znalazłam się w prawdziwym dołku i zaczęłam myśleć o... no wiesz, o czymś takim jak Fiona. Czułam się winna, głównie z powodu Alego, powtarzałam sobie, że nie mogę, ale byłam taka... Tyle że, wiesz, mówiłam sobie: jeszcze nie dzisiaj. Może jutro, ale nie dziś. Kiedy jednak minęło kilka tygodni, dobrze już wiedziałam, że nigdy tego nie zrobię, bo nie chciałam czegoś stracić. Rozumiesz, nic w tym stylu: ach, życie jest wspaniałe i byłoby szkoda w nim nie uczestniczyć, ale zawsze jedna, dwie rzeczy nie dokończone, jakieś drobiazgi, które chciało się załatwić. Jak ty z kolejnym odcinkiem Nowojorskich gliniarzy. Jeśli na przykład skończyłam ilustrować książkę, to chciałam zobaczyć ją wydrukowaną. Jeśli z kimś właśnie chodziłam, to chciałam umówić się raz jeszcze. Jeśli zbliżała się wywiadówka w szkole Alego, to chciałam porozmawiać z jego wychowawcą. Małe sprawy, ale zawsze jest coś, czego trzeba dopilnować. I w końcu zrozumiałam, że zawsze będą takie sprawy i to zupełnie wystarczy. - Spojrzała na okruchy ciastka i roześmiała się zakłopotana. - Tak sobie myślę.

- Fiona także musi mieć takie sprawy.

- Nie wiem. Z tego, co mówisz, nie wynika, by miała dobre uchwyty. Tobie też ich potrzeba.

Naprawdę tylko o to chodziło? Pewnie nie, myślał Will. Wielu rzeczy tutaj zabrakło - na przykład wymęczenia depresją, które sprawiało, że nawet rzeczy, które się kochało, stawały się miałkie i nieistotne, a do tego samotność, strach, zagubienie. Ale owa prosta pozytywna logika Rachel była czymś, czego można było się trzymać, a ponadto w trakcie rozmowy o celu sama wyznaczyła pewien doraźny cel, ponieważ teraz nastąpiła przerwa, a potem zaczęli się całować.

- A może ja bym z nią porozmawiała?

Były to pierwsze słowa wypowiedziane po fakcie, chociaż w trakcie wiele ich padło, i w pierwszej chwili Will ich nie zrozumiał, gdyż usiłował związać je z tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich trzydziestu minut - pół godziny, po której był wzruszony, pełen tklivości i nader krytycznie podchodził do swego dotychczasowego przekonania, iż seks jest miłą alternatywą dla drinka, jointa czy wypadu na miasto, ale niczym więcej.

- Ty? Przecież ona cię w ogóle nie zna.

- Co to szkodzi? Może nawet pomóc, a kto wie, czy i ty w ten sposób nie nauczysz się czegoś na przyszłość. To nie takie straszne.

- OK.

Było w głosie Rachel coś, czego Will nie potrafił zidentyfikować, a co nie pozwalało mu zbyt intensywnie myśleć w tej chwili o Pionie. Nie pamiętał, kiedy czuł się tak szczęśliwy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Marcusowi trudno było przyzwyczać się do myśli, że zima już minęła. Wszystko, czego doświadczył w Londynie, rozgrywało się w mroku i wilgoci (na początku roku szkolnego musiało być trochę jasnych dni, ale od tego czasu tyle się wydarzyło, że kompletnie już tego nie pamiętał), a teraz jeszcze przy słonecznym świetle wracał do domu od Willa. Przez pierwszy tydzień po przestawieniu zegarków trudno było nie czuć, że wszystko jest OK; bez żadnego wysiłku wierzyło się, że mamie się polepszy, że nagle przybędą mu trzy lata i stanie się cool, tak że Ellie go polubi, a on zdobędzie zwycięskiego gola dla szkolnej reprezentacji i stanie się najbardziej popularną postacią w całej szkole.

Było to jednak równie głupie jak - w jego opinii - wierzyć w gwiazdy. Zmiana czasu obowiązywała wszystkich, a nie tylko jego, nie było sposobu na to, by rozpogodziła się każda pogrążona w depresji matka, niepodobna, by każdy uczeń w Wielkiej Brytanii strzelił zwycięskiego gola dla swej drużyny - szczególnie zaś ci, którzy nienawidzili futbolu i nie wiedzieli, jak się zabrać do kopnięcia piłki - no a już z całą pewnością nie należało liczyć na to, że każdy dwunastolatek przez noc stanie się piętnastolatkiem. Szansę na urzeczywistnienie chociażby jednej z tych rzeczy były minimalne, ale nawet gdyby coś takiego nastąpiło, to przecież nie dla Marcusa z jego szczęściem. Jeśli już, to w jakiejś innej szkole dla jakiegoś innego dwunastolatka, który nie kochał się w starszej dziewczynie i który w związku z tym nie przejmował się tak bardzo swoim wiekiem. niesprawiedliwość podobnego rozwiązania tak złościła Marcusa, że swój powrót do domu podkreślił trzaśnięciem drzwiami.

- Byłeś u Willa? - spytała mama. Wyglądała niezłe, może więc przynajmniej jedno związane ze zmianą czasu życzenie się spełni.

- Tak. Chciałem...

Niezmiennie wydawało mu się, że powinien podać jakiś powód tych odwiedzin i niezmiennie nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy.

- Mniejsza z tym. Twój tata miał wypadek. Musisz pojechać i go odwiedzić. Spadł z parapetu.

- Nie pojedę, dopóki z tobą jest tak.

- Jak?

- Że płaczesz cały czas.

- Ze mną jest w porządku. To znaczy, może nie w porządku, ale nic sobie nie zrobię. Przyrzekam.

- Czy z nim naprawdę niedobrze?

- Złamał obojczyk i trochę się potłukł. Spadł z parapetu. Trudno się dziwić, że mamie poprawił się humor.

- A co robił na parapecie?

- Coś w stylu "Zrób to sam", jakieś malowanie czy może tynkowanie. Po raz pierwszy w życiu. Będzie miał nauczkę.

- A po co ja tam?

- Pytał o ciebie. Chyba trochę się roztkliwił.

- Dzięki.

- Och, Marcus, przepraszam, to nie dlatego prosił, ja tylko... Myślę, że nie jest w najlepszym stanie. Zdaniem Lindsey miał szczęście, że nie było gorzej, więc może, wiesz, zaczął rozmyślać nad życiem i w ogóle.

- Może się odpieprzyć!

- Marcus!

Nie zamierzał słuchać pouczeń na temat słownictwa, chciał sam posiedzieć u siebie w pokoju i się pozastanawiać. I tak zrobił.

"Zaczął rozmyślać nad życiem i w ogóle"... To te słowa matki zirytowały Marcusa, który teraz usiłował dociec dlaczego. Jeśli był w odpowiednim nastroju, udawało mu się to całkiem nieźle: siadał na starym pufie i wpatrywał się w ścianę, na której przykleił wycinki z

gazet, które zwróciły jego uwagę. SPADŁ Z WYSOKOŚCI PIĘCIU TYSIĘCY STÓP I ŻYJE! MOŻE TO UPADEK I METEORU SPOWODOWAŁ ŚMIERĆ DINOZAUROW!

Tego typu rzeczy sprawiały, że zaczynało się myśleć o życiu, a nie upadek z parapetu, kiedy próbujesz pokazać, że nie jesteś nedorajdą. Czemu ojciec nigdy wcześniej o czymś takim nie myślał? Przez ostatni rok wszyscy dokoła zastanawiali się nad poważnymi sprawami, wszyscy - z wyjątkiem ojca. Na przykład jego mama rozmyślała tylko nad najważniejszymi problemami i pewnie dlatego wszyscy nieustannie się o nią niepokoiili. I dlaczego chciał zobaczyć syna dopiero po tym, jak złamał obojczyk? Nigdy przedtem nie zdarzyło się, by Marcus wrócił ze szkoły, a mama powiedziała mu, żeby wsiadał w pociąg do Cambridge, bo ojciec bardzo chce się z nim widzieć. Przez te setki dni, gdy obojczyk miał się dobrze, Marcus niczego takiego nie usłyszał.

Zszedł na dół do matki.

- Nigdzie nie pojedę - oznajmił. - Niedobrze mi się robi, jak o nim myślę.

Dopiero nazajutrz, gdy opowiadał Ellie o parapecie, zaczął inaczej myśleć o wizycie u ojca. W trakcie porannej przerwy! rozmawiali w pustej klasie, chociaż najpierw wcale nie była pusta, i Kiedy przyszedł i oznajmił Ellie, że chce porozmawiać, wzięła go za rękę, weszła do pierwszej sali i kazała wyjść kilku osobom, które siedziały w środku. Nie знаła ich wprawdzie, ale najwyraźniej byli święcie przekonani, że jest gotowa natychmiast wprowadzić w życie wszystkie swe groźby. (Dlaczego tak się dzieje, zastanawiał się. Nie była dużo wyższa od niego, więc czemu odnoszono się do niej z takim respektem? Może gdyby zaczął malować sobie podkrążone oczy i sam obciął sobie włosy, także i jego by się lękano, miał jednak wrażenie, że ciągle by czegoś jeszcze brakowało).

- Powinieneś jechać, zobaczyć go i wygarnąć wszystko, co masz do niego. Ja bym tak zrobiła. Kurczę, jak chcesz, pojedę z tobą. I mu pokażemy.

Zaczęła się śmiać, a Marcus zaczął śnić na jawie. Najpierw myślał o tym, jak fajnie byłoby spędzić całą godzinę w pociągu sam na sam z Ellie. Potem, jak dobrze byłoby ją wypuścić na ojca. Była w szkole czymś w rodzaju zdalnie sterowanego pocisku, a on czasami odnosił wrażenie, że jest na jego osobisty użytek. Gdy był z nią, mógł wskazać jej cel, a ona go niszczyła, on zaś kochał ją za to. Zdzieliła tego koleśia Lee Hartleya, sprawiła, że koleczy

przestali się z niego tak bardzo nabijać... A skoro tak było w szkole, to dlaczego nie miałyby podzielać poza szkołą? Nie widział powodu. Wskaże Ellie ojca i zobaczy, co się wydarzy.

- Naprawdę pojechałabyś ze mną, Ellie?

- Jasne, jak będziesz chciał. Będzie fajna akcja. - Marcus przypuszczał, że się zgodzi, jeśli ją poprosi. Zdaje się, że była gotowa przystać na każdą jego prośbę, z wyjątkiem tańca. Zresztą i tak wolałbyś nie jechać sam, co?

Zawsze wszystko musiał robić sam, dlatego nawet się nie zastanawiał, czy istnieje jakaś inna możliwość. Na tym zresztą polegał problem z Ellie: z lękiem rozumiał, że jeśli miałby już jej więcej nie zobaczyć, nadal wiedziałby, że istnieją inne możliwości, tyle że nic by to nie zmieniło w jego sytuacji, gdyż nie potrafiłby po nie sięgnąć. I wtedy byłby już zupełnie bezradny.

- Tak. Zoe też pojedzie?

- Nie. Nie wiedziałaby, co mu powiedzieć, a ja wiem. Tylko my dwoje.

- Świetnie.

Nie zapytał, co takiego Ellie chce powiedzieć. Będzie jeszcze czas o tym myśleć.

- Masz forszę? Boja nie będę miała na bilet.

- Znajdzie się.

Sam wydawał bardzo mało i powinien mieć odłożone jakieś dwadzieścia funtów, a poza tym mama da mu na bilet.

- To co, w przyszłym tygodniu?

Za tydzień zaczynały się ferie wielkanocne, więc w razie czego mogli nawet zostać w Cambridge na noc. Will miał jeszcze zadzwonić do Ellie, aby omówić szczegóły. Najprawdziwsza randka.

- Dobra. Ale będzie fajnie.

Przez chwilę zaświtało mu pytanie, czy jego rozumienie fajnego spędzenia czasu jest takie samo jak Ellie, ale i tym postanowił na razie się nie martwić.

Marcusowi udało się wyperswadować Fionie, Żeby nie odprowadzała go na King'sCross.

- Będzie mi smutno.

- Wyjeżdżasz tylko na jeden dzień.

- I tak będę za tobą tęsknił.

- Będziesz także, jeśli pożegnamy się na stacji metra. Nawet bardziej, bo dłużej nie będziesz mnie widział.

- To bardziej normalne, żeby się pożegnać w metrze.

Wiedział, że to, co mówi, jest trochę bez sensu, ale za wszelką cenę chciał zapobiec spotkaniu matki i Ellie. Na pewno nie pozwoliłaby mu jechać, gdyby wiedziała, że udaje się do Cambridge z Ellie, która rozwali ojca.

Poszli do stacji przy Holloway Road i pożegnali się przed wejściem.

- W porządku? - spytała. - Nawet się nie obejrzysz, a już będzie po wszystkim.

- Pewnie, to tylko jeden dzień. - Przez tych kilkanaście minut, które zabrał im marsz na stację, zdążył zapomnieć, że powinien za nią tęsknić. - Niby jeden, a jak cała wieczność.

Należało mieć nadzieję, że kiedy wróci, nie będzie już pamiętała tych słów, inaczej bowiem nie będzie mógł sam chodzić na zakupy.

- Może jednak nie powinieneś jechać.

- Nie martw się, wszystko będzie OK.

Ponieważ miał za nią tęsknić, ścisłała go tak długo i zawzięcie, że przechodzący oglądali się za nimi.

W metrze nie było tłoku; sprawdził, jakim jechać pociągiem, tak by Lindsey po drodze z pracy mogła ich zabrać samochodem. W wagonie siedział tylko jakiś starszy facet i czytał gazetę. Ponieważ czytał właśnie ostatnią stronę, więc pierwsza była odwrócona do Marcusa. Znajdowała się na niej fotografia kogoś, kogo, jak mu się wydawało, rozpoznawał: kogoś z rodziny albo kogoś na zdjęciu w ramach na pianinie, albo przypiętego do maty w kuchni. Ale kto z rodziny czy znajomych miał rozjaśnione włosy, małą bródkę i wyglądał jak współczesny Jezus?

I nagle zrozumiał. Tę samą twarz widział codziennie na piersi Ellie. Zrobiło mu się gorąco, nie musiał nawet czytać, ale zrobił to. GWIAZDA ROCKA KURT COBAIN NIE ŻYJE! - głosił nagłówek, a pod nim mniejszymi literami: "Wokalista Nirvany, lat 27, zastrzelił się". W głowie zakłębiło mu się od różnych myśli: czy Ellie widziała już gazetę, a jeśli nie, to jak zareaguje na tę wiadomość, co jest z mamą, chociaż nie istniał bezpośredni związek między Kurtem Cobainem a mamą, gdyż mama była prawdziwą osobą, a on nie. Potem jednak zafrasował się, bo nagłówek w gazecie uczynił go jednak prawdziwą osobą, a jeszcze później poczuł smutek: z powodu Ellie, żony Kurta Cobaina, jego małej córeczki, mamy i z powodu samego siebie. A ponieważ był już wtedy na King's Cross, więc wysiadł z metra.

Ellie czekała koło rozkładu odjazdów, jak się umówili. Wyglądała zupełnie normalnie.

- Peron dziesięć b - powiedziała. - To chyba po drugiej stronie dworca.

Wszyscy nieśli gazety, wszędzie więc widać było Kurta Cobaina, a ponieważ zdjęcie w popołudniówkach było takie samo jak na swetrze Ellie, więc Marcus z wielkim trudem przyzwyczajał się do myśli, że w rękach wszystkich widzi coś, co dotąd uważał za stanowiące jej część. Kilka razy o mało nie szturchnął jej odruchowo i nie pokazał, ale udało mu się pohamować. Nie wiedział, co robić.

- Dobra, a teraz proszę za mną - powiedziała Ellie z tak udaną wyniosłością, że przy każdej innej okazji Marcus zachichotałby, teraz jednak zdobył się jedynie na mdły uśmiezek, nie bardzo bowiem mógł zwracać uwagę na subtelności tonu. Jeśli Ellie pójdzie przodem, to nie może nie zauważyć sunącej na nią armii Kurtów Cobainów.

- Raz się zamieńmy i ty idź za mną - zaprotestował.

- Och, Marcusie, jakiś ty dominujący - zapiszczała Ellie.

- Ja to u - wiel - biam w chłopakach.

- Dokąd idziemy? Ellie roześmiała się. - Dziesięć b. W tamtym kierunku - Jasne.
Stanął tuż przed nią i bardzo powoli zaczął iść.

- Co ty wyrabiasz?

- Prowadzę cię. Szturchnęła go w plecy.

- Bez wygłupów. Rusz się, bo nie zdążymy.

Nagle przypomniał sobie program Uniwersytetu Otwartego, który razem z mamą oglądał w telewizji. Ona wzięła sobie jakiś kurs, on oglądał, gdyż audycja wydała mu się zabawna. W pokoju wszystkich uczestników podzielono na pary, w których jedna osoba miała opaskę na oczach, a druga tak ją prowadziła, by nie dopuścić do zderzenia z innymi. Mama wyjaśniła, że to miało związek z zaufaniem. Jeśli ktoś bezpiecznie cię prowadzi, kiedy jesteś bezradny, wtedy rodzi się w tobie zaufanie, bardzo ważna cecha. Najśmieszniejszy był moment, gdy kobieta tak wymanewrowała swego partnera na drzwi, że ten wyrznął głową we framugę i oboje zaraz zaczęli się kłócić.

- Ellie, ufasz mi?

. - O co ci chodzi?

- Ufasz mi? Odpowiedz: tak czy nie?

- Ufam, jak długo mogę ci przylać.

- Ha, ha, ha.

- Pewnie, że ci ufam.

- Zaraz to sprawdzimy. Zamknij oczy i trzymaj się mojego rękawa.

- Co?

- Zamknij oczy i trzymaj się mojego rękawa. Nie wolno ci podglądać.

Jakiś kilkunastoletni z długimi, postrzępionymi jasnymi włosami spojrział na Ellie, jej sweter, raz jeszcze na twarz, i chyba chciał coś powiedzieć, ale wtedy spanikowany Marcus stanął między nim a dziewczyną i chwycił ją za rękę.

- Idziemy!

- Odbiło ci?

- Chcę cię pomiędzy tymi wszystkimi ludźmi doprowadzić bezpiecznie do pociągu, a wtedy zawsze już będziesz mi ufać.

- Jeśli będę ci zawsze ufać, to nie dlatego, że przez pięć minut będę laziła po King's Cross z zamkniętymi oczami.

- Zgoda, ale to w każdym razie pomoże.

- Oj, dobrze już, chodźmy!

- Gotowa?

- Gotowa.

- Nie podglądasz?

- Marcus, do cholery!

Ruszyli. Aby dotrzeć do pociągu do Cambridge, musieli z głównej hali przejść do mniejszej, nieco na uboczu; większość ludzi szła wprawdzie w ich kierunku, do pociągu, ale było też sporo takich, którzy z rozłożonymi gazetami szli w przeciwną stronę, dlatego gra warta była świeczki.

- W porządku? - rzucił przez ramię.

- Tak. Powiesz mi, jak będą jakieś schody albo coś takiego?

- Jasne.

Marcusowi marsz podobał się coraz bardziej. Szli dość wąskim przejściem, gdzie trzeba było bardzo się skoncentrować, gdyż nie można się było zatrzymać ani zejść na bok, a manewrując, trzeba było pamiętać o większych gabarytach. Tak chyba czuje się kierowca, kiedy z fiata uno przesiada się do ciężarówki. Naprawdę opiekował się Ellie, a to uczucie bardzo mu się podobało. Nigdy dotąd niczym ani nikim się nie opiekował, nigdy w domu nie mieli żadnego zwierzątka, także dlatego, że za nimi nie przepadał, aczkolwiek razem z mamą uzgodnili, że nie będą ich jeść (dlaczego po prostu jej nie powiedział, że guzik go obchodzą zwierzęta, zamiast prowadzić dysputy na temat fabryk konserw?), a ponieważ kochał Ellie bardziej, niż kiedykolwiek mógłby pokochać jakąś złotą rybkę czy coś podobnego, więc było to uczucie naprawdę poważne.

- Już niedaleko?

- Mhm.

- Światło się zmieniło.

- Wchodzimy zaraz do mniejszej hali. Widać już pociąg.

- Marcus, wiem, dlaczego to robisz - powiedziała nagle dziwnie zmienionym, cichym głosem. Zatrzymał się, ale nie wypuściła jego ramienia. - Myślałeś, że nie widziałam gazet. Widziałam.

Odwrócił się, ona jednak nadal stała z zamkniętymi oczyma.

- I jak, w porządku?

- Tak. No, może nie do końca. - Poszperała w torbie i wyciągnęła butelkę wódki. - Urznię się.

I nagle Marcus dostrzegł podstawowy kłopot ze swoim planem zdalnie sterowanego pocisku: otóż Ellie nie była takim pociskiem. Nie mógł nią sterować. W szkole to mniej się liczyło, gdyż tam pełno było ścian i reguł, o które się obijała. Ale na zewnątrz, bez ścian i reguł, była nieprzewidywalna. Mogła po prostu eksplodować mu w twarz.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Pomysł wydawał się bardzo dobry i pozbawiony jakiegokolwiek elementu ryzyka: jedno z tych poczynań, które ludzie podejmują zawsze i wszędzie. Gdyby - jak później oceniał Will - zdawano sobie sprawę z łez, konsternacji i strachu będących konsekwencją małego niepowodzenia, nikt nigdy nie umawiałby się z nikim na drinka.

Zgodnie z planem, Rachel, Will i Fiona mieli się spotkać w pubie na Islington wieczorem tego dnia, gdy Marcus pojechał do Cambridge odwiedzić ojca. Zamówią coś do picia, porozmawiają, potem Will się zmyje, a Rachel i Fiona porozmawiają sobie od serca, w efekcie czego Fiona się rozpogodzi i przestanie myśleć o zrobieniu sobie krzywdy. Co tu mogło się nie udać?

Will zjawił się pierwszy, zamówił drinka, usiadł i zapalił papierosa. Chwilę później przyszła Fiona, roztargniona i podenerwowana. Zamówiła duży gin z lodem, który popijała szybkimi łykami. Will poczuł pierwsze ukłucie niepokoju.

- Odezwał się?

- Kto?

- Marcus!

- Ach! - roześmiała się odrobinę zbyt hałaśliwie. - Zupełnie o nim zapomniałam, Na pewno nagra się na sekretarce. Kim jest twoja przyjaciółka?

Will spojrzał na krzesło obok, jakby upewniając się, że istotnie jest puste, a potem znowu na Fionę. Może miała jakieś zwidy i dlatego zaczynała popłakiwać i wpadać w depresję. Może wyobrażała sobie ludzi równie roztrzęsionych i zdołowanych jak ona.

- Przyjaciółka?

- Rachel.

- Kim jest Rachel?

Miał kłopot ze sformułowaniem odpowiedzi - co jeszcze było do powiedzenia?

- Kim jest? Skąd pochodzi? Co robi? Dlaczego chciałeś, żebym ją poznała?

- A, rozumiem. Tak sobie pomyślałem.

- Co sobie pomyślałeś?

- Że może się polubicie.

- I zawsze już teraz tak będzie, że jak kogoś poznasz, to będziemy się spotykać, chociaż nie bardzo znam ciebie, a co dopiero mówić o twoich przyjaciółkach?

- Nie, nie zawsze. Zrobię przesiew...

- Serdeczne dzięki.

A Rachel ciągle nie było, chociaż minął już kwadrans. Następny kwadrans upłynął na komentarzach dotyczących koszul Johna Majora (temat podjęty przez Fionę), a Rachel ani widu, ani słychu.

- A ona w ogóle istnieje?

- Tak, tak, oczywiście.

- To przynajmniej dobrze.

- Zadzwoń do niej.

Poszedł do automatu, wykręcił numer, nikt nie odbierał. Odczekał chwilę, nie nagrał się i wrócił. W tej chwili jedynym usprawiedliwieniem byłby jakiś wypadek Alego czy katastrofalny karambol... Chyba że od samego początku wcale nie chciała przyjść. Nagle z niebywałą jasnością uświadomił sobie, że został wystawiony do wiatru, a kiedy mu powiedziała, że może czegoś się od niej nauczyć, chodziło jej właśnie o to. Nawet nie potrafił jej za to zniechęcić, poczuł natomiast rosnącą panikę.

Chwila milczenia, a potem Fiona zaczęła płakać. Oczy napęłniły się łzami, które popłynęły po policzkach i zaczęły ściekać na pulower, ona zaś siedziała nieruchomo jak

dziecko nieświadome tego, że cieknie mu z nosa. Przez moment Will myślał, że najlepiej będzie to przeczekać, a płacz sam minie, potem jednak nie mógł obronić się przed myślą, że nie może siedzieć beczynnym i musi coś zrobić, jeśli jest chociaż odrobinę coś wart.

- O co chodzi?

Chciał, żeby pytanie zabrzmiało jako pełne troski, ale wyszło J tak, jakby w środku zabrakło poirytowanego "tym razem".

- O nic.

- Przecież to nieprawda.

Jeszcze nie było za późno. Gdyby teraz zjawiała się Rachel zadyszana i pełna przeprosiny, mógłby przedstawić sobie obie kobiety, mruknąć Rachel, że Fiona właśnie miała wyznać, z czego wynika jej przygnębienie, a następnie czmychnąć, gdzie pieprz rośnie. Zerknął błagalnie na drzwi i jak za dotknięciem różki otworzyły się, ale stanęli w nich dwaj mężczyźni w koszulkach Manchester United.

- Prawda. O nic nie chodzi. Taka już jestem. I tyle.

- Smutek egzystencjalny, tak?

- Tak.

Znowu nie utrafił we właściwy ton. Użył tego określenia przede wszystkim po to, aby pokazać, że je zna (obawiał się, że Fiona uważa go za tępaka), w tej sytuacji wydało się jednak bardzo sztuczne i nadęte. W ogóle nie nadawał się do rozmów o egzystencjalnym smutku. To nie on. Ale czy to coś złego, jakiś wstyd? Skórzane spodnie to także nie on. (Przymierzył raz dla żartu w sklepie LeatherTime na Covent Garden i wyglądał jak... mniejsza z tym). Kolor zielony - to nie on. Antyczne meble to nie on. Także depresyjne wyzwolone hippiski - to nie on. I co z tego? Czy to czyniło z niego złego człowieka?

- Nie wiem, czy jest sens rozmawiać o tym z tobą.

- Nie - odpowiedział odrobinę zbyt skwapliwie. - Rozumiem, co masz na myśli. To co, skończymy i idziemy. Rachel już się raczej nie pojawi.

Fiona uśmiechnęła się smutno i pokręciła głową.

- Mógłbyś starać się przekonać mnie, że nie mam racji.

- Mógłbym?

- Chyba dobrze by mi zrobiła rozmowa z kimś, a na razie tylko ciebie mam do dyspozycji.

- To prawda, ale nie wiem, czy będzie ze mnie wielki pożytek. Myślę, że jakbyś cisnęła za siebie tym plasterkiem cytryny, padłoby na kogoś lepszego ode mnie. No, może tylko z wyjątkiem tego faceta, co tam podśpiewuje.

Roześmiała się. Może sprawił to żart z cytryną. Może kiedyś uzna ten moment za przełomowe wydarzenie w swoim życiu. Ale... ale zaraz pokręciła głową, mruknęła: "Nie, cholera!" i znowu zaczęła płakać. Najwyraźniej przecenił możliwości jednej celnej frazy.

- Może pójdziemy coś zjeść? - zaproponował niepewnie. Czekало go pewnie długie i nieprzyjemne doświadczenie.

Poszli do Pizza Express na Upper Street. Ostatni raz był tu z Jessicą, swoją eks - dziewczyną, która robiła wszystko, aby uczynić go tak nieszczęśliwym, pozbawionym snu i przygniecionym ciężarem rodzicielstwa, jak sama się stała. Było to dawno, dawno temu, na długo przed ROSR, Marcusem, Suzie, Fioną, Rachel i całą resztą. Był wtedy może idiotą, ale idiotą z pewnym pomysłem na życie, z pewnymi solidnymi przeświadczeniami; teraz był starszy o setki lat, miał iloraz inteligencji wyższy o punkt lub dwa i czuł się kompletnie rozbity. Zdecydowanie wolałby być idiotą. Miał życie tak poukładane, że nie musiał się przejmować problemami innych ludzi, a teraz nagle kłopoty wszystkich stały się jego problemami, a on w ogóle nie wiedział, jak je rozwiązać. Jak więc miał się poczuć lepiej on sam czy jakakolwiek osoba z nim związana?

W milczeniu czytali menu.

- Tak naprawdę to nie jestem głodna - oznajmiła Fiona.

- Zjedz coś - powiedział Will zbyt szybko i ze zbytnimi naciskiem, tak że się uśmiechnęła.

- Sądysz, że pizza mi pomoże?

- Tak, Yeneziana, bo dzięki temu powstrzymasz zapadanie się Wenecji w morze i zaraz poczujesz się lepiej.

- OK, ale z dodatkową porcją pieczarek.

- Dobra myśl.

Kelner przyjął od nich zamówienia; Will zamówił wino, butelkę czerwonego stołowego, a także Cztery Pory Roku, ze wszystkimi dodatkami, jakie tylko mógł wymyślić. Jeśli mu się poszczęści, to dostanie ataku serca albo uruchomi jakąś alergię, której dotąd nie był świadom.

- Przepraszam - odezwała się Fiona.

- - Za co?

- Że taka jestem. I to umówiwszy się na drinka.

- Nic nie szkodzi. Przywykłem do tego, że jak się umawiam z dziewczyną na drinka, to tak się dzieje.

Uśmiechnęła się, ale Will poczuł obrzydzenie do siebie. Chciał jakoś zacząć rozmowę, którą musieli odbyć, ale nie widział sposobu i co gorsza, nigdy go nie zobaczy, jak długo będzie miał swój mózg, słownictwo i swoją osobowość. Miał wrażenie, że zbliżył się do czegoś bardzo ważnego i a propos tej sytuacji, ale wrażenie jak zawsze uleciało. A, do diabła, powiedz jakiś idiotyzm.

- To ja powinienem przeprosić. Chciałbym ci pomóc, ale nie potrafię. Właściwie nie potrafię rozwiązywać żadnych poważnych problemów.

- To typowe dla facetów, prawda?

- Co?

- Że jak nie znasz rozwiązania, to nie masz się czym trapić. Że coś staje się ważne dopiero wtedy, kiedy możesz powiedzieć: "Znam takiego facet na Essex Road, który wie, jak to załatwić".

Will poprawił się na krześle i nic nie odpowiedział. Właściwie przez połowę wieczoru usiłował sobie przypomnieć - mówiąc metaforycznie - tego faceta na Essex Road.

- A mnie potrzeba czegoś innego. Wiem, że nic nie możesz pomóc. Cierpię na depresję. To choroba. Właśnie znowu się zaczęła. No, może to nie do końca prawda, bo pewne rzeczy dopomogły, ale...

I poszło; o wiele łatwiej, niż przypuszczał. Wystarczyło, by słuchał, kiwał głową, od czasu do czasu postawił właściwe pytanie. Robił to już wiele razy, z Angie, Suzie, Rachel, ale zawsze miał w tym pewien cel, którego tutaj nie było. Nie chciał spać z Fioną, zależało mu jednak na tym, aby poczuła się lepiej, a wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że aby to uzyskać, musi postępować tak samo, jakby chciał się z nią przespać. Nie zamierzał w tej chwili zastanawiać się nad implikacjami tego faktu.

Dowiedział się wiele o Pionie. Wcale nie chciała być matką i czasem tak nienawidziła Marcusa, że napełniało ją to lękiem; dręczy ją nieumiejętność związania się z kimś na dłużej (tutaj Will z najwyższym trudem powstrzymał się od uwagi, że nieumiejętność wiązania się na dłużej jest oznaką nazbyt często deprecjonowanej odwagi moralnej); strachem napełniły ją ostatnie urodziny: nigdzie nie poszła, nic nie robiła, cały wieczór w domu. Żadna z tych kwestii nie była wielka sama w sobie, ale depresja była większa od ich sumy i Fiona wszystko widziała teraz jak przez zielono - brązową zasłonę. A gdyby ktoś ją spytał, gdzie się mieści to uczucie (Willowi trudno było sobie wyobrazić bardziej nieprawdopodobne pytanie, ale to właśnie była jedna z licznych różnic między nimi), odpowiedziałyby, że w gardle, gdyż nie pozwalało jej jeść i sprawiało, że nieustannie czuła się na krawędzi płaczu, chyba że już łkała.

Mniej więcej tyle. Nie pojawiło się wcale to, czego Will lękał się najbardziej - no może poza pytaniem Fiony: "Po co to wszystko?" - że ujawni się jakiś sekretny powód depresji, jakaś tragiczna niedomoga, a on będzie jedyną osobą, która cokolwiek mogłaby z nią zrobić, tyle że nie będzie potrafił. Tymczasem nic z tego; żadnej właściwie przyczyny, jeśli uznać, że nie jest przyczyną samo życie z właściwymi mu rozczarowaniami, kompromisami i gorzkimi małymi porażkami. Kto wie, czy w ogóle trzeba szukać jakiejś innej przyczyny.

Pojechali taksówką do Fiony. Kierowca słuchał jakiejś stacji radiowej, a spiker mówił o Kurcie Cobainie. Po jakiejś chwili Will wychwycił w głosie spikera dziwny, posępny ton.

- Co się z nim stało? - spytał taksówkarza.

- Z kim?

- Z Kurtem Cobainem.

- Tym z Nirvany? Strzelił sobie w głowę. Bum!

- Nie żyje?

- Och, nie. Tylko boli go głowa. Oczywiście, że nie żyje.

Will nie był szczególnie zaskoczony, gdyż był już na to za . stary. Zdążył się przyzwyczaić do śmierci gwiazd popu od czasu Marvina Gaye'a. Kiedy to było? Pierwszego kwietnia 1984 roku... O rany, dziesięć lat temu, niemal co do dnia. Miał wtedy dwadzieścia sześć lat, a to jeszcze wiek, gdy różne rzeczy są ważne; nie pamiętał dobrze, ale nie mógł wykluczyć, że śpiewał J kawałki Marvina Gaye'a z zamkniętymi oczyma. Teraz wiedział już dobrze, że samobójstwa gwiazd to przede wszystkim zdarzenia medialne i jedyną konsekwencją śmierci Kurta Cobaina będzie to, iż Nevermind stanie się na jakiś czas odrobinę bardziej na topie. Ellie i Marcus byli jednak za młodzi, aby to zrozumieć. Będą doszukiwali się w tym samobójstwie jakiegoś głębszego znaczenia i przede wszystkim to niepokoiło Willa.

- To nie ten, którego lubi Marcus? - spytała Fiona.

- Ten.

- O Boże!

I nagle Willa ogarnął prawdziwy przestach. Nigdy dotąd nie miał żadnych intuicji, ale teraz nawiedziło go coś w tym rodzaju. Ciekawe, pomyślał, że przyczyną był Marcus, a nie Rachel czy ktoś o wyglądzie Urny Thurman.

- Słuchaj, nie chcę, żeby to zabrzmiało jakoś dziwnie, ale czy mógłbym posłuchać wiadomości od Marcusa na sekretarce? Chcę się upewnić, że wszystko jest OK.

Ale nie było. Marcus dzwonił z komisariatu w miejscowości Royston; miał głos osoby przerażonej i samotnej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Z początku nie rozmawiali w pociągu, tylko Ellie co jakiś czas chlipała, groziła, że pociągnie hamulec bezpieczeństwa albo że zrobi coś ludziom, którzy przyglądali się jej, gdy kłęła lub piła wódkę z butelki. Marcus czuł się zmęczony. Stało się całkowicie jasne, że chociaż uważał, iż Ellie jest świetna, piękna i mądra, i z chęcią widywał się z nią w szkole, to jednak nie chciał, by była jego dziewczyną. Potrzebował innej osoby, kogoś spokojniejszego, kto lubiłby książki i gry komputerowe, a z kolei Ellie potrzebny był ktoś, kto lubił pić wódkę, kłać przy ludziach i grozić zatrzymaniem pociągu.

Mama powiedziała mu kiedyś (być może wtedy, jak chodziła z Rogerem, który był zupełnie inny od niej), że ludziom czasami jest potrzebny ktoś o przeciwnym charakterze, i teraz Marcus zaczynał dostrzegać w tym sens. Jak się nad tym zastanowić, to teraz Ellie o wiele bardziej potrzebny był ktoś, kto nie pozwoliłby jej pociągnąć za hamulec, niż ktoś, kto to uwielbiał, z tym drugim bowiem dawno już by to zrobili i jechaliby właśnie do więzienia. Trudność polegała na tym, że wcale nie było tak przyjemnie przeciwstawiać się Ellie. No może czasami, w szkole, gdy żywioł jej osoby dawał się poskromić. Ale na zewnątrz to wcale nie było zabawne, a wprost przeciwnie: było trudne i straszne.

- Dlaczego to takie ważne? - spytał cicho. - Wiem, że lubisz jego kawałki i tak dalej, martwisz się o Frances Bean i...

- Kochałam go.

- Przecież go nawet nie znałaś.

- Znałam. Każdego dnia go słuchałam, każdego dnia miałam go na sobie. To, o czym śpiewa, to właśnie on. Znam go lepiej niż ciebie. On mnie rozumiał.

- On cię rozumiał?

Co to mogło znaczyć? Jak może cię rozumieć ktoś, kto cię nigdy na oczy nie widział?

- Wiedział, co czuję, i śpiewał o tym.

Marcus usiłował sobie przypomnieć jakieś słowa z płyty, którą dostał na Boże Narodzenie od Willa, ale udawało mu się wychwycić tylko strzępy: "Czuję się głupi i zarażony", "Komar", "Nie mam spluwy". Dla niego nie miały one większego sensu.

- A co takiego czujesz?

- Złość.

- Na co?

- Na nic. Po prostu... na życie.

- Dlaczego na życie?

- Bo jest gówniane.

Marcus zaczął się zastanawiać, czy życie w ogóle jest gówniane, czy może takie było życie Ellie, ale wtedy przyszło mu do głowy, że Ellie właściwie chciała, żeby życie było gówniane, a stawało się takie, gdyż sama się wpędzała w kłopoty. Szkoła była gówniana, gdyż Ellie każdego dnia była w tej swojej bluzie, czego jej zabraniano, a poza tym krzyczała na nauczycieli i wdawała się w bójki, co wszystkich irytowało. A gdyby przestała się upierać przy bluzie i krzyczeć na ludzi? Jak gówniane byłoby wtedy życie? Nie bardzo. Naprawdę gówniane było ono dla niego: z mamą, kolegami i całą resztą, którą z chęcią by oddał, żeby tylko być Ellie, tymczasem wydawało się, że ona robi, co może, aby znaleźć się w jego sytuacji - i po co?

Przypomniał mu się Will i jego fotografie zmarłych narkomanów; może Ellie była podobna do Willa. Gdyby któreś z nich miało prawdziwe kłopoty, nie musieliby ich dopiero wymyślać ani wieszać takich zdjęć na ścianach.

- Naprawdę tak myślisz, Ellie, że życie jest gówniane?

- Jasne!

- A dlaczego?

- Bo... bo na świecie pełno jest seksistów, rasistów i przemocy.

Marcus wiedział, że to prawda - dostatecznie często słyszał to od mamy i taty - ale jakoś nie był przekonany, że to prawdziwa przyczyna złości Ellie.

- I to samo myślał Kurt Cobain?

- Nie wiem. Pewnie tak.

- Ale na pewno nie wiesz, że myślał tak samo jak ty?

- Jak go słucham, to jestem pewna.

- I też chciałabyś się zastrzelić?

- Jasne. A przynajmniej czasami. Marcus przyjrzał się jej uważnie.

- To nieprawda, Ellie.

- Skąd wiesz?

- Bo wiem, jak czuje się moja mama, a z tobą tak nie jest. Lubisz tak myśleć, ale to nieprawda. Masz za dużo radochy.

- Ale czasami mam także przesrane.

- Nie, to ja mam, poza tymi chwilami, które spędzam z tobą. Moja mama ma czasami okropnie. Ale ty... Nie, to nie tak.

- Co ty tam wiesz.

- Trochę wiem, a o tych sprawach szczególnie. I coś ci powiem, Ellie, wcale nie czujesz się tak jak moja mama czy Kurt Cobain. Nie powinnaś mówić, że chcesz się zabić, kiedy wcale nie chcesz, bo to nie w porządku.

Ellie pokręciła głową i prychnęła tym swoim śmiechem oznaczającym: "Nikt mnie nie rozumie", którego Marcus nie słyszał od dnia, gdy zagadał do niej pod gabinetem pani Morrison. Wtedy miała rację: nie rozumiał jej, ale teraz było już inaczej.

Milczeli przez kilka stacji. Marcus wyglądał przez okno i zastanawiał się, jak wytłumaczyć tacie obecność Ellie. Prawie nie zauważył, że pociąg staje w Royston, i zupełnie

nie był przygotowany na to, że Ellie nagle wyskoczy na peron. Przez sekundę się zawahał, czując, że dzieje się coś bardzo niedobrego, a potem pognął za nią.

- Co ty wyrabiasz?

- Już nie chcę jechać do Cambridge. Nie znam twojego starego.

- Nie znałaś i wcześniej, ale chciałaś jechać!

- To było przedtem. Teraz wszystko się zmieniło.

Poszedł za nią; nie spuścił z niej oka. Wyszli z dworca, jakąś małą uliczką doszli do ulicy głównej. Minęli aptekę, sklep warzywny, Tesco i tak znaleźli się przed sklepem z płytami, w którego witrynie umieszczono kartonową sylwetkę Kurta Cobaina.

- Popatrz! - powiedziała. - Te skurwysyny nawet teraz chcą na nim zrobić kasę!

Zdjęła but i z całej siły cisnęła w szybę. Ta natychmiast pękła, a Marcus najpierw pomyślał, że szyby w Royston są słabsze niż w Londynie, a dopiero potem uzmysłowił sobie, co się dzieje.

- Cholera, Ellie, co ty wyrabiasz!!!

Ona natomiast, waląc butem jak młotkiem, wybiła dziurę odpowiednio wielką, aby nie kalecząc się, oswobodzić tekturowego Kurta Cobaina.

- Wyszedł z pudła - powiedziała i siadła na krawężniku, obejmując makietę i dziwnie się uśmiechając. Marcus wpadł w panikę. W pierwszym odruchu rzucił się biegiem, chcąc uciekać bez chwili odpoczynku do Londynu, ale po kilku jardach zatrzymał się i zawrócił na drżących nogach. Zaczerpnął kilka głębszych oddechów i usiadł obok niej.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Nie wiem. Zrobiło mi się smutno, że tak tam musi stać.

- Och, Ellie!

Marcusa po raz kolejny nawiedziło uczucie, że Ellie wcale nie musiała robić tego, co robiła, i że specjalnie ściągała na siebie kłopoty. Nie chodziło o nic poważnego, a na świecie dostatecznie dużo było poważnych problemów, żeby jeszcze wymyślać nowe.

Przedtem ulica była cicha i spokojna, ale brzęk szkła wyrwał Royston z odrętwienia; w ich kierunku biegło kilka osób.

- Siedzieć tu i się nie ruszać! - polecił facet z długimi włosami i wyraźną opalenizną. Z pewnością pracuje u fryzjera albo w butiku, pomyślał Marcus. Kiedyś nic takiego nie przyszłoby mu do głowy, ale czas spędzony z Willem robił swoje.

- Chyba nigdzie nam się nie spieszy, co Marcus? - powiedziała radosnym głosem Ellie.

Siedząc w policyjnym wozie, Marcus przypomniał sobie dzień, gdy urwał się na wagary, i przyszłość, jaka mu wtedy zamajaczyła przed oczyma. Miał wtedy trochę racji; istotnie, zmieniło się całe jego życie i teraz niemal pewne stawało się, że zostanie włóczęgą albo narkomanem, bo w każdym razie przestępcą już został. A wszystko z powodu mamy! Gdyby nie poskarżyła się pani Morrison na kradzież butów, on nie obraziłby się na dyrektorkę za sugestię, że powinien schodzić z drogi swym prześladowcom. A wtedy nie urwałby się ze szkoły... a poza tym nie nawiązałby znajomości z Ellie. Ona także była winna. Ostatecznie to przecież ona walnęła butem w witrynę. Chodzi o to, że kiedy już raz złamało się reguły, to człowiek zaczynał obracać się pośród takich osób jak Ellie, a to oznaczało kłopoty, areszt i komisariat w Royston. A teraz nic już nie można było na to poradzić.

Policjanci okazali się całkiem mili. Ellie wyjaśniła, że nie jest chuliganem ani narkomanką, że zgodnie z przysługującym jej, jak każdemu obywatelowi, prawem protestowała, a protestowała przeciw komercyjalnemu wykorzystaniu śmierci Kurta Cobaina.

Policjanci zaczęli się śmiać, co Marcusa natchnęło optymizmem, Ellie jednak rozzłościło. Powiedziała, że traktują protekcjonalnie, a oni spojrzeli po sobie i zaczęli się śmiać jeszcze głośniej.

Na komisariacie wprowadzono ich do małego pokoju, gdzie po chwili zjawiała się policjantka i zaczęła ich wypytywać: ile mają lat, gdzie mieszkają, co robią w Royston. Marcus usiłował opowiedzieć o ojcu, parapecie, wspaniałym pomysle, Kurcie Cobainie i

wódce, widział jednak, że tylko coraz bardziej wszystko gmatwa, a policjantka w żaden sposób nie może pojąć, co jego ojciec ma wspólnego z Ellie i szybą wystawową, więc zrezygnował.

- On nic nie zrobił - odezwała się nagle Ellie, chociaż głos miała nieprzyjemny; zupełnie jakby sugerowała, że powinien był coś zrobić, ale się nie popisał. - Wsiadłam z pociągu, a on poszedł za mną. Puśćcie go.

- A dokąd? - spytała policjantka. Dobre pytanie, pomyślał Marcus, zadowolony, że ono padło. Wcale nie chciał znaleźć się nagle sam w Royston. - Musimy zadzwonić do jego rodziców. I do twoich także.

Ellie zmarszczyła brwi i wpatrzyła się w policjantkę, ale ta nie spuściła wzroku. Niewiele było więcej do powiedzenia. Dokonano przestępstwa, sprawczyni została rozpoznana i znajdowała się na komisariacie; teraz już tylko pozostawało siedzieć i czekać w milczeniu.

Pierwszy pojawił się jego ojciec w towarzystwie Lindsey. Z uwagi na jego złamany obojczyk, to ona musiała prowadzić, a ponieważ nie znośiła tego robić, oboje byli w kiepskim stanie: ona zmęczona i poirytowana, on nachmurzony i obolały. Nie wyglądał na faceta, który skłonny jest do gruntownych przemyśleń, ani na kogoś, kto jeszcze przed chwilą bardzo tęsknił za synem.

Policjantka zostawiła ich we czworo. Ojciec ciężko osunął się na ławkę pod drugą ścianą, Lindsey siadła obok i wpatrywała się w niego z uwagą.

- Właśnie tego było mi jeszcze potrzeba. Dzięki, Marcus.

Marcus przesłał ojcu zgnębione spojrzenie.

- On nic nie zrobił - ostro wtrąciła się Ellie. - Próbował mi pomóc.

- A ty kim właściwie jesteś?

- Właściwie? - Najwyraźniej Ellie nie pałała do jego ojca ogromną sympatią, ale Marcus nie czuł się na siłach, by czemukolwiek zapobiegać. - Właściwie? Eleanor Toyah Gray, wiek piętnaście lat siedem miesięcy, zamieszkała przy ulicy...

- Czemu się przyczepiłaś do Marcusa?

- Do nikogo się nie przyczepiałam. Jest moim przyjacielem. - To była dla Marcusa nowina, gdyż od chwili, gdy wsiedli do pociągu, wydawało mu się, że nie są już przyjaciółmi. - Poprosił mnie, żebym pojechała z nim do Cambridge, gdyż nie miał ochoty spotkać się w cztery oczy z ojcem, który go nie rozumie i porzucił wtedy, kiedy go najbardziej potrzebował. Faceci są nieźli, co? Masz matkę, która chce się załatwić, lecz tatusia to nie interesuje, ale jak się spierdoli z parapeetu, to trzeba czym prędzej jechać, żeby pogadać z nim o sensie życia.

Marcus położył głowę na rękach złożonych na stole. Poczul się nagle bardzo, bardzo zmęczony, miał dość ich wszystkich, najchętniej zostałby teraz sam. Życie było dostatecznie ciężkie bez pyskówek Ellie.

- Czyja matka chce się zabić? - spytał Clive.

- Ellie - natychmiast odrzekł Marcus.

Clive przyjrzał się dziewczynie z zainteresowaniem.

- To niedobrze - powiedział, aczkolwiek w jego głosie niewiele było współczucia czy szczerzej ciekawości.

- Nie ma sprawy - mruknęła Ellie, która natychmiast połapała się w swojej gafie.

- Przypuszczam, że mnie za to obwiniasz - zwrócił się Clive do Marcusa. - Pewnie myślisz, że gdybym został z matką, nie wpadłbyś w takie kłopoty. I chyba masz rację.

Westchnął ciężko, a Lindsey wyrozumiale pogładziła go po dłoni.

Marcus dziarsko się wyprostował.

- O co ci chodzi?

- To ja wpędziłem cię w to bagno.

- Jakie bagno? Po prostu wysiadłem z pociągu. - Marcus odzyskał werwę. Zamiast zmęczenia czuł teraz gniew, który pozwalał mu podjąć dyskusję z każdym, niezależnie od wieku. Szkoda, że nie można było tej pasji kupować w butelkach, bo co jakiś czas pociągałby

sobie w szkole. - Jakie bagno? To Ellie ma kłopoty. Ma świra, jak opętana wyskoczyła z pociągu, rozwaliła butem szybę, bo za nią było zdjęcie jej ulubionego piosenkarza. Ja nic nie zrobiłem. I nic mnie to nie obchodzi, czy jesteś w domu, czy cię nie ma. Co to za różnica? I tak wysiadłbym z pociągu, gdybyś dalej był z mamą, gdyż chciałem jakoś pomóc przyjaciółce. - Co nie było do końca prawdą, gdyby bowiem rodzice byli razem, w ogóle nie siedzieliby w pociągu, chyba że jechałby z Ellie w jakimś innym celu, ale nie bardzo potrafił sobie wyobrazić, jaki to mógłby być cel. - Chyba nie ma z ciebie żadnego pożytku jako z ojca, ale nie było go i przedtem, więc nie wiem, co to za różnica, gdzie mieszkasz. Ellie roześmiała się w głos.

- Ej, Marcus! Ale gadka!!! - Dzięki, mnie też się podoba.

- Biedne dziecko! - powiedziała z troską w głosie Lindsey.

- Zamknij się i ty, do cholery! - warknął Marcus, a Ellie zaśmiała się jeszcze głośniej. Wszystko ze złości, bo biedna Lindsey nie zrobiła nic złego, ale tak czy owak, Marcus czuł się fajnie.

- To co, możemy już iść? - spytała Ellie.

- Musimy poczekać na twoją matkę - sztywno oznajmił Clive. - Jedzie tutaj z Fioną. Podrzuci je Will.

- O nie! - mruknął z desperacją Marcus.

- Kurwa mać! - nader wyraźnie powiedziała Ellie, a Marcus jęknął. I tak siedzieli we czworo, spoglądając na siebie i czekając na następną scenę przedstawienia, które, jak się wydawało, nie będzie mieć końca.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Życie było jak powietrze; o tym Will był już całkowicie przekonany. Niepodobna było odsunąć go na bok gdzieś daleko, a jedyne, co można było robić, to pogrążyć się w nim i oddychać. Zagadkę stanowiło to, jak ludzie mogli wciągać je do płuc i nie krztusić się, kiedy było w nim tyle brudów, że właściwie można by je żuć.

Zadzwoił do Rachel od Fiony, kiedy ta była w łazience, i tym razem telefon odpowiedział.

- Od samego początku nie zamierzałaś przyjść?

- Hm...

- Mam rację?

- Tak. Pomyślałam, że... że tak będzie dobrze dla ciebie. Czy zrobiłam coś okropnego?

- Chyba nie. Może istotnie dobrze mi to zrobiło.

- Więc się udało.

- Ale generalna zasada...

- Z zasady, jeśli się umawiam, to przychodzę.

- To przynajmniej dobrze.

Opowiedział jej o Marcusie i Ellie, obiecując, że będzie ją informował w miarę na bieżąco. Ledwie odłożył słuchawkę, zadzwoniła matka Ellie, Katrina. Fiona porozmawiała z nią, następnie z Willem i oddzwoniła, proponując Katrinie, by razem z nimi pojechała do Royston. Will udał się po samochód, wrócił po Fionę, a następnie odszukali dom Ellie.

Fiona poszła po Katrinę, Will zaś siedział, słuchał Nirvany i myślał o Dniu Martwej Kaczki. Przypomniało mu go poczucie zaskoczenia, troski i chaosu. Główna różnica polegała

na tym, że teraz było to takie... niemiłe. Samobójcza próba Fiony nie przyprawiła go wprawdzie o ataki śmiechu, ale ani nie znał wtedy ich obydwójga, ani się szczególnie nimi nie przejmował, dzięki czemu mógł z neutralną fascynacją obserwować, w co się pakują ludzie, kiedy są nierozsądni lub pechowi - albo jedno i drugie. Teraz jednak obojętność zniknęła i bardzo się przejmował biednym Marcusem siedzącym ze świrowatą nastolatką na posterunku w małej miejscinie, o czym pewnie zapomni do następnego weekendu, ale także dawną samobójczą próbajego matki, o czym będzie pamiętał pewnie aż po grób. Wydawało się, że to bez znaczenia: czujesz coś czy nie czujesz nic, gdyż twoje reakcje i tak będą nieodpowiednie.

Matka Ellie była atrakcyjną kobietą tuż po czterdziestce, dostatecznie młodo wyglądającą, by nałożyć znoszone, spłowiałe džinsy i skórzaną kurtkę motocyklową. Miała burzę kędzierzawych, poczernionych henną włosów, ujmujące zmarszczki wokół oczu i ust, a sądząc z tego, co mówiła, dawno już zrezygnowała z prób oddziaływania na córkę.

- Ona zwariowała - powiedziała, wruszając ramieniem, ledwie tylko wsiadła do samochodu. - Nie wiem, jak i dlaczego, ale to wariatka. To znaczy, nie taka do czubków, ale nie do opanowania. Mogę zapalić przy otwartym oknie? - Zaczęła szukać w torebce zapalniczki, ale zaraz palenie wyleciało jej z głowy. - Najśmieszniejsze jest to, że kiedy się urodziła, miałam nadzieję, że taka właśnie będzie: z tupetem, buntownicza, bystra i głośno mówiąca swoje. Dlatego dałam jej imiona Eleanor Toyah.

- To jakieś klasyczne? - spytała Fiona.

- Nie, imię gwiazdy popu - wyjaśnił Will, a zdziwiony śmiechem Fiony dorzucił: - Toyah Wilcox.

- No i teraz jest buntowniczą tupeciarą, a ja oddałabym wszystko, żeby była szarą myszką, która każdy wieczór spędza w domu. Ona mnie zabija.

Will skrzywił się na te ostatnie słowa i zerknął spod oka na Fionę, ale ta chyba nie widziała w nich nic ponad figurę retoryczną.

- Ale teraz miarka już się przebrała - powiedziała Katrina.

- Ditto - zawtórowała jej Fiona. - Do następnego razu.

Obie się roześmiały, a Will pomyślał, że wiele jest w tym sensu. Ellie zabija Katrinę, Marcus zabija Fionę, i po każdym razie, kiedy miarka się przebrała, przychodzi raz następny i tak to trwa rok po roku. Były "nieumieralne". Nie potrafiły żyć normalnie, ale nie potrafiły też umrzeć, a jedyne, co potrafiły, to siedzieć w cudzym samochodzie i zaśmiewać się z tej swojej nieumiejętności. A Jessica miała jeszcze czelność mu powiedzieć, że coś traci? Najpewniej nigdy nie pojmie, co mogła mieć na myśli.

Zatrzymali się na stacji benzynowej, żeby zatankować, a przy okazji kupić colę, chrupki i baloniki czekoladowe, a kiedy znowu wsiedli do samochodu, atmosfera jakoś się zmieniła; gdzieś w trakcie otwierania puszek i rozrywania paczek zrodziło się poczucie wspólnoty. Zupełnie jakby zapomnieli, co ich zjednoczyło, a celem samym w sobie stała się wycieczka. Z wycieczek szkolnych Willowi przypominało się niejasno, że taki efekt ma wysiadanie z autobusu i wsiadanie z powrotem, ale nie był tego całkiem pewien. Być może jakiś nastrój zauważało się dopiero, gdy na chwilę się od niego odeszło, w każdym razie auto wypełniała teraz mieszanina przygnębienia, troski, zduszonej hysterii i wspólnoty, a Will zdecydowanie bardziej był uczestnikiem niż obserwatorem. Z pewnością nie było to coś, czego bardzo mu brakowało, natomiast ważną rolę odgrywały dzieci. Duża w tym zasługa Marcusa, myślał, bo chociaż był nieporadny, cudaczny i tak dalej, to miał jednak dar przerzucania mostów, gdziekolwiek się znalazł, a niewielu dorosłych rozporządzało taką umiejętnością. Nigdy by nie przypuścił, że potrafi zbliżyć się do Fiony, a jednak potrafił; jego znajomość z Rachel była związana z Marcusem. A tu jeszcze trzecia osoba, której nigdy dotąd nie widział na oczy, a przełamują baloniki i podają sobie puszki, jakby mieli już za sobą wymianę płynów ustrojowych. Czy to nie ironia, że ten dziwny samotny dzieciak zaplalał więzy, a sam pozostawał nie związany?

- Dlaczego ten facet się zastrzelił? - spytała zniecierpliwiona Fiona.

- Kurt Cobain? - jednocześnie spył Will i Kalrina.

- Jeśli tak się nazywał, to on.

- Nie był chyba szczęśliwy - wyraziła przypuszczenie Kalrina.

- Tego sama się mogłam domyślić. A z jakiego powodu?

- Już nie pamiętam, Ellie mi mówiła, ale ja się akurat wyłączyłam. Narkotyki? Złe dzieciństwo? Stres? Chyba coś takiego.

- Ja po raz pierwszy usłyszałam o nim na Boże Narodzenie - powiedziała Fiona - ale, zdaje się, był sławny?

- A nie widziałaś wiadomości? Ci młodzi ludzie, co się obejmowali i płakali. Aż smutno było patrzeć. Tyle że nikomu z nich jakoś nie paliło się do wybijania szyb i tylko moja córka tak postanowiła wyrazić swój żal.

Will zastanawiał się, czy Marcus słuchał u niego Nevermind w nastroju podobnym do tego, jaki on odczuwał, słuchając po raz pierwszy zespołu Clash. Trudno przypuścić. Mało prawdopodobne, by Marcus potrafił zrozumieć ten rodzaj wściekłości i bólu, chociaż pewnie nosił gdzieś w sobie własną odmianę tych uczuć. Ale proszę: oto siedział w więzieniu - no zgoda, w policyjnym areszcie - ponieważ okazał się współnikiem przestępstwa, które miało jakoś pomścić śmierć Kurta Cobaina. Trudno było sobie wyobrazić dwie dusze mniej pokrewne niż Marcus i Kurt Cobain, a tymczasem udało im się ta sama sztuczka: Marcus zaplatał niemożliwe więzy w samochodach i komisariatach, Cobainowi udało się to samo w międzynarodowej telewizji. Czyż może być lepszy dowód na to, że sprawy nie stoją tak źle, jakby się mogło wydawać? Bardzo chciałby to powtórzyć Marcusowi i każdej innej osobie, która znalazłaby się w potrzebie.

Byli już blisko. Katrina gadała jak najęta, najwyraźniej całkowicie pogodzona już z myślą, że jej córka znowu wpadła w tarapaty (Will pomyślał, że była to jedyna rozsądna postawa, kiedy za córkę miało się kogoś takiego jak Ellie), ale Fiona zupełnie ucichła.

- Wszystko będzie w porządku - powiedział i poklepał ją po dłoni.

- Wiem, jasne - odrzekła, ale było w jej głosie coś, co mu się zdecydowanie nie podobało.

Willa nie zaskoczyło to, że atmosfera ni posterunku była nie najlepsza - jak każdy konsument miękkich narkotyków nie był wielkim fanem policji. Zaskoczyło go natomiast, że owa atmosfera związana była nie tyle z samymi funkcjonariuszami, którzy okazali się w miarę uprzejmi, ile z osobami siedzącymi w pokoju przesłuchań. Lindsey i Clive patrzyli gniewnie na Marcusa, który odpowiadał im równie nieprzyjaznym spojrzeniem.

Rozwścieczona nastolatka (jak z satysfakcją zauważył Will, istotnie mająca w so - bie coś z Siouxi i Roadrunners, z tym tylko wyjątkiem, że miała fryzurę osoby dopiero niedawno wypuszczonej na wolność) patrzyła ze złością na każdego, kto ośmielił się wytrzymać jej wzrok.

- Strasznie się spieszyłaś - powiedziała Ellie na widok matki.

- Ciekawe, jak miałam być szybciej, skoro natychmiast po telefonie wyruszyliśmy samochodem.

- Pani córka - odezwał się Clive z namaszczeniem, które nie bardzo pasowało do faceta w bluzie z napisem "University of Life" i ręką na temblaku - jest opryskliwa i agresywna, a twój syn - zwrócił się do Fiony - obraca się w złym towarzystwie.

- Twój syn! - szyderczo powtórzyła Ellie, Fiona natomiast pozostała chmurna i milcząca.

- Kazał mi się zamknąć - naskarżyła Lindsey.

- Ta - taaam! - wykrzyknęła Ellie.

Na twarzy policjantki, która wprowadziła Willa i dwie kobiety, widać było niejakie rozbawienie.

- Możemy już ich zabrać? - spytał Will.

- Nie, czekamy jeszcze na właścicielkę sklepu.

- Świetnie - powiedziała Ellie. - Jej też dam popalić.

- A raczyłybyś mi wyjaśnić, za co? - spytała Katrina tonem, który wyrażał szyderstwo i udrękę, a którego wypracowanie musiało zabrać trochę lat.

- Bo dla zarobku wykorzystuje tragedię - odparła Ellie. Nic jej nie obchodzi, co to znaczy dla innych, a interesuje ją tylko kilka funtów ekstra.

- A właściwie po co ona tutaj? - zainteresował się Will.

- Teraz stosujemy metodę konfrontacji ofiar i przestępców, żeby naocznie mogli obejrzeć konsekwencje swoich czynów.

- Ciekawe, kto tu jest przestępcą, a kto ofiarą? - zgryźliwie j warknęła Ellie, co jej matkę sprowokowało do krzyku:

- Zamkniesz ty się wreszcie?!

Do pokoju wprowadzono zdenerwowaną kobietę pod trzydziestkę. Miała na sobie bluzę z Kurtem Cobainem i dużo czarnego makijażu. Zapewne tylko genetyk mógłby wyjaśnić niesłuszność podejrzenia, że jest starszą siostrą Ellie.

- To Ruth, właścicielka sklepu - oznajmiła policjantka. A to młoda dama, która wybiła ci szybę.

Ellie nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia.

- Tak ci kazali? - spytała. - Jak?

- No, zrobić się na mnie. - A wyglądam jak ty?

Wszyscy w pokoju, włącznie z policjantką, wybuchnęli śmiechem.

- Wystawiłaś zdjęcie na wystawie, żeby na tym skorzystać - powiedziała Ellie, ale z wyraźnie mniejszym przekonaniem niż poprzednio.

- Czyje? Kurta? Zawsze tam stało. Jestem jego fanką. Jak zresztą całe Hertfordshire.

- Nie zrobiłaś tego dopiero dzisiaj, żeby zarobić kasę?

- Zarobić na żalu fanów Nirvany w Royston? To mogłabym zrobić tylko wtedy, gdyby chodziło o Julio Iglesiasa. - Ellie była stropiona. - I to dlatego wyłukłaś szybę? Bo myślałaś, że chcę zarobić na jego śmierci?

- Tak.

- Nie dość, że to najsmutniejszy dzień w moim życiu, to jeszcze jakaś idiotka wybija mi witrynę, bo sądzi, że żeruję na tragedii. Trzeba... trochę myśleć!

Will bardzo wątpił, by Ellie często zapominała języka w gębie, było jednak jasne, że jeśli chciało się zobaczyć, jak poczerwieniała na twarzy i oniemiała wybałusza tylko oczy, wystarczyło znaleźć jej dwudziestoparoletnią odpowiedniczkę, jeszcze bardziej od niej zafascynowaną Kurtem Cobainem.

- Przepraszam - wyszeptała Ellie.

- Dobra, dobra. Chodź tu lepiej.

I podczas gdy cała reszta spoglądała na to z pewnym niedowierzaniem, Ruth otworzyła ramiona, a po chwili już trzymała Ellie w objęciach.

Nietrudno było zauważyć, iż Pionie umknął fakt, iż spontaniczny uścisk stanowił zakończenie całej historii związanej z podobizną Cobaina i szybą, ale Will w ogóle odnosił wrażenie, iż od postoju na stacji benzynowej większość zdarzeń jakby przepływała obok Fiony. Dopiero teraz jednak miało się okazać, iż nie pogrążyła się we śnie na jawie, lecz szykowała do działania, a z przyczyn najlepiej znanych jej samej uznała, że teraz nadeszła odpowiednia pora. Wstała, obeszła ławkę, na której siedział Marcus, objęła go od tyłu i zwróciła się do policjantki ze słowami:

- Nie byłam dla niego dobrą matką. Pozwoliłam, by wydarzenia toczyły się swoim torem, nie interesowałam się nim odpowiednio, więc... Nie jestem zdziwiona, że doszło do czegoś takiego.

- Mamo, przecież do niczego nie doszło - obruszył się Marcus. - Ile jeszcze razy mam powtarzać, że nic nie zrobiłem?

Fiona go zignorowała, czy raczej w ogóle nie słyszała tego, co powiedział.

- Wiem, że nie zasłużyłam na żadną szansę, ale gdyby jednak... Czy pani na dzieci?

- Ja? - spytała policjantka. - Tak, mam synka, Jacka.

- Apeluję więc do pani jako matki. Jeśli da nam pani jeszcze jedną szansę, na pewno pani tego nie pożałuje.

- Mamo, nie potrzebujemy żadnej szansy. Nic nie zrobiłem, po prostu wysiadłem z pociągu.

I znowu żadnej reakcji. Jedno musiał jej Will przyznać: kiedy już zdecydowała się walczyć o dziecko, nic nie mogło jej powstrzymać, niezależnie od błędnego rozpoznania sytuacji i nieadekwatności oręża. To, co robiła, było dość idiotyczne - z czego może nawet zdawała sobie sprawę - niemniej jednak czuła, że musi jakoś wystąpić w obronie syna. Był to swego rodzaju punkt zwrotny. Łatwo było sobie wyobrazić tę kobietę, jak wygaduje najbardziej nieodpowiednie kwestie w najdziwniejszych sytuacjach, natomiast bardzo trudno było sobie ją przedstawić zwisającą z sofy nad kałużą wymiocin. Will zaczynał się uczyć, że dobre wiadomości mogą czasem przybierać dziwne i mało obiecujące postacie.

- Zawrzyjmy układ - ciągnęła Fiona. Czy stróże prawa w Royston byli bardzo podobni do tych z Prawników z Miasta Aniołów? Will miał niejaki wątpliwości, ale pewny nie był. Marcus złoży zeznania obciążające Ellie, jeśli pani go wypuści. Przepraszam cię, Katrina, ale dla niej i tak już jest za późno. Niech chociaż Marcus zacznie nowy etap życia z czystym kontem.

Wtuliła twarz w kark Marcusa, ten jednak odepchnął matkę i przesunął się w kierunku Willa. Katrina, która przez cały czas ; przemowy Fiony z najwyższym trudem powstrzymywała się od j śmiechu, podeszła teraz do niej i zaczęła uspokajać.

- Mamo, do cholery, zamknij się. Odbiło ci kompletnie. Cholera jasna, że moi rodzice muszą być takimi palantami! - zawołał Marcus ze złością.

Will przypatrywał się tej dziwnej grupie, z którą został na ten dzień związany, i usiłował znaleźć w tym jakiś sens. Wszystkie te oddziaływania i związki! Nie mógł tego ogarnąć. Nie był stworzony do przeżywania mistycznych uniesień - nawet pod wpływem narkotyków! - teraz jednak doświadczał, zdaje się, czegoś takiego; może jakoś wiązało się to z odejściem Marcusa od matki i szukaniem schronienia u niego? Jakkolwiek brzmiało wyjaśnienie, uczucie było bardzo dziwne. Niektóre osoby poznał dopiero dzisiaj, niektóre znał od niedawna, ale i w ich przypadku nie mógłby powiedzieć, że to bliska znajomość. Tak czy owak, byli tu dziewczyna z tekturową sylwetką Kurta Cobaina, facet z ręką na temblaku, kobieta tonąca we łzach, wszyscy występujący wobec siebie w relacjach, które bardzo trudno byłoby wyjaśnić komukolwiek, kto przypadkiem zajrzałby do pokoju. Will z pewnością nigdy

jeszcze nie był w tak chaotycznej, pogmatwanej i gęstej sieci; zupełnie jakby ktoś (coś?) chciał mu na chwilę dać zakosztować, jak to jest być człowiekiem. A mówiąc szczerze, wcale nie było to takie okropne i Will nie miałby nic przeciwko temu, żeby posmakować ten specjał dłużej niż chwilę.

Na kolację wszyscy udali się do najbliższego baru szybkiej obsługi. Ruth i Ellie usiadły osobno, zajadając chipsy, popalając i szepcząc do siebie; Marcus i rodzice kontynuowali walki podjazdowe, do których z entuzjazmem zabrali się jeszcze na posterunku. Clive chciał, by syn nie rezygnował z wyprawy do Cambridge, Fiona uważała, iż powinien wracać do Londynu, sam Marcus zbyt był rozproszony, by zdecydowanie przychylić się do któregoś z rozwiązań.

- A czemu w ogóle Ellie jechała z tobą? - zainteresował się Will.

- Już nie pamiętam - odrzekł Marcus. - Po prostu chciała jechać.

- Miała u nas zostać? - spytał Clive.

- Nie wiem. Pewnie tak.

- Dzięki za uprzedzenie w porę.

- Ellie do mnie nie pasuje - stanowczo oznajmił Marcus.

- Jak do tego doszedłeś? - spytał Will.

- Nie wiem, czy ona pasuje do kogokolwiek - westchnęła Katerina.

- Chyba zostaniemy przyjaciółmi - ciągnął Marcus ale... Chyba muszę poszukać sobie kogoś innego.

- Dziewczyny mniej wulgarnej i nieobliczalnej? Mniej chuligańskiej? Mniej zwariowanej? Mogłabym te "mniej" wyliczać bez końca.

Tak brzmiała kwestia matki Ellie.

- Mniej różnej ode mnie - odparł Marcus dyplomatycznie.

- To powodzenia - powiedziała Katrina. - Wielu z nas pół życia spędziło na szukaniu osób mniej różnych od nas i jakoś nie bardzo się to nam powiodło.

- To takie trudne? - spytał Marcus.

- To najtrudniejsza rzecz na świecie - powiedziała Fiona z pasją odrobinę zbyt wielką zdaniem Willa.

- A jak ci się wydaje, dlaczego każdy z nas jest sam? spytała Katrina.

Naprawdę z tej właśnie przyczyny?, zastanawiał się Will. Czy istotnie oni wszyscy szukali kogoś, kto nie był bardzo od nich odmienny? I on także? Rachel była dynamiczna, bystra, troskliwa, uważna i na wiele jeszcze sposobów od niego odmienna, ale na ile to oceniał, właśnie o to chodziło, że nie była nim. Coś się więc nie zgadzało w słowach Katriny. Szukać kogoś mało od siebie różnego... To wymagało, uświadomił sobie, przede wszystkim silnego przekonania, że bycie sobą jest całkiem OK.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Marcus pojechał w końcu na noc do ojca i Lindsey. Było mu ich szkoda; na komisariacie wydawali się kompletnie zagubieni i bezradni. Nigdy przedtem się nad tym nie zastanawiał, teraz jednak przyszło mu do głowy, że widać, kto jest z Londynu, a kto nie, albowiem ci ostatni wydawali się bardziej wszystkim przerażeni. Clive i Lindsey byli od razu przerażeni widokiem Ellie, ale potem przeraziła ich także matka Ellie; przez cały czas pomrukiwali tylko i rzucali spłoszone spojrzenia... Może nie miało to nic wspólnego z Londynem, tylko z rodzajem ludzi, których ostatnio poznał, a może po prostu podrósł przez kilka ostatnich miesięcy. Tak czy owak, nie wiedział, co ojciec mógłby mu zaoferować, i dlatego było mu go szkoda, i z tej też przyczyny zdecydował się jechać z nim do Cambridge.

W samochodzie Clive nie przestał gderać. Dlaczego Marcus zadawał się z kimś takim? Dlaczego jej nie powstrzymał? Dlaczego był taki niegrzeczny wobec Lindsey? W czym mu kiedykolwiek zawiniła? Marcus nie odpowiedział na żadne z tych pytań i pozwolił ojcu gadać, aż wreszcie marudzenie się skończyło, jak benzyna w samochodzie - narzekania pojawiały się coraz wolniej, rzadziej, aż wreszcie zupełnie ucichły. Problem polegał na tym, że nie mógł już być tym ojcem, jakim usiłował się stać w tej chwili; przegapił właściwy moment. To trochę tak, jakby Bóg zdecydował się być znowu Bogiem miliardy lat po stworzeniu świata. Nie mógł teraz zejść nagle z nieba i zacząć wybrzydzać: "Nie powinniście byli stawiać tutaj Empire State Building, nie wolno było tak urządzać świata, żeby mieszkańcy Afryki żyli w nędzy, nie trzeba było pozwalać konstruować broni nuklearnej", gdyż usłyszałby w odpowiedzi: "Teraz to jakby trochę poniewczasie, bo gdzie byłeś, kiedy wymyślaliśmy te rzeczy?"

Marcus nie miał mu za złe, że nie było go, gdy był potrzebny, no ale na coś musiał się zdecydować. Jeśli chciał mieszkać w Cambridge z Lindsey, palić trawę i zlatywać z parapetu, proszę bardzo, ale wtedy nie może się czepiać każdego drobiazgu, a Ellie to był teraz drobiazg, chociaż w momencie, gdy siedzieli obok siebie na chodniku i zatrzymywał się koło nich wóz policyjny, wydawała się najważniejsza na świecie. Musiał teraz znaleźć sobie inne zajęcie; drobiazgami mogli się zajmować Will czy mama, ale już nie ojciec.

Do domu zajechali o wpół do jedenastej, co znaczyło, iż podróż do Cambridge zajęła mu sześć godzin - całkiem nieźle, zważywszy na to, że połowę czasu spędził w areszcie. (Aresztowany! Był aresztowany! A przynajmniej dostarczony na posterunek policyjnym wozem. Nie myślał już teraz, że wybicie szyby było konsekwencją tego, iż został wyrzutkiem i teraz pozostawało mu już jedynie włóczęgostwo i narkotyki. Teraz dobrze widział, że przesadził, natomiast incydent w Royston pokazał mu, jak daleko zaszedł w ciągu tych kilku miesięcy. W chwili przyjazdu do Londynu nie było mowy, żeby wylądował w areszcie; nie znał odpowiednich osób).

Lindsey zrobiła herbatę i usiedli na chwilę wokół kuchennego stołu. Potem Clive kiwnął głową Lindsey, a ta powiedziała, że jest zmęczona i musi się już kłaść spać. Zostali tylko we dwóch.

- Mogę zrobić sobie skręta? - spytał ojciec.

- Jasne. Rób, co chcesz, w każdym razie ja nie palę.

- I bardzo dobrze. Mógłbyś mi podać puszkę? Bo mnie jest trochę nieporęcznie...

Marcus przystawił krzesło do półek, wspiął się i zaczął szperać między torbami płatków na górnej półce. To zabawne, że można znać małe przyzwyczajenia ludzi - na przykład, gdzie trzymają puszkę z rzeczami do palenia - chociaż się ich nie widzi całymi tygodniami. Zszedł z krzesła, wręczył ojcu puszkę i usiadł z powrotem. Ojciec zaczął robić skręta, marudząc coś na temat bibulek.

- Wiele ostatnio myślałem. Wiesz, od czasu tego wypadku.

- Od czasu, jak spadłeś z parapetu? - z lubością spytał Marcus.

- Tak, od czasu wypadku.

- Mama tak powiedziała, że pewnie sporo mylisz o życiu.

- No i?

- I co?

- Co o tym sądzisz?

- Co sądzę o tym, że myślałeś?
- Ja wiem... - Ojciec zerknął spod oka. - Chyba można tak to ująć.
- To zależy. Zależy, o czym myślałeś.
- No dobra. Więc myślałem o tym, że... Widzisz, ten wypadek napędził mi strachu.
- Jak spadłeś z parapetu?
- Tak, jak miałem wypadek. Dlaczego ciągle musisz powtarzać o z tym parapecie? W każdym razie przestraszyłem się.
- Nie spadłeś z wysoka. Złamałeś sobie tylko obojczyk. Wielu ludziom to się zdarza.
- To nie ma znaczenia, z jak wysoka spadasz, jeśli daje ci to do myślenia.
- Może i nie ma.
- Co miałeś na myśli, mówiąc tam, na policji, że nie ma ze mnie żadnego pożytku jako ojca?
- Sam teraz nie wiem. .
- Zgadzam się, że nie byłem doskonały.
- Nie. Nie byłeś.
- A tobie potrzebny jest ojciec, prawda? Teraz to widzę, ale przedtem jakoś nie widziałem.
- Nie wiem, czego mi potrzeba.
- W każdym razie wiesz, że potrzebny ci ojciec.
- Dlaczego?
- Bo każdy tego potrzebuje. Marcus zastanowił się przez chwilę.

- Na początku to może i tak. Ale potem... nie jestem pewny. Dlaczego tak ci się wydaje? Całkiem dobrze sobie radzę bez ojca.

- Wcale na to nie wygląda.

- Bo ktoś wybił szybę? Daj spokój, dobrze sobie radzę bez ciebie. Może nawet lepiej. Jasne, z mamą jest ciężko, ale ten rok w szkole... Trudno to wytłumaczyć, ale teraz czuję się już bezpieczniejszy, bo znam więcej ludzi. Miałem naprawdę stracha, bo wydawało mi się, że dwójka to za mało, ale teraz jest już więcej niż dwoje. Dużo więcej. A wtedy jest łatwiej.

- Jakie dużo więcej? Ellie, Will i tacy jak oni?

- Tak, tacy jak oni.

- Nie zawsze będą pod ręką.

- Jedni będą, inni nie. Ale, widzisz, wcześniej nie wiedziałem, że ktoś jeszcze może w tym pomóc, a może. Trzeba tylko poszukać ludzi. Wiesz, to tak jak piramida w cyrku.

- Jaka piramida?

- Jedni stoją na drugich i tak naprawdę to nieważne, kto tam stoi, żeby tylko byli, a ty nie pozwalasz nikomu odejść, zanim nie znajdziesz kogoś innego.

- Naprawdę tak uważasz? Że to nieważne, kto cię podtrzymuje?

- Tak, teraz tak uważam. Przedtem nie, ale teraz tak. Nie można się opierać tylko na mamie i tacie, bo co zrobisz, jak zaczną się kłócić, rozchodzić i popadać w depresję?

Ojciec skończył robić skręta, zapalił i głęboko się zaciągnął.

- Właśnie nad tym się zastanawiałem. Nie powinienem był rozstawać się z matką.

- Ale to nie ma znaczenia, tato. Naprawdę. Wiem, gdzie cię szukać, jak coś się porobi.

- Serdeczne dzięki.

- Przepraszam, że tak mówię, ale... Już potrafię szukać ludzi i wszystko będzie dobrze.

O tym był przekonany. Nie wiedział, czy dalej będzie się przyjaźnić z Ellie, gdyż ona, chociaż była sprytna, znała się na polityce i tak dalej, o pewnych sprawach jednak nie myślała; nie wiedział, jak się dalej potoczy z mamą, gdyż czasami bardzo brakowało jej charakteru, wiedział jednak, że on sam da sobie radę. Da sobie radę w szkole, ponieważ wiedział już, co robić, komu ufać, a komu nie, a nauczył się tego w Londynie, gdzie ludzie traktują się w najdziwniejszy sposób. Można było znaleźć sposób na postępowanie z ludźmi, którego by nie opanował, gdyby mama i tata dalej byli razem, a cała ich trójka mieszkała w Cambridge. Nie do każdego to pasowało. Nie pasowało do świrów, takich, którzy nikogo nie znali, do chorych i do takich, co pili za dużo. Pasowało natomiast do niego, postanowił więc, że lepiej trzymać się tego sposobu niż czegoś, co sugerował ojciec.

Porozmawiali jeszcze trochę, także o Lindsey, o tym, jak chciała dziecka i jak ojciec nie mógł się zdecydować. Spytał, czy Marcus nie miałby nic przeciwko temu, a on odparł, że nie, bardzo lubi dzieci. Tak naprawdę to nie przepadał za nimi, ale każda nowa osoba była ważna, a kiedy dziecko Lindsey podrośnie, to będzie kiedyś ktoś następny. I wreszcie poszedł spać, a na pożegnanie ojciec uściskał go mocno i odrobinę się rozplakał, ale wtedy był już upalony, więc Marcus nie zwrócił na to większej uwagi.

Rano ojciec wraz z Lindsey podwieźli go na stację; dostał także pieniądze na taksówkę z King' s Cross do domu. W pociągu wyglądał przez okno. Był przekonany, że miał rację z tą piramidą, ale nawet gdyby to była nieprawda, i tak chciał się tego trzymać. Jeśli w ten sposób dotrwa do czasu, gdy będzie mu już wolno robić błędy, które oni wszyscy robili, to na co tu wybrzydząć?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Will tak bardzo pragnął Rachel, że napawało go to lękiem. Obawiał się, że ona w każdej chwili może uznać, że za wiele z nim kłopotów, że nie ma w nim nic ciekawego czy że nie sprawdza się w łóżku. Może poznać kogoś innego albo dojść do wniosku, że właściwie nie powinna wiązać się z nikim. Mogła zniecka zginąć w wypadku samochodowym, na przykład wracając do domu po podrzuceniu Alego do szkoły. Czuł się jak kurczę, które wydostało się z jajka i stało teraz drżące na niepewnych nóżkach (jeśli to kurczęta chwiała się na nogach, bo może raczej były to cielęta czy źrebięta), do ochrony mając tylko koszulę od Paula Smitha i parę raybanów. Nie był nawet pewien, o co właściwie się lęka. A jaki z tego pożytek? Nie potrafił dostrzec żadnego, ale teraz było już za późno. Wiedział tyle, że nie ma już dla niego drogi powrotu; miniony etap życia był zamknięty.

Teraz w każdą niemal sobotę zabierał gdzieś Alego i Marcusa. Zaczęło się od tego, iż chciał dać ich matkom chwilę odpoczynku... Chociaż nie, to nieprawda. Zaczęło się od tego, że próbował jakoś się zainstalować w życiu Rachel, wniesć do niego coś stałego. Samo zajęcie nie było zresztą najgorsze; kilka pierwszych wypraw było może trudnych, gdyż z jakiegoś powodu zaczął od kwestii edukacyjnych, zabrał ich więc do British Museum i National Gallery, co serdecznie wynudziło i zmęczyło całą trójkę, głównie zresztą z tego powodu, że sam Will nienawidził takiego spędzania czasu. (Czy było na świecie miejsce nudniejsze od British Museum? W każdym razie Will takiego nie znał. Miseczki. Monety. Dzbanki. Całe sale pełne talerzy. Wystawianie rzeczy powinno mieć jakiś cel, myślał Will. To, że są stare, nie sprawiało jeszcze, że były interesujące. Udało im się przetrwać, ale żeby tylko z tego powodu się na nie gapić?) Kiedy jednak był już bliski zarzucenia całego pomysłu, poszli wspólnie do kina, pełnego dzieciaków, i wszyscy trzej świetnie się ubawili. Tak ustalili się rytuał: obiad w McDonalddie lub w Burger Kingu, kino, koktajl w Burger Kingu czy w McDonalddie, tam, gdzie nie byli na obiad, dom. Parę razy zabrał ich na mecz Arsenalu i było całkiem w porządku, tyle że Ali, jeśli tylko była okazja, docinał Marcusowi, a okazji takich nie brakowało, gdyż Marcus nadal był futbolowym ignorantem, dlatego też piłkę zostawiali sobie na te rzadkie okazje, gdy zbrakło już filmów urągających nie tylko intelektowi, ale i innym władzom duszy.

Marcus był teraz dojrzały od Alego. Przy pierwszym poznaniu, gdy Marcus wystąpił jako syn Willa, wydawało się, że Ali ma kilka lat więcej, potem jednak maska odsłoniła trochę z prawdziwej twarzy, a poza tym Marcus bardzo dojrzał przez kilka miesięcy. Lepiej się ubierał - wygrał spór z matką, czy powinien chodzić z Willem na zakupy - miał lepszą fryzurę, bardzo się starał, by nie podśpiewywać na głos, a przyjaźń z Ellie i Zoe (która na przekór wszelkim oczekiwaniom nie tylko przetrwała, ale jeszcze się pogłębiła) sprawiła, że teraz coraz bardziej zachowywał się jak nastolatek. Chociaż dziewczyny nadal entuzjastycznie witały jego ekscentryczne zachowania, Marcusa zaczynało to już trochę męczyć i bardziej zważał na swoje słowa. Niestety, ale tak było lepiej.

O dziwo, Will zaczął za nim tęsknić. Od chwili, gdy pękła skorupa, Will chciał z nim rozmawiać o tym uczuciu, gdy nie masz nic na sobie i boisz się wszystkich i wszystkiego, albowiem był jedyną osobą na świecie, która mogła mu coś w tej sprawie doradzić. A tymczasem dawny Marcus coraz bardziej zniknął.

- Ożenisz się z moją mamą? - spytał znieczeka Ali podczas jednego z poprzedzających film posiłków. Marcus spojrzał z zainteresowaniem znad swoich frytek.

- Nie wiem - bąknął Will.

Myślał o tym wiele, ale ciągle nie wiedział, czy wolno mu poprosić ją o rękę; za każdym razem, gdy zostawał u niej na noc, wydawało mu się to niesłychanym przywilejem i nie chciał uczynić niczego, co mogłoby zagrozić temu poczuciu uprzywilejowania. W sytuacji, gdy bał się spytać ją, kiedy znowu się zobaczą, pytanie, czy zechce spędzić z nim resztę życia wydawało się nad wyraz ryzykowne.

- Kiedyś chciałem, żeby ożenił się z moją - wesoło oznajmił Marcus, a Will poczuł gwałtowną ochotę wylania na niego gorącej kawy.

- Serio? - spytał Ali.

- Jakoś mi się wydawało, że to wszystko załatwi. Ale twoja matka jest inna, bardziej pozbierana niż moja.

- I dalej chcesz?

- A ja już nic nie mam tu do powiedzenia? - usiłował wtrącić się Will, ale Marcus go zignorował, mówiąc:

- Nieee. Teraz myślę, że to nic nie załatwia.

- Dlaczego?

- Bo... Widziałeś w cyrku takie piramidy z ludzi? Moim zdaniem tak powinno wyglądać życie.

- O czym ty mówisz, Marcus? - spytał Will, a nie było to pytanie retoryczne.

- Jeśli jesteś dzieckiem, to lepiej dla ciebie, żeby wszyscy się przyjaźnili. Jak ludzie tworzą parę... nie wiem, ale to mniej bezpieczne. Sam zobacz. Teraz moja mama i twoja mama są ze sobą OK, nie? - To prawda. Rachel i Fiona, ku znacznemu utrapieniu Willa, spotykały się teraz regularnie. - Ale dalej, Will się z nią spotyka, ja spotykam się z Ellie, Zoe, Lindsey i ojcem. I wszystko jest spoko. Jak teraz Will się zwiąże z twoją mamą, ty będziesz myślał, że jesteś bezpieczny, ale figa, bo niedługo się rozejdą, Willowi odbije albo jeszcze coś innego.

Ali z zapalem pokiwał głową, u Willa zaś pojawiło się nowe pragnienie: zastrzelić Marcusa, a potem skierować lufę na siebie.

- A gdybyśmy nie rozeszli się z Rachel? Gdybyśmy zostali ze sobą do końca życia?

- Dla mnie bomba. Ale najpierw to zrób. Moim zdaniem pary nie mają przyszłości.

- Ach, dzięki, panie... Einstein.

Will chciał odpowiedzieć bardziej zjadliwie, rzucić jakieś nazwisko socjologa rodziny, które dwunastolatek w lot by rozpoznał, niemniej do głowy przyszedł mu tylko Einstein, chociaż wiedział, że nie całkiem a propos.

- A co on ma do tego?

- Nic - mruknął Will. - I nie traktuj mnie tak protekcyjnie.

- A co to znaczy? - całkiem serio spytał Marcus. Oto i sytuacja: Will jest traktowany protekcyjnie przez kogoś, kto jest za młody, aby rozumieć to słowo!

- Żebyś nie traktował mnie jak idioty.

Marcus spojrział na niego tak, jakby chciał powiedzieć: "A jak mogę cię traktować inaczej?", ale zarazem była w tym wzroku wyrozumiałość. Will bardzo się teraz starał, aby przywrócić dawny dystans wieku, ale niewiele mógł zdziałać. W głosie Marcusa pobrzmiwało teraz tyle pewności siebie i stanowczości, że bardzo trudno było z nim polemizować. Zresztą Will nawet nie próbował. Nie stracił jeszcze zupełnie twarzy i za nic nie chciał ryzykować owej odrobinki.

- Wydaje się teraz taki dojrzały - powiedziała Fiona któregoś popołudnia, gdy Will dostarczył Marcusa, a ten zniknął w swoim pokoju, rzucając zwyczajowe "dzięki" pod jego adresem, a "cześć" pod adresem matki.

- I gdzie popełniliśmy błąd? - powiedział w zadumie Will. - Zapewniliśmy mu wszystko i oto, jak nam się odpłaca.

- Wydaje mi się, że go tracę - oznajmiła Fiona. Will nie nauczył się z nią żartować. To, co jego usta opuszczało lekkie jak pianka na cappuccino, do jej uszu docierało jak stwardniały budyń. - Nic, tylko Smashing Pumpkins, Ellie, Zoe i... Obawiam się, że pali.

Will parsknął śmiechem.

- Powiedziałam coś zabawnego?

- Trochę. Kilka miesięcy temu sporo byś za to dała, żeby go przyłapano na paleniu papierosów ze znajomymi.

- Nic bym nie dała, gdyż nienawidzę palenia.

- To rozumiem, ale... - Zrezygnował; Fiona najwyraźniej albo nie chciała, albo nie mogła zrozumieć, o co mu chodziło. I to cię dręczy, że go tracisz?

- Jeszcze pytasz? Pewnie, że dręczy.

- Choć można by przypuścić... Nie, żeby się z tobą kłócić, ale ostatnio jakbyś odrobinę lepiej wyglądała.

- I chyba lepiej się czuję. Nie wiem na czym to polega, ale jestem mniej znużona.

- To świetnie.

- Mam takie wrażenie, że bardziej nad wszystkim panuję. Nie wiem dlaczego.

Will przypuszczał, że zna co najmniej jedną przyczynę, ale nie byłoby ani rozsądnie, ani grzecznie teraz ją wyjawiać. W istocie Marcus w obecnym wydaniu nie nastęczał zbyt wielu problemów. Miał znajomych, potrafił się zatroszczyć o siebie, nabył bardziej odpornej skóry, którą Will właśnie tracił. Wtopił się bardziej w tło, nie odbijał już od niego tak jaskrawo jak niegdyś, i dlatego o wiele łatwiej było go uznać za dwunastolatka podobnego do innych. Cała trójka musiała jednak coś stracić, aby zdobyć coś innego. Will stracił skorupę, spokój i dystans, przestał być opancerzony i czuł się odsłonięty - ale był z Rachel. Fiona straciła bliskość Marcusa - ale dzięki temu mniej prawdopodobny stał się oddział nagłych wypadków. Marcus stracił dawnego siebie - ale ze szkoły wracał w butach.

Ze schodów zszedł nachmurzony Marcus.

- Nudzi mi się. Mogę iść po jakiś film?

Will nie mógł się oprzeć pokusie, by sprawdzić pewną teorię.

- Ej, Fiona, a gdybyśmy tak wyciągnęli nuty i razem spróbowali pomęczyć Both Sides Now?

- A chciałbyś?

- Jasne, czemu nie?

Nie spuszczał jednak oka z Marcusa, który wyglądał tak, jakby mu właśnie zaproponowano taniec na golasa przed gronem złożonym z supermodelek i sędziwych ciotek.

- Mamo, proszę, nie!

- Nie wygłupiaj się. Przecież lubisz śpiewać. Uwielbiasz Joni Mitchell.

- Już nie. Nienawidzę jej.

I teraz już Will wiedział na pewno, że z Marcusem wszystko będzie dobrze.